

Józef Ignacy Kraszewski

CZARNA PEREŁKA

Wydawnictwo Lubelskie

Tekst według wydania

J 1 Kraszewski „Czarna Perełka

Łódź-Wrocław 1948

Opracowanie graficzne MIROSLAW ZDRODOWSKI - ZDROZDOWSKI

41-Sot

UOTBCAF ~ LIAnri

ISBN 83-222-0338-1

W

tej serdecznej Warszawie, jaką ona jeszcze przed ostatnimi była wypadkami, a nawet jaką jest dzisiaj, choć jej oblicze smutnie się teraz zmieniło, wśród świętego i widocznego życia, ileż to się odgrywało dramatów na strychu i tragedii po poddaszach, których żadne nie oglądało oko, chyba po trosze odgadł je wzrok milczącego stróża, a wyczytał trumniarz, co lichą dźwigał po schodach zbitą z tarciczek trumienkę. Niekiedy ciekawsze oko mogło podpatrzeć tam życie i domyśleć się gry jego, tak zmiennej, tak różnej jak barwy opalu, w których się słońce, przeglądając, mieni,

Życie ludzkie... tak jednakowym wydaje się z dala, a tak dziwnie i nieskończenie różnym, gdy się na nie patrzy serca i duszy mikroskopem. Naówczas ta czarna i różowa plamka rozkłada się w cały świat kształtów, światel i cieni.

Z tych wzorów nieśmiertelnego życia tworzy fantazja obrazy, ale bezsilna jest jak dziecię, które z malowanej karty figurki wystrzyga... nowego nie potrafi urodzić, ledwie ze szczątków coś klei.

Dobrze jeszcze, kto posłuszny prawom niezłomnym, nie sili się daremnie na to, co niemożliwe, i odwzorowuje naturę, podziwiając jej cuda niewyczerpane... Te tylko obrazy życia przypomnieć mogą, które są z rzeczywistości czerpane. Można je bluszczem umać, ukwiecić, oświetlić... ubarwić - ale cóż stworzyć potrafi człowiek, ograniczony żelaznymi ścianami swojego organizmu cielesnego i duchowego!

Mówmy więc o tym, na co oczy patrzyły i co, przeżywszy rzeczywistość, ma prawo odrodzić się jeśli nie w pieśni, to w opowiadaniu zimowego wieczoru.

Jeden z dwóch pałaców rodziny Zamoyskich na Krakowskim Przed-

mieściu był przed rokiem 1861 podzielony na mnóstwo drobnych mieszkań, które dosyć tanio różnym osobom wynajmowano. Mieściło się tam i młodzieży wiele, i mniejszych a niezamożnych rodzin urzędników, i wszelkiego powołania ludzi, szukających bezpieczeństwa i schludności

przy umiarkowanej cenie.

Na drugim piętrze jeden z pokojów szczupłych, z malutką sionką tylko, zajmowała od niejakiego czasu osoba... która ludność pałacu, złożoną w większej części z młodzieży, mocno zaintrygowała. Jak się ona tu potrafiła dostać, gdzie kobiet samotnie mieszkających nie przyjmowano, kto jej to mieszkanie wyszukał i najął, nie wiadano. Nie postrzeżono nawet zrazu, kiedy się wniosła, a tak wychylała się mało za próg swego pokoiku i tak ostrożnie snadź, aby wejrzeń nie ściągnąć, iż nierychło jakoś oko ciekawego młodzika wyszpiegować ją potrafiło.

Było to późną jesienią; pan Zygmunt Haraburda, Rusin, uczeń malarza Simmlera (który prawie nie przyjmował uczniów i uczynił tylko dla niego wyjątek), wracając ku wieczorowi na trzecie piętro, gdzie się mieścił, spotkał na schodach niespodziane zjawisko...

Nie mógł dostrzec dobrze rysów twarzy, ale jako artysta, w półmroku ciemno zarysowującą mu się postać niezmiernego wdzięku, proporcji i gracji klasycznej, niby ożywiony posąg

starożytny z dzbankiem w ręku, posuwający się ku górze, ujrzał i stanął zachwycony. Szła nieznajoma ową lokatorka tak żywo, jak tylko mogła, jakby się szelestu kroków przelekła. Zygmunt pośpieszył, aby ją lepiej zobaczyć, ale nim dobiegł, pięknych kształtów dziewczę gdzieś mu jakby cudownym sposobem znikło...

Zygmunt, który oczyma się uczył świata i patrzył na wszystko z pod wojną ciekawością młodzieńca i malarza, znał wszystkich mieszkańców tego domu. Każdego z nich nieco w karykaturze miał w swoim albumie, dotąd tej prześlicznej kariatydy greckiej, a raczej kanefory nie widział. Dotknęło to jego miłość własną. A że do projektowanego szkicu Rachel: u studni potrzebował niewieściego wzoru, który mu mignął, tak drażniące się kryjąc, nie mógł sobie darować, że szedł powoli i chwilę na widok linii tej postaci osłupiał.

Postanowił więc sobie dotrzeć koniecznie i wysledzić, która z dziewcząj nosząca dzbanki ma taką kibić zachwycającą i taki wdzięk ruchów...

Niestety, ani nazajutrz, ani w ciągu tygodnia nie potrafił wysledzi znikłego zjawiska...

Dziewczęta, wychodzące po wodę z domu, były prze rozmaitego wzrostu i postaci, ale żadna z nich w najmniejszej rzeczy ni była podobną do tego snu wieczornego. Na ostatek Zygmunt powiedział

sobie, iż mu się przywidziało... że sam stworzył, a raczej przypadek te linie greckie wśród polskich prozaicznych schodów wiodących na drugie piętro.

Na tym się skończyło, gdy jednego ranka schodząc nieco później (był to dzień niedzielny), zobaczył przed sobą idącą tę samą kibić klasyczną, tę samą marzoną kaneforę... Tym razem wszakże nie niosła ona nic, prócz książki do nabożeństwa w ręku, a ubrana była acz skromnie, ale tak wytwornie, iż dzbanek w jej dłoni wydawał się anomalią. Pan Zygmunt potrafił ją wyminąć i zajrzeć jej w oczy, albo raczej zobaczyć twarz, wzroku nań bowiem nie podniosła. Stanął zdumiony we wrotach, aby ją jeszcze oglądać przechodzącą i przekonał się, że ona nie mogła nieść dzbanka.

W tej nie znanej paniencie było coś tak oryginalnego, dumnego, pańskiego i dzikiego razem, tak skromnie i majestatycznie przeszła koło niego, iż malarz sobie powiedział: nie, to nie ona! Ale, taż sama czy inna, piękna dziewczica tak niepodobną była do ogółu twarzy niewieścich, oglądanych codziennie, iż Zygmunt westchnął, że jej odmalować nie potrafi.

Typ fizjonomii był wschodni może, a jednak nie hebrajski - różny od niego, dzikszys jakiś i energiczniejszy. Na tamtym tysiącletnia wypiętno-wała się niewola, tu coś nieokiełznanego i tchnącego swobodą pustyni i lasów. Płeć miała smagłą, ciemną, ogorzałą niemal, oczy czarne, smutne i groźne, włos kruczy... a kształty kibici były uroczej budowy. Niegodziwe suknie nie potrafiły zeszpeci i zakryć tego chodzącego posągu Junony azjatyckiej.

Ubiór jej był taką zagadką jak ona. Składał się z kosztownych materiałów, widocznie poprzerabianych i zastosowanych na nowo do wymagań mody, bardzo zręcznie, a jednak niepospolicie. Nie ubrała jej lada mod-niarka, i strój nie był chwycony w pierwszym lepszym magazynku. Niosła go na sobie z godnością, ze smakiem, można by rzec, z uczuciem wrodzonym, pełnym nieopisanego wdzięku. Chód jej nawet był inny jakiś, nie miejski... Dotykała ledwie stopą bruku, sunęła się po nim, ale czuć było siłę w tym pochodzie pewnym siebie i śmiałym. Gdy malarz spojrział na nią, na twarzy brązowej, podobnej do indyjskiego bóstwa, nie było wyrazu innego, oprócz głębokiego zamyślenia i smutku. Smutek ten nie skarżący się, jakby mimowolnie przeciskał się przez zmartwiałe rysy, nawykłe do poważnego spokoju.

Szła widocznie do kościoła i znikła mu z oczów.

Nie byłby artystą i dwudziestoletnim młodzieńcem pan Zygmunt, na widzeniu tym poprzestał... poszedł na zwiady... O nazwiska

lokatorów dowiadując się pilnie, dośledził, że na drugim piętrze stała panna Lenora Zara, tak mu ją nazwano - samiutka jedna. Stróż, niecc wtajemniczony w byt i położenie lokatorki,

poczęstowany papierosem dodał, iż cały dzień siedzi zwykle zamknięta w swoim pokoju, że była ponoć jakaś trudność z umieszczeniem jej w pałacu, ale ta jakimś tajemniczym, wszechmogącym wpływem usunięta została... i że dalipan, wiecie, nic o niej nie wie... Nazwisko brzmiało jakoś cudzoziemsko; Zygmunt spytał stróża, czy mówi po polsku, a ten ruszył ramionami i zapewnił, że kilka jedynych słów, jakie z jej ust do jego ucha spłynęły, doskonałą by polszczyzną powiedziane. Na tym się skończyło i więcej już dowiedzieć się nie było podobna.

Nie ma podobno kraju, gdzie by piękna kobieta większą cześć odbierała i obudzała zajęcie gorętsze jak w Polsce. Często uwielbienie to bywa nawet niegrzeczne i natrętne, można je tylko dla pobudek wytłumaczyć, jest to zdegenerowana cześć piękna w ogóle.

Wkrótce też cały pałac wiedział o tej nieznanym; badał ją i zajmował się odgadnięciem problemu: kto ona być mogła. Postać zapowiadała coś z wyższego świata, ubóstwo temu przeczyło; okrywanie się tajemnicą życie zamknięte było niezrozumiałym.

Nigdy nie przemówiła do nikogo, nie obejrzała się, nie postarała o te sąsiedzkie, prawie nieuniknione stosunki, które się same zawiązują. Obojętnie mieszkał biuralista z żoną, córeczką i służącą, graniczyli z sobą przez ścianę, a pan Melchior i pani Melchiorowa zaręczali, że u tej panny przez cały dzień ledwie jakiś szelest albo westchnienie słyszeli. Nikt a nikt u niej nigdy nie bywał. Kaśka, niezmiernie ciekawa służąca tych państwa, stała na czatach, widywała ją przynoszącą sobie wodę do dnia, wychodzącą czasem wśród niego z wyraźnym staraniem, aby się z nikim nie spotkać, niekiedy wymykającą się ze dzbankiem wieczorem, zresztą, drzwi były na klucz zamknięte i cisza głęboka. Kaśka spostrzegła i to, że paniuszka chodziła w jedwabkach, że miała piękny szal, kilka chusteczek kosztownych i zawsze świeże rękawiczki. -Co to to jest?- mówił pan Melchior, zażywając tabakę, systematycznie nogę prawą zakładając na lewą i lewą na prawą, aby nie drętwiały - to jest egipska enigma. W atlasach z dzbankiem po wodę? Oczywiście jaka historia... jakiś dramat, który się wytrawia po cichu.

- Ale co ma być! - niecierpliwie przerywała sama jejność, nie lubiąc* poezji i niewieścich zagadkowych egzystencji - co ma być! Zaraz ichność robicie heroiny z lada wyszarzanego kawałka atlasu.

- A jak Boga kocham - zawołała z drugiego pokoju, głowę wystawiając, Kaśka z poufałością starej sługi - że ma takie szale i chustki... i suknie jakby jaka pani.

- A sama wodę nosi! - dodała, ruszając ramionami, pani Melchiorowa -to mi się podoba. Dajcież już temu pokój!

I nie tylko pan Zygmunt, państwo Melchiorostwo, Kaśka, ale cały pałac niesłuchanie był zajęty ową panną, której nazwisko nic nie mówiło... a osoba tyle dawała do myślenia...

Zwykle w takich razach, gdy się ludzie śledzić uprą, coś na ostatek odkopią, prawdę czy fałsz, i tym się zaspokoją, tu niepodobna było nic się dowiedzieć.

Z geograficznego położenia i natury swych zatrudnień Kaśka była jeszcze może najlepiej uposażoną do podsłuchania i podpatrzenia czegokolwiek; jako narzędzie, miała niewieścią, słynną, po matce Ewie odziedziczoną ciekawość. Ale wszystko to nie pomogło. Próbowwała parę razy nastęczyć się do małych posług, odebrała grzecznie podziękowanie tylko i nic więcej. Ale że była w dodatku bardzo poczciwą dziewczyną, której serce na niedolę biło, bo jej wiele w życiu przeżyła - nie zraziła się odmową i z duszy pragnęła w czymś być użyteczną tej paniuszce, której położenie litość w niej obudziło.

- Co tam ja - mówiła w kuchni - że ja ciężko pracuję, a na palca zawinięcie zarobić nie mogę... no to co? dyć to już było tak i z rodzicielami, ta i ze mną, bo na tośmy się rodzili z przeznaczenia Bożego; ale ta... czarna... chodziła ona zawsze po wodę do studni? Przypadło na nią nieszczęście ->ta to cierpieć musi stokrotnie, bo nie nawykła... Nieraz się patrzę, jak niesie tę wodę, albo coś z miasta - ona, to prawda, że pięknie nieść umie, człek by tak nie potrafił - ale co? czuć i widać, że jej to ciężar straszny, a oczy spuszcza ze wstydu... Ale dumna jejnośćianka... ani piśnie. Kilka razem ją zaczepiła, ino główkę obróci, spojrzę tymi

oczywiście kieby węglami, a głos jak muzyka... jakby śpiewał... ino taki smutny, że się płakać chce.

Wzdychała Kaśka, że jej pomoc nie mogła, że się wkraść nie potrafiła... a nie straciła ochoty do swych psychologicznych studiów nad nieznaną.

Pan Zygmunt, porwany wirem artystycznego żywota, zaniedbać je musiał, a państwo Melchiorostwo radzi byli, że mieli spokojną sąsiadkę.

W tych czasach, jakoś o św. Michale, wniósł się na pierwsze piętro

lokatorów dowiadując się pilnie, dośledził, że na drugim piętrze stała panna Lenora Zara, tak mu ją nazwano - samiutka jedna. Stróż, nieco wtajemniczony w byt i położenie lokatorki, poczęstowany papierosem dodał, iż cały dzień siedzi zwykle zamknięta w swoim pokoju, że była ponoć jakaś trudność z umieszczeniem jej w pałacu, ale ta jakimś tajemniczym, wszechmogącym wpływem usunięta została... i że dalipan, wiecie nic o niej nie wie...

Nazwisko brzmiało jakoś cudzoziemsko; Zygmunt spytał stróża, czy mówi po polsku, a ten ruszył ramionami i zapewnił, że kilka jedynych słów, jakie z jej ust do jego ucha spłynęły, doskonałą były polszczyzną powiedziane. Na tym się skończyło i więcej już dowiedzieć się nie było podobna.

Nie ma podobno kraju, gdzie by piękna kobieta większą część odbierała i obudzała zajęcie gorętsze jak w Polsce. Często uwielbienie to bywa nawięcej niegrzeczne i natrętne, można je tylko dla pobudek wytłumaczyć, jest to zdegenerowana cześć piękna w ogóle.

Wkrótce też cały pałac wiedział o tej nieznanym; badał ją i zajmował się odgadnięciem problemu: kto ona być mogła. Postać zapowiadała coś z wyższego świata, ubóstwo temu przeczyło; okrywanie się tajemnicą życie zamknięte było niezrozumiałym.

Nigdy nie przemówiła do nikogo, nie obejrzała się, nie postarała o te sąsiedzkie, prawie nieuniknione stosunki, które się same zawiązują. Obok mieszkał biuralista z żoną, córeczką i służącą, granicyli z sobą przez ścianę, a pan Melchior i pani Melchiorowa zaręczali, że u tej panny przez cały dzień ledwie jakiś szelest albo westchnienie słyszeli. Nikt a nikt u niej nigdy nie bywał. Kaśka, niezmiernie ciekawa służąca tych państwa, stała na czatach, widywała ją przynoszącą sobie wodę do dnia, wychodzącą czasem wśród niego z wyraźnym staraniem, aby się z nikim nie spotkać, niekiedy wymykającą się ze dzbankiem wieczorem, zresztą, drzwi były na klucz zamknięte i cisza głęboka. Kaśka spostrzegła i to, że panienka chodziła w jedwabkach, że miała piękny szal, kilka chusteczek kosztownych i zawsze świeże rękawiczki.

- Co to to jest? - mówił pan Melchior, zażywając tabakę, systematycznie nogę prawą zakładając na lewą i lewą na prawą, aby nie drętwiały - to jest egipska enigma. W atlasach z dzbankiem po wodę? Oczywiście jakaś historia... jakiś dramat, który się wytrawia po cichu.
- Ale co ma być! - niecierpliwie przerywała sama jejmość, nie lubiąca poezji i niewieścich zagadkowych egzystencji - co ma być! Zaraz ichmości robicie heroiny z lada wyszarzanego kawałka atlasu.

- A jak Boga kocham - zawołała z drugiego pokoju, głowę wystawiając, Kaśka z poufałością starej sługi - że ma takie szale i chustki... i suknie jakby jaka pani.

- A sama wodę nosi! - dodała, ruszając ramionami, pani Melchiorowa -to mi się podoba.

Dajcież już temu pokój!

I nie tylko pan Zygmunt, państwo Melchiorostwo, Kaśka, ale cały pałac niesłuchanie był zajęty ową panną, której nazwisko nic nie mówiło... a osoba tyle dawała do myślenia...

Zwykle w takich razach, gdy się ludzie śledzić uprą, coś na ostatek odkopią, prawdę czy fałsz, i tym się zaspokoją, tu niepodobna było nic się dowiedzieć.

Z geograficznego położenia i natury swych zatrudnień Kaśka była jeszcze może najlepiej wyposażoną do podsłuchania i podpatrzenia czegokolwiek; jako narzędzie, miała niewieścią, słynną, po matce Ewie odziedziczoną ciekawość. Ale wszystko to nie pomogło. Próbowwała parę razy nastęczyć się do małych posług, odebrała grzecznie podziękowanie tylko i nic więcej. Ale że była w dodatku bardzo poczciwą dziewczyną, której serce na niedolę biło, bo

jej wiele w życiu przeżyła- nie zraziła się odmową i z duszy pragnęła w czymś być użyteczną tej panience, której położenie litość w niej obudziło.

- Co tam ja - mówiła w kuchni - że ja ciężko pracuję, a na palca zawinięcie zarobić nie mogę... no to co? dyć to już było tak i z rodzicielami, ta i ze mną, bo na tośmy się rodzili z przeznaczenia Bożego; ale ta... czarna... chodziła ona zawsze po wodę do studni? Przypadło na nią nieszczęście ->ta to cierpieć musi stokrotnie, bo nie nawykła... Nieraz się patrzę, jak niesie tę wodę, albo coś z miasta - ona, to prawda, że pięknie nieść umie, człek by tak nie potrafił - ale co? czuć i widać, że jej to ciężar straszny, a oczy spuszcza ze wstydu... Ale dumna jejmościanka... ani piśnie. Kilka razem ją zaczepiła, ino główkę obróci, spojrzy tymi oczyma kieby węglami, a głos jak muzyka... jakby śpiewał... ino taki smutny, że się płakać chce.

Wzdychała Kaśka, że jej pomoc nie mogła, że się wkraść nie potrafiła... a nie straciła ochoty do swych psychologicznych studiów nad nieznaną.

Pan Zygmunt, porwany wirem artystycznego żywota, zaniedbać je musiał, a państwo Melchiorostwo radzi byli, że mieli spokojną sąsiad-kę.

W tych czasach, jakoś o św. Michale, wniósł się na pierwsze piętro

kawaler wielkich nadziei, pan Roman Junosza Zarybski, młody dziedzic znacznej fortuny, którego rodzice wyprawili do Warszawy dla swobodnego ukończenia wychowania.

Pretekstem były lekcje muzyki, gdyż był muzykalny, lekcje akwarelli u Kostrzewskiego, gdyż nieco malował, i prywatne różne studia, których wybór jemu samemu byt zostawiony.

Roman pochodził ze szlacheckiej wprawdzie rodziny, ale niedostatniej dawniej, a dopiero w ostatnich czasach, gdy fortuny jak grzyby rosnąć się nauczyły, nagle zubożonej. U nas rodzina, przychodząca do majątku, za pierwszy sobie zaraz poczytuje obowiązek zupełnym przejściem na łono społeczności arystokratycznej, europejskiej, zerwać z przeszłością i wkupić się do większego świata. Nie przychodzi to bez ofiar, ale czegoż się nie uczyni, aby zając stanowisko przyzwoite! Skutkiem starań rodzicielskich o przyjęcie do bractwa było, iż syn najzupełniej do niego się wcielił.

Romanek, nie tylko że wyglądał arystokratycznie, nie tylko że mówił lepiej po francusku niż po polsku, że przywiązywał do prozapii i genealogii niesłychaną wagę i stworzył sobie wywód od dwunastu wojewodów, że był jak najgorętszym katolikiem nie z serca, ale dla tonu i z obowiązków stanu, chociaż młody, poślubił jeszcze konserwatywne przekonania i wstręt do rewolucji, agitacji, czerwoności, z którym lubił się popisywać wszędzie. Był ze wszech miar młodzieńcem wzorowym, uczęszczał do najlepszych towarzystw i tylko do domów znanych z rodu i usposobień pokojowych ulicą się brzydził, a bez rękawiczek nikt nigdy go nie widział i bez nieposzlakowanego cylindra. Powierzchności Pan Bóg nie dał mu wdzięcznej, był chudy, długi (nie wysoki, bo to inaczej wygląda), posępny z nosem trąbiastym, włosy nosił gładko, a mimo młodości, arcy by: poważny i - że studiował genealogię domów polskich, przeto inne lekkie literackie produkcje wcale dlań nie miały wartości. Znano go jako pełnego nadziei poczynającego archeologa, zaprzątzonego historią guzików herbowych... Znakomite do niej zebrał materiały.

Roman wyglądał nieco donkiszotycznie, trochę śmiesznie, ale nadzwyczaj przyzwoicie. Gdy kogo los zechce kompromitować, czyni to czasem w sposób tak nieznośnie drapieżny, żeby go można posądzić o chęć drwienia z ludzi. Roman stanął w pałacu Zamojskich dlatego, iż mu się to zdawało przyzwoitszym niż gdzie indziej, a licho nadało, że na trzecim piętrze znalazł tu Haraburdę, dalekiego krewnego, bez którego by się był wyśmiał nicie obszedł.

Drugiego dnia dopytała się do niego ciotka, która była zapomnianą przez rodzinę, a niestety! - razem z mężem zajmowała się sprzedażą mąki i krup!

Choć nie dał tego poznać po sobie pan Roman, ciężko go te dwa spotkania zgryzły i przybiły. A od Haraburdy się uwolnić i drzwi mu zamknąć nie było sposobu, ciotki się wyrzec zdawało niepodobieństwem.

Na dobitkę nieszczęścia, Roman miał kompleksję nader romansową, jak się o nim wyrażał kuzynek, i choć się z tym taił nieco, jednym z celów przybycia do Warszawy było... zawiązanie jakichś stosunków cichych, które by kawalerski żywot urozmaicić i zazielenić mogły.

Tradycje tego świata, do którego należeć pragnął, wcale się temu nie sprzeciwiały, wiedział tylko, iż należy zachować decorum. Wkrótce po zajęciu lokalu na pierwszym piętrze i umeblowaniu go tak, aby mógł choćby właściciela pałacu przyjmować, jednego dnia, schodząc ze schodów, Roman pracował nad prawidłowym włożeniem rękawiczek dziewiczej świeżości. Mozolił się nad nimi, gdyż łapę miał wcale nie pańską, a chciał, by uchodziła za kształtną i małą. Już był wcisnął palców czworo i pozostawał mu piąty gruby i niezgrabny klocek do wświdrowania, gdy... stanął i osłupiał... rękawiczka pękła... usta się rozwarły... i ogromne - ach! wyrwało się z nich.

Schodami szła od dołu żywo, pewnie nie spodziewając się spotkania, owa nieznajoma Lenora... dźwigając spore pudełko... Roman ujrzał ją - i po wstępnym: ach! zawołał:

- Pani tu! Mile Lenora ici?

Panna podniosła czarne oczy bez podziwu i przestachu, popatrzyła, jakby jej sobie trudno było przypomnieć tego dobrego znajomego i, lekko pozdrowiwszy go głową, nie odpowiadając nawet, poszła dalej.

Za Romanem szedł natrętny kuzynek Haraburda.

- A no! - rzekł - przecież się historii tej chodzącej zagadki dowiemy. Pozywam pana Romana, aby powiedział, co o niej wie.

- Co ona tu robi? - spytał żywo Roman.

- Ale ja ciebie się o to pytam! Mieszka na drugim piętrze, wodę sobie sama nosi, cały dzień siedzi zamknięta. Któż to jest?

- Ja nie wiem, kto to jest - rzekł Roman - to tylko wiem, że w domu starej wojewodziny (jednej z ostatnich wojewodziny 1831 r.) widywałem ją na stopie dziecięcia domu, panią niemal samowładną, gdyż wojewodzina nieco była zdziecinniała. Wiem, że ona podobno zmarła, dalej nic...

- Czy krewną była?

- Czy krewną? Kto to może wiedzieć! - dodał - jedni powiadali, że krewną, drudzy, że córka... co było fałszem, a inni nic, jak my teraz, nie

11

wiedzieli. Coś się stać musiało! - zawołał Roman - kiedy ona tu jest.

Młodzieńcowi oczy pały, mówiąc, i pomimo pęknięcia rękawiczki, nad którym bolał wielce, bo był skąpy (to należy do tonu od niejakiego czasu), zapomniał się do tego stopnia, iż Haraburdę wziął pod rękę, wychodząc w ulicę.

- Tak wykształconych osób jak ona- dodał - mało w życiu się spotyka... gra, śpiewa, maluje, czyta... pisze... mówi językami wszystkimi... umie nawet po hiszpańsku... a rozum, a dystynkcja. A! - rzekł - to pewna, że w jej żyłach nie lada krew płynie.

. - Sina! - uśmiechnął się Haraburda.

- Cóż to jest? Co ona tu robić może... osoba tak wysoce... głowę tracę! Boć mówiono powszechnie, że miała zapewnionego poł miliona posagu.

Rozmowa się na tym skończyła. Romanek poszedł na zwiady, tegoż wieczora zagadnął parę osób o losy Lenory, o wojewodzinę... a przez zaciśnięte zęby nikt nic wycedzić nie raczył. Spoglądano na niedyskretnego badacza dziejów ojczystych, a tym razem zbaczającego z drogi swych studiów, chrząkano i milczano...

Na pytanie o Lenorę ten i ów szepnął:

- A! vous parlez o „Czarnej Perełce!"

- A! Czarna Perełka!... - I wszyscy milczeli. Zdaje się, że to nazwanie Czarnej Perełki dała jej kochająca ją nad wyraz wszelki wojewodzina.

Nic dowiedzieć się nie było można.

Jednego dnia Kaśka, na przemian wzdychając i śpiewając, przymiałała nieco w korytarzu, przez miłosierdzie szerzej nieco szczotkę puszczając tak ażeby i sprzed drzwi nieznamomej panienci pył ściągnąć, gdy leciuchno ostrożnie drzwi się te otworzyły, tak że przez nie nic jeszcze dostrzec nie było można i po raz pierwszy Kaśka usłyszała:

- Moja panienko!

Uszczęśliwiona zbliżyła się do szpary... Drzwi otworzyły się nieco, rękE biała dała jej znak, aby weszła. W ręku tym biała złotówka, jakby dk oszczędzenia słów i prośby o usługę małą... Twarz pocziwej Kasi oblać się rumieńcem... Przed nią stała nieznamoma panna w szlafrocuku, w pół ubrana, blada, mizerna i widocznie chora.

- Moja panienko - rzekła jej cichym głosem - tyś tak dobra...

12

Chciała jej wcisnąć złotówkę, ale Kaśka, rękami machając, cofnęła się aż do progu.

- Jeśli masz czas, bądź łaskawa, zanieś moją karteczką lub odpraw przez kogo do doktora...

Mieszka niedaleko. Sama słaba, wyjść nie mogę, miłosierny spełnij uczynek.

- Ale jakże... ale z najmilszą chęcią - zawołała Kasia, chwytając papier żywo - odniosę zaraz. I dalibóg, niech panienska nie robi ceremonii, państwa w domu nie ma... ja bym w czym usłużyć mogła... panna tak sama, no i słaba.

- Nic, nic, tylko proszę o doktora, bo istotnie czuję się niedobrze.

Kaśka popatrzyła, objęła wejrzeniem pokoik cały, rada by była w dłuższą wdać się rozmowę, ale piliło Gak mówiła), zerwała się bieć do lekarza... W istocie nieznamoma panna drżała osłabiona i chwiała się na nogach.

Pomimo krótkiego pobytu na progu przedpokoju, od którego drzwi do mieszkania były otwarte, Kaśka widziała wiele, a przynajmniej więcej niż ktokolwiek bądź. Ale była z tej oznaki zaufania tak dumną, iż się swymi wiadomościami wcale popisywać nie chciała.

Ludzie widzieli ją, gdy wchodziła i wychodziła przez zakłete drzwi, ale gdy się jej pytali, okryła się tajemnicą, ruszyła ramionami i nie wydała, co tam zobaczyła.

W dwadzieścia minut może po powrocie Kaśki nadjechała karetka doktora i stary, zacny lekarz, znany całej Warszawie, żywo wbiegł na schody; panna Lenora, musiała go widzieć z okna, gdyż nim zapukał, otworzyła mu drzwi.

Wszedł do pokoiku i zdumiony powoli zbliżał się rozpatrując, jakby oczom nie wierzył

- Co pani tu robi? - zapytał - co to jest?

- Nie pytaj mnie, kochany konsyliarzu, co robię, dlaczego tu jestem, czemu mnie samą i w tym stanie znajdujesz - radź mi, bom chora.

Przybliżyła się do kanapki i powoli, jakby zesłabła, zsunęła się na nią.

Doktor milezący wziął za puls, począł badać, czoło mu się zmarszczyło, ramionami ruszył.

- Przepraszam panią - odezwał się - nie jest to niedyskrecja, ale konieczność. Lekarz musi czasem być spowiednikiem. Ja nie poznam choroby, nie rozumiejąc jej położenia.

Czarnymi oczyma smutnymi spojrziała z wyrzutem jakby na doktora panna Lenora, milczała długo, a usta jej drżały. Ręka jej, którą doktor

13

puścił, bezwładna leżała na stole biała, wychudła, a piękna jakby na wzór dla artysty... leżała bezmyślnie rzucona i przez nią malował się stan ducha zwątpiałego, zobojętniałego na wszystko.

- Co pani tu robisz? - powtórzył doktor.

- Widzisz, jestem tu, mieszkam sama, pracuję.

- Dlaczegoż sama i tu? Co się stało z wojewodziną?...

Lenora milczała długo, ukryła twarz w dłoniach, poczęła płakać i łkać.

- Wojewodziną umarła? - spytał doktor.

- Nie żyje - cicho odparła kobieta - nie żyje matka moja i dobrodziejka... nie mam na świecie nic i nikogo... oprócz słabych rąk i obłąkanej głowy...

- Ale przecież pani byłaś w jej domu jakby własne jej dziecię, niepodobna, ażeby cię tak zostawiła.

- Ona! - zawołała Lenora - ona! ten anioł dobroci! ona! a! nie posądzajcież jej...

- A więc?

- Tak się złożyły okoliczności, tak obowiązki kazały, bym wyszła, jak mnie widzicie - mówiła dumnie, Lenora - nie pytajcie mnie, nie dręczcie mnie. Błagam was! nie mogło być inaczej! Jest dobrze, tak jak jest!

Doktor słuchał milczący...

- Pani nie jesteś chorą - odparł, namyśliwszy się - ale na drodze do choroby, która się może stać niebezpieczną. Zmiana położenia, praca nad siły, przejście z wygod do mniej regularnego życia... osłabiły ją... potrzeba spoczynku, uspokojenia ducha, wzmocnienia materialnego... Co pani jada?

Lenora się zarumieniła.

- Uczę się być ubogą - zawołała - jem chleb, czasem piję kawę, dużo wody... bułkę... niekiedy trochę mięsa.

Stary słuchał posępny, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jako lekarz, stał wobec położenia i okoliczności utrudniających misję, nie pozwalających od razu rozstrzygnąć zawikłanego zadania.

- Ale to właśnie i praca nad siły rodzi chorobę! - zawołał - siedzenie! zamknięcie!

- A cóż robią ludzie, jak ja ubodzy, i na pracę skazani?

- Oni są po większej części nawykli do niej i do niedostatku.

14

- A ci, których wśród dostatku spotyka nędza i narzuca się im piu ca?

- Ci tak chorują, jak pani - rzekł lekarz - często nawet, nie będą tego pani ukrywał, nagle zmiana wywołuje nie tylko chorobę, sprowadza śmierć.

- O śmierć! - odezwała się, ruszając ramionami - śmierć nie jest straszna; co istotnie trwoży, to bezsilność i choroba... - Załamała ręce.

- Mówże pani ze mną szczerze - po chwili wstając z krzesła i zaczynając się przechadzać, począł doktor. - Wiesz pani dobrze, jak święte i wielkie są obowiązki nasze, chciałbym je choć w części spełnić. Nie kryj pani przede mną nic. Chcesz sobie sama wystarczyć i pewnie chwytasz się pracy niewłaściwej, gdy z jej talentami, nauką, mogłabyś łatwo...

- Przepraszam cię, doktorze:., chcę być samotną... nie chcę stosunków ze światem żadnych ani żadnych dłań zaciągać obowiązków.

Lekarz zamilkł.

- Ja się pani nie na wiele przydam - rzekł - popelniasz pani przez jakąś dumę rodzaj dobrowolnego samobójstwa. Co to pomoże, jeśli jej powiem: karm się mięsem, używaj ruchu i bądź wesołą.

- Ostatnie jest najlepsze - uśmiechając się, przerwała Lenora - admi-rowałam zawsze panów, zalecających pacjentom, ażeby się nie kłopotali niczym i unikali zmartwień, powinniście o to prosić Pana Boga!

- Lekarstwa innego do zapisania nie mam nad beefsteak... wino czerwone, zdrowy stół, świeże powietrze i ruch...

Lenora westchnęła. - To się równa wyrokowi na chorobę...

- Pani kochana - rzekł śmiejąc lekarz, siadając za stół znowu - powiedz mi szczerze swą historię, objaśnij położenie.

- Znasz je pan! widzisz ubogą sierotę bez żadnych zasobów, zmuszoną do pracy, zepsuta pieczytami i wygodami; dumną, złą, upartą i bardzo biedną.

Wstał stary zniecierpliwiony, biorąc za kapelusz.

- Zostały pani z dawnego jej położenia znakomite stosunki...

- Nikomu nic winną być nie chcę... Doktor ruszył ramionami.

- Cóż znowu! - zawołał prawie gniewnie - co za niedarowane dziwactwa!

Na te słowa powstała nagle Lenora, zarumieniwszy się, ale po chwili padła na siedzenie, bo się na nogach utrzymać nie mogła. Lekarz, podbiegłszy, posadził ją, widząc większe, niż się domyślał, osłabienie.

- Nazywasz to pan dziwactwem - odezwała się - sąd jest surowy.

15

puścił, bezwładna leżała na stole biała, wychudła, a piękna jakby na wzór dla artysty... leżała bezmyślnie rzucona i przez nią malował się stan ducha zwątpiałego, zubożonego na wszystko.

- Co pani tu robisz? - powtórzył doktor.

- Widzisz, jestem tu, mieszkam sama, pracuję.

- Dlaczego sama i tu? Co się stało z wojewodziną?...

Lenora milczała długo, ukryła twarz w dłoniach, poczęła płakać i łkać.

- Wojewodziną umarła? - spytał doktor.

- Nie żyje - cicho odparła kobieta - nie żyje matka moja i dobrodziejka... nie mam na świecie nic i nikogo... oprócz słabych rąk i obłąkanej głowy...

- Ale przecież pani byłaś w jej domu jakby własne jej dziecię, niepodobna, ażeby cię tak zostawiła.

- Ona! - zawołała Lenora - ona! ten anioł dobroci! ona! a! nie posądzajcież jej...

- A więc?

- Tak się złożyły okoliczności, tak obowiązki kazały, bym wyszła, jak mnie widzicie - mówiła dumnie, Lenora - nie pytajcie mnie, nie dręczcie mnie. Błagam was! nie mogło być inaczej! Jest dobrze, tak jak jest!

Doktor słuchał milczący...

- Pani nie jesteś chorą - odparł, namyśliwszy się - ale na drodze do choroby, która się może stać niebezpieczną. Zmiana położenia, praca nad siły, przejście z wygod do mniej regularnego życia... osłabiły ją... potrzeba spoczynku, uspokojenia ducha, wzmocnienia materialnego... Co pani jada?

Lenora się zarumieniła.

- Uczę się być ubogą - zawołała - jem chleb, czasem piję kawę, dużo wody... bułkę... niekiedy trochę mięsa.

Stary słuchał posepny, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jako lekarz, stał wobec położenia i okoliczności utrudniających misję, nie pozwalających od razu rozstrzygnąć zawikłanego zadania.

- Ale to właśnie i praca nad siły rodzi chorobę! - zawołał - siedzenie! zamknięcie!

- A coź robią ludzie, jak ja ubodzy, i na pracę skazani?

- Oni są po większej części nawykli do niej i do niedostatku.

14

- A ci, których wśród dostatku spotyka nędza i narzuca się im praca?

- Ci tak chorują, jak pani - rzekł lekarz - często nawet, nie będą tego pani ukrywał, nagła zmiana wywołuje nie tylko chorobę, sprowadza śmierć.

- O śmierć! - odezwała się, ruszając ramionami - śmierć nie jest straszna; co istotnie trwoży, to bezsilność i choroba... - Załamała ręce.

- Mówże pani ze mną szczerze - po chwili wstając z krzesła i zaczynając się przechadzać, począł doktor. - Wiesz pani dobrze, jak święte i wielkie są obowiązki nasze, chciałbym je

choć w części spełnić. Nie kryj pani przede mną nic. Chcesz sobie sama wystarczyć i pewnie chwytasz się pracy niewłaściwej, gdy z jej talentami, nauką, mogłabyś łatwo...

- Przepraszam cię, doktorze., chcę być samotną... nie chcę stosunków ze światem żadnych ani żadnych dlań zaciągać obowiązków.

Lekarz zamilkł.

- Ja się pani nie na wiele przydam - rzekł - popełniasz pani przez jakąś dumę rodzaj dobrowolnego samobójstwa. Co to pomoże, jeśli jej powiem: karm się mięsem, używaj ruchu i bądź wesołą.

- Ostatnie jest najlepsze - uśmiechając się, przerwała Lenora - admi-rowalam zawsze panów, zalecających pacjentom, ażeby się nie kłopotali niczym i unikali zmartwień, powinniście o to prosić Pana Boga!

- Lekarstwa innego do zapisania nie mam nad beefsteak... wino czerwone, zdrowy stół, świeże powietrze i ruch...

Lenora westchnęła. - To się równa wyrokowi na chorobę...

- Pani kochana - rzekł śmiejąc lekarz, siadając za stół znowu - powiedz mi szczerze swą historię, objaśnij położenie.

- Znasz je pan! widzisz ubogą sierotę bez żadnych zasobów, zmuszoną do pracy, zepsuta pieśczętami i wygodami; dumną, złą, upartą i bardzo biedną.

Wstał stary zniecierpliwiony, biorąc za kapelusz.

- Zostały pani z dawnego jej położenia znakomite stosunki...

- Nikomu nic winną być nie chcę... Doktor ruszył ramionami.

- Cóż znowu! - zawołał prawie gniewnie - co za niedarowane dziwactwa!

Na te słowa powstała nagle Lenora, zarumieniwszy się, ale po chwili padła na siedzenie, bo się na nogach utrzymać nie mogła. Lekarz, podbiegłszy, posadził ją, widząc większe, niż się domyślał, osłabienie.

- Nazywasz to pan dziwactwem - odezwała się - sąd jest surowy.

15

Odzywać się do ludzkiej pomocy może tylko ten, kto ma do niej jakieś prawa. Ja nie mam żadnych, ja żadnych nie roszczyć, ja sobie samej chcę być winna przyszłość, jeśli ją mam jaką.

- Jest to choroba dumy - łagodniej dodał lekarz.

- Ale choroby są w naturze człowieka, i ta moja gnieździ się we krwi... inną, jak jestem, być nie mogę.

Zmarszczyła brew, coś dzikiego patrzyło z jej ślicznych rysów, którym osłabienie i wychudzenie nadawało wyraz jeszcze więcej uderzający.

- Pani kochana, po cóżeś mnie tu wezwała, abym był świadkiem chyba i z bólem stąd odszedł... Cóż ja ci mogę poradzić, jeśli się chcesz zabić?

- Nie, zabić się nie chcę - odpowiedziała słabym głosem - choć życie dla mnie jest niezrozumiałe, choć nie pojmuję, na com się urodziła, rozumiem, iż nie przyszedłam na świat bez celu, dla igraszki... Czuję więc obowiązek wypić czarę do dna...

Samobójstwo w jakikolwiek sposób jest świętokradzkim porwaniem się przeciwko wyrokowi Bożym.

-Dlaczegoż nie chcesz pani pojąć zarazem, że jeśli życie ludzkie ma cel, nie może go mieć wzięte pojedynczo, zrozumieć je można tylko w związku ze społeczeństwem... A zatem od tej spójni dla dumy się odrywać, nie chcieć stosunków z ludźmi, jest także sprzeciwieniem się Bożym wyrokowi.

- Sofista jesteś, doktorze - odparła głosem słabym... I spuściła głowę, i po k>biecemu płacz ją porwał, jęknęła, dodając: - Nie mogę! nie mogę!

- Co pani nie możesz?

- Nic! nic! już milczę! nerwy mam podrażnione - rzekła nagle, opanowując się - nic!

Doktor, człek zacny, w którym długoletnia praktyka ludzkich niedoli zamiast serce przygłuszyć, rozwinęła uczucie i wyrobiła miłosierdzie, nie mógł tak chorej porzucić.

- Jeszcze pytanie - rzekł. - Mówisz mi pani, że nie masz nic... że chcesz żyć z pracy.

- Tak jest...

- Z jakiej?

- Z pracy rąk... szyję... haftuję... Lekarz wzruszył ramionami.

- Ale to marnowanie sił! to potrafi lada dziewczę bez wykształcenia. Znasz pani muzykę, języki, literaturę, rysunek... z tym przecie z głodu się nie umiera.

16

- Tak, ale z tym trzeba iść w świat, zebrać zajęcia, spijać upokorzenie i narażać się na najfałszywszy stosunek... Jestem nawykła do swobody, trzeba się uczyć służbistości i uległości... Ja tego nie mogę... ja przede wszystkim nie mam siły wejść w ten świat, w którym żyłam na stopie niepodległości i równości, jako służebnica zapłacona.

- To duma, brak siły moralnej, siły ducha - rzekł surowo lekarz - to uznanie słabości.

- Co chcesz! prawda, alem słaba! - kryjąc oczy ręką, zawołała Lenora -nie mogę. Drugiego dnia wybuchnęłoby ze mnie oburzenie... duch buntowniczy, który we mnie mieszka.

Pieszczona, zepsuta, dobrocią na stos się dam zaprowadzić, siłą ani na tron!

Doktor zamilkł

- Dość - rzekł - tego gadania, pani się męczysz bezpotrzebnie... na dziś egzamin skończony. Od lekarza możesz śmiało przyjąć obiad, który ci przyślę... bo go zapisuję jako receptę...

Zaczerwieniła się Lenora i załamała ręce.

- Na miłość Boga! nie czyn tego, otrujesz mnie - zawołała z ogniem w oczach - ja mam za co kupić kawałek mięsa... nie czyn ze mnie łaską żywione żebraczki!

- Dobrze! dobrze, nic nie przyślę - pospiesznie rzekł doktor - ale jeśli znajdę robotę w domu mogącą się odbywać, stosowniejszą dla pani...

- Wymodloną? przez miłosierdzie^poktorze! - krzyknęła Lenora.

- Nie proszoną, ale o którą pani się będą prosić. Cóż to znów za szaleństwo! - dodał groźno.

-Zobaczmy... zobaczmy...

Podala mu rękę, zatrzymała chwilę dłoń doktora, podniosła oczy łzawe i szepnęła:

- Doktorze! upokorzona, ucieknę... skryję się... oszczędzaj chorobę duszy mojej, choćbyś ją potępiał... Mów sobie, zem chora i zasługuję na litość i poszanowanie.

Stary nie powiedział słowa, uściskał jej rękę i wyszedł krokiem powolnym zamyślony głęboko, jak ten, który dotknął rany nieuleczonej i nie wie, co z nią pocnie.

Drzwi się za nim zamknęły, a w korytarzu cisza była znowu, i z samotnej izdebki żaden głos nie dochodził. Kaśka ośmielona zapukała, puszczono ją, poszeptala coś i uszczęśliwiona wyszła, czując się tym zaufaniem tajemniczej panienki podniesioną. Nie chciała już tego dnia nawet gadać 7 kucharką.

17

W kilka dni potem Kasia chwaliła się prześliczną chustą, która, zdanie wszystkich znawców, zgromadzonych w kuchence państwa Melchioros twa, mogła być warta jakie sto złotych może, kto wie? nawet więcej Pochodziła ona z narzuconego jej gwałtem daru panny Lenory, z czym siii nie tała. Wchodziła teraz do jej pokoiku i wychodziła swobodnie, kręcił; się, była dumną i szczęśliwą, ale co do szczegółów tyjących się panienk nader oszczędną. Nic z niej wydobyć nie było można, oprócz, że Lenore

Nieznany 'Ol Wyrażni

pan podniósł głowę... milczał.

- Wyrażnie mówiła, proszę pana, ani teraz - ani - nigdy.

Popatrzył na Kasie i jakby znajdował niewłaściwym dłużej z nią rozprawiać, skrzywił się, kiwnął głową i z wolna odszedł. Szedł zadumany, jakby sądził, że go na powrót zawołają.

Kasia patrzyła za nim na schodach, widziała, jak mu się ramiona ruszały, kapelusz trząsł, jak fatalnie jakoś machał laską, mykał się po schodach i znikł.

Kasia już miała odchodzić, gdy kapelusz zjawił się na nowo, laska także, chorą była nieco i że osoba ta, niezmiernej dobroci i grzeczności, całe serce ramiona i podniesiona głowa zdawała się jej szukać.

Kasia chwyciła...

- A już to panna! to panna! - mówiła ona - to zaraz znać, że to nie ładnie, ale pewnie dobrego domu dziecko... takie delikatne i ludzkie... Zeb) to się poskarżyło... żeby zażądało czego, jeszcze się jej narzucać trzeba, i chciałaby tylko dawać a dawać, żeby człeku najmniejszą pracę wynagrodzić.

Jednego dnia Kasia stała we drzwiach, gdy nieznamy mężczyźni nie podobał się Kasi.

- Panna nie wie, czy tu mieszka panna Lenora Zara? - zapytał.

- A tu - albo co?

- Chciałbym się z nią widzieć...

- Ja nie wiem, bo chora - rzekła Kasia. - Młody pan dobył z pugilaresik z kości słoniowej, herbem rzeźbionym ozdobnego, bilet, na którym st jakiś rogaty znak w kącie, podał go Kasi i prosił, aby podała go pani Lenorze z żądaniem widzenia się.

Kasia wśliznęła się...

Lenora siedziała z tą bezwładnością zamyśloną, z jaką przy mechanicznej pracy siedzi człowiek nienawykły do niej; głos Kasi obudził ją jakby uśpianą.

Na widok podsunętego biletu, tylko okiem nań rzuciwszy, zaczerwieniła porwała się, ręce się jej zatrzęsły i głos ledwie z ust mógł się dobyć.

- Nie mogę - zawołała - jestem chora, ani dziś, ani później - nigd powiedz temu panu... Nigdy!

I padła na kanapkę, a po chwili za Kasią pobiegła drzwi zaryglować Młodzieniec stał zamyślony u progu. Zrazu zdawał się niedobrze roz mieć. Kasia mu powtarzała: - Proszę pana, panna Lenora przeprasza (t dodała z własnej inicjatywy), że się widzieć nie może, ani teraz, ani nigdy.

- Panienko! - zawołał, wskazując, aby ku niemu zeszła. Służąca pochyliła się nieco.

-A co?

Wyciągnął paperek z uśmiechem jakimś niemiłym.

- Puść mnie waćpanna! ja się wytłumaczę.

- Co? co? - z oburzeniem odparła, cofając się sługa - ot to także... Mężczyzna postrzegł, że z tego nic nie będzie, skrzywił się i znów zbiegł

zbliżył się, zaglądając do nich... Młody był i piękny, ale wyraz jego twarzy) na dół. Ta próba przekupstwa smutne o nim dała wyobrażenie służącej, tle nie wspomniała o niej pannie Lenorze ani żadnemu ze znajomych. - Proszę ja kogo! - mruzczała tylko, nie mogąc się uspokoić - to lotra ca wał! myślał, że za pieniądze kupi sobie wejście... O! już pewnie z niczym łobrym nie przyszedł! Dopilnuję ja, żeby mi się tu nie pokazywał... a jeśli chce gwałtem się cisnąć, tak go miotłą zamaluję, że popamięta! Patrzcie 10 go! mądrała!

W parę dni przyszedł znów doktor, tym razem nie wezwany, ale musiał (dobrze do drzwi pukać, nim go wpuszczono. Zastał Lenorę nad robotą, bladą, z oczyma zaczerwienionymi, ale na pozór spokojną i pojednaną ze (swym losem. Zdawała się silniejszą.

- Przyszedłem się dowiedzieć, jakże pani jest - rzekł, stając na środku okoi i rozglądając się po nim uważniej niż za pierwszym razem.

Izdebka była od ulicy, niezłe oświetlona, mała, czysta, w jednym kącie lej łóżeczko, pokryte kapą ciemną, stoliczek z książkami, w drugim szafeczka, komódka i wielki stół do roboty. Stosy nut i książek leżały po-pwiązywane sznurami na podłodze, bo ich nie było gdzie

pomieścić. Przed kanapką stół cały był zarzucony bielizną i koronkami do naprawy. Lenora lachinalnie trzymała w rękach jeszcze swą robotę.

18

19

- Jakże pani jest? - spytał doktor.

- Lepiej mi, dziękuję konsyliarzowi, zupełnie nawet dobrze - odpowi działa ze spokojem udanym - naturalnie z każdym położeniem nowy ciało i dusza człowieka oswoić się musi... Przeżyłam snadź przesilenie czuję się... dobrze! zupełnie dobrze!

Spojrzała na niego, kiwnął głową niedowierzająco.

- A więc? - spytał.

- Więc zostanę, jak jestem... mój kochany konsyliarzu - dodała cicho -ale ponieważ byłeś łaskaw mnie odwiedzić, pozwól się prosić...

- O co tylko każecie!

- O jedną rzecz, która was niewiele kosztować będzie.

- No, no, bez wstępów.

- Dajcie mi słowo, że o mnie nie wspomnicie nikomu! nikomu! Doktor milczał, ona jakby czekała, a nie doczekawszy się odpowiedzi

dodała zaraz:

- Mam na was małeńkie posądzenie.

- Na mnie? ciekawym?

- Widzieliście się gdzieś z panem Alfredem. Doktor milczał.

- Powiedzieliście o mnie, wskazaliście mu adres i zrobił mi tę niewy słowioną przykrość, że chciał mnie odwiedzić.

- A wy...

- A ja byłam zmuszoną go nie przyjąć i nie przyjmę nigdy, a jeżeli si uprze pukać do drzwi moich... no, to ze stratą dla siebie wyniosę się tam gdzie mnie nie będzie mógł znaleźć.

- Przepraszam kochaną panią - odezwał się doktor po chwili milczeni - mogę dać słowo uczciwego człowieka - że pana Alfreda nie widziałem że mu o mieszkaniu pani nie mówiłem wcale.

- A któż mu to mógł powiedzieć?

- No, nie wiem, ale nie ja. Ponieważ mnie pani posądziłaś niesłuszni mam prawo się czymś pomścić i będę panią dręczył.

Jeszcze raz powtarzam, uchwyciłaś się pani najniepraktyczniejszej świecie idei żyć z tego, co najmniej umiesz i co najgorzej płaci. Jest t< jakby jubiler został dobrowolnie kowalem. Jeśli miłość własna w cierpi na tym, że cię znano w innym położeniu, jedź gdzie indziej, ale ni mórź się głodem dla fantazji.

- Przepraszam - dodał doktor - panna jesteś młoda, mówię ja ojciec.

- Jak od ojca przyjmuję i jak przed ojcem się dospowiadam do końca.

Rzuciła robotę na stolik, założyła ręce, poczęła mówić głosem słabym, który co chwila rósł, stawał się patetyczniejszym, bardziej przejmującym.

-Nie mogę iść szukać chleba tam, gdzie niedawno byłam równą... gdzie mnie sadzano na pierwszym miejscu... nie dla fałszywego wstydu, ale dlatego, by mnie palcami nie pokazywano. Mogłabym, masz słuszność... oddalić się, ale wiesz, doktorze, co to oddalenie od miejsc, pełnych pamiątek dla sieroty, co nie ma nikogo na świecie... Nie miałabym siły na to. Moje wspomnienia są mi rodziną, przeszłością, ojczyzną... tu mogę pójść na grób przybranej matki mojej, tu mi się zdaje, że ją jeszcze mam, tum ja nie sama... niezupełnie sierota... Wypędzona stąd, umarłabym z tęsknoty...

- Zatem - rzekł doktor, siłac się na okazanie chłodnym, aby jej wzruszenia nie zwiększać - zatem, co lepiej? z tęsknoty umierać, czy z głodu?

Cichuteczko szepnęła Lenora:

- Z głodu, doktorze.

- Nie ma co mówić, ceruj pani bieliznę...

Wstał z krzeselka... Lenora z uśmiechem rezygnacji podała mu rączkę, a doktor zatrzymał ją, aby puls wy badać i po chwili dopiero puścił.

- Doktorze - powtórzyła - ani słówka o mnie.

- Bardzo dobrze! stanie się, jak pani chcesz, ale jeśli pan Alfred już wie o jej mieszkaniu...

- Nie spodziewam się, aby tu przyszedł po raz drugi.

- Ja przeciwnie.

- Nie znasz pan pana Alfreda-bledniejąc i drżąc, odparła Lenora-były to odwiedziny dla przyzwoitości, nieuniknione, nie wróci więcej, bo wie, że go nie przyjmę nigdy.

Po wejściu doktora, drzwi zostały otwarte i w chwili gdy tych słów domawiała, z przerażeniem usłyszała pukanie, a po nim natychmiast ukazał się w progu mężczyzna młody, ten sam właśnie, o którym była mowa.

Światło od okna padało wprost na jego twarz pięknych rysów, ale dziwnie przykrego, zimnego i dumnego razem, nielitościwego wyrazu. Na widok jego Lenora porwała się z kanapki, dając znak doktorowi, aby został, i drżącą ręką wskazała mu drzwi.

20

21

- Przepraszam pana - rzekła - ja jestem chora i nie przyjmuję nikogo. Pan Alfred stał z miną kwaśną.

- Powtarzam panu - dodała, ukazując mu drzwi - jestem u siebie, nie przyjmuję nikogo.

- Nawet mnie? - rzekł sucho mężczyzna.

- Nikogo! nikogo! - z nerwowym wybuchem, podnosząc głos, wołał; Lenora - a jeśli jeszcze raz zechcesz pan niepokoić mnie, będę zmuszon. zmienić mieszkanie, uciec z miasta.

Pan Alfred począł się uśmiechać; spoglądając na milczącego doktora ruszył ramionami.

- Biorę kochanego konsyliarza za świadka, że przychodziłem, że chciał ofiarować moje usługi... że je stanowczo odrzucono...

- Żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję - dumnie i stanowczo zawołała panna Lenora.

- Słyszę, podziwiam - uśmiechając się, dodał pan Alfred - ale...

- Proszę pana wyjść. Widzisz pan doktora, który przyszedł mi radzić., czy to nie starczy?

- Słowo tylko, jedno słówko - zimno odpowiedział pan Alfred -wszystko to dobre, ale potem... potwarz na nas rzuca, że my nie spełni liśmy, cośmy byli powinni... Świadkiem niech będzie doktor.

Lenora gwałtownie odwróciła się, jakby z rozpaczą, od pana Alfreda

- Powiedzie mu, konsyliarzu, że ja nie mogę nie tylko mówić, ale słuchać, że to mnie zabija.

Doktor, naprawdę przeląkłszy się egzaltacji, z jaką te wyrazy wymó wionę zostały, skłonił się, podszedł do mężczyzny i ujawszy go pod rękę prawie gwałtem wyprowadził z pokoju.

Zeszli ze schodów w milczeniu, ale po fizjonomii Alfreda znać było, że potrzebował się wygniewać i wygadać.

- Kochany konsyliarzu - rzekł, gdy stanęli w bramie - mimowolny byłeś świadkiem niemiłej sceny między mną a panną Lenora. Idzie m! wielce o zdanie twe i sąd w tej sprawie, uczyn mi tę łaskę i racz zajść d mnie, abym mógł i siebie, i rodzinę ciotki mej, pani wojewodzinej, wytl maczyć...

- Ale cóż ja mam za prawo się w to mieszać?

- Ja pana proszę... ja chcę, byś ludzi złej woli mógł objaśnić...

- Wolałbym wcale o niczym nie wiedzieć - rzekł skłopotany doktor czasu mam mało.

- Pół godzinki, opowiem wszystko w krótkości.

Pochwycony pod rękę, pociągniony niemal gwałtem, doktor, rad nie-rad, zmuszony został pójść za panem Alfredem do mieszkania, które on tymczasowo w hotelu Angielskim zajmował.

Apartament młodego panicza zwiastował bardzo zamożnego człowieka. Służący w herbowej liberii zjawił się zaraz w progu.

Alfred przykazał mu, aby nie wpuszczał nikogo, podał doskonale cygara gościowi i przysunawszy fotel, rozpoczął w te słowa opowiadanie z chłodem, w którym źle ukrywane tało się podrażnienie.

- Muszę rozpocząć, niestety, tę smutną historię heroiny od jej pierwszych początków. Ciotka moja, wojewodzina, jak zapewne konsylerzowi wiadomo, była w pierwszym swym małżeństwie bezdzielną; już nie w pierwszej młodości wyszła za drugiego swego męża, który jej staraniem kreowany był w r. 1831 wojewodą. Człowiek to był niemający, wcale dobry, nie bez zalet i talentów, ale słaby i winien wszystko żonie, pełnił jej wolę, całe życie pod pantoflem spoczywając. Wojewodzinę wszyscy zwali aniołem dobroci, była w istocie dobrą, jak są egoiści, którzy z całym światem chcą być w zgodzie, aby im nic ulubionego, pieszczonego spokoju nie przerywało. Wojewodzina pod tym pozorem dobroci, dobroczynności, łagodności, kryła samowolność, egoizm, dziwactwa najosobliwsze. Niegdyś bardzo piękna i uwielbiana, na starość słodyczą i pochlebstwem jednała sobie serca, potrzebując od ludzi kadzideł, woni i słodyczy.

Zresztą była miłą, uprzejmą... dla wszystkich równie uczynną, najbardziej dla tych, których się obawiać mogła.

- Surowym pan jesteś - szepnął doktor.

- Jestem sprawiedliwy - sucho odparł pan Alfred. - Jeszcze za życia męża, nie mając dzieci, a wiecznie potrzebując, aby ją ktoś w rękę całował i pieścił, i do nóg jej padał, wojewodzina wzięła na wychowanie sierotkę... naprawdę nikt nie wie dobrze skąd, jakiego rodzaju... nie mogę przysiąc, żeby to nie było żydowskie lub cygańskie dziecko nawet... słowem podrzutka jakiegoś... przywiązała się do niego do szaleństwa... bo dzieciak mądry udawał czy w istocie kochał ją namiętnie!

Cóż dziwnego! wzięto to spod płotu, ze śmieciska, a wychuchano jak pańskie dziecko, wykołysano w koronkach; nie było dla kochanki tej nic za drogiego, ani sukienki, ani nauczyciela, ani fantazyjki jej... Zabawki sporowadzano z Londynu... bony z Paryża... a że dziecina jeszcze była ładna, dowcipna, utalentowana, bystra... wojewodzina bawiła się nią

22

23

- Przepraszam pana - rzekła - ja jestem chora i nie przyjmuję nikogo.

Pan Alfred stał z miną kwaśną.

- Powtarzam panu - dodała, ukazując mu drzwi - jestem u siebie, nie przyjmuję nikogo.

- Nawet mnie? - rzekł sucho mężczyzna.

- Nikogo! nikogo! - z nerwowym wybuchem, podnosząc głos, wołał; Lenora - a jeśli jeszcze raz zechcesz pan niepokoić mnie, będę zmuszon; zmienić mieszkanie, uciec z miasta.

Pan Alfred począł się uśmiechać; spoglądając na milczącego doktora ruszył ramionami.

- Biorę kochanego konsyliarza za świadka, że przychodziłem, że chciałem ofiarować moje usługi... że je stanowczo odrzucono...

- Żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję - dumnie i stanowczo zawołała panna Lenora.

- Słyszę, podziwiam - uśmiechając się, dodał pan Alfred - ale...

- Proszę pana wyjść. Widzisz pan doktora, który przyszedł mi radzić, czy to nie starczy?

- Słowo tylko, jedno słówko - zimno odpowiedział pan Alfred | wszystko to dobre, ale potem... potwarz na nas rzucą, że my nie spełni liśmy, cośmy byli powinni... Świadkiem niech będzie doktor.

Lenora gwałtownie odwróciła się, jakby z rozpaczą, od pana Alfreda

- Powiedźże mu, konsyliarzu, że ja nie mogę nie tylko mówić, ale słuchać, że to mnie zabija.

Doktor, naprawdę przelękłszy się egzaltacji, z jaką te wyrazy wymów wionę zostały, skłonił się, podszedł do mężczyzny i ujawszy go pod rękę prawie gwałtem wyprowadził z pokoju.

Zeszli ze schodów w milczeniu, ale po fizjonomii Alfreda znać było, iż potrzebował się wygniewać i wygadać.

- Kochany konsyliarzu - rzekł, gdy stanęli w bramie - mimowolny byłeś świadkiem niemiłej sceny między mną a panną Lenora. Idzie wielce o zdanie twe i sąd w tej sprawie, uczyn mi tę łaskę i racz zajść do mnie, abym mógł i siebie, i rodzinę ciotki mej, pani wojewódzkiej, wyłmaczyć...

- Ale cóż ja mam za prawo się w to mieszać?

- Ja pana proszę... ja chcę, byś ludzi złej woli mógł objaśnić...

- Wolałbym wcale o niczym nie wiedzieć - rzekł skłopotany doktor czasu mam mało.

- Pół godzinki, opowiem wszystko w krótkości.

Pochwycony pod rękę, pociągnięty niemal gwałtem, doktor, rad nie-rad, zmuszony został pójść za panem Alfredem do mieszkania, które on tymczasowo w hotelu Angielskim zajmował.

Apartament młodego panicza zwiastował bardzo zamożnego człowieka. Służący w herbowej liberii zjawił się zaraz w progu.

Alfred przykazał mu, aby nie wpuszczał nikogo, podał doskonale cygara gościowi i przysunąwszy fotel, rozpoczął w te słowa opowiadanie z chłodem, w którym źle ukrywane tało się podrażnienie.

- Muszę rozpocząć, niestety, tę smutną historię heroiny od jej pierwszych początków. Ciotka moja, wojewodzina, jak zapewne konsylia-rzowi wiadomo, była w pierwszym swym małżeństwie bezdzielną; już nie w pierwszej młodości wyszła za drugiego swego męża, który jej staraniem kreowany był w r. 1831 wojewodą. Człowiek to był niemający, wcale dobry, nie bez zalet i talentów, ale słaby i winien wszystko żonie, pełnił jej wolę, całe życie pod pantoflem spoczywając. Wojewodzinę wszyscy zwali aniołem dobroci, była w istocie dobrą, jak są egoiści, którzy z całym światem chcą być w zgodzie, aby im nic ulubionego, pieszczonego spokoju nie przerywało. Wojewodzina pod tym pozorem dobroci, dobroczynności, łagodności, kryła samowolność, egoizm, dziwactwa najosobliwsze. Niegdyś bardzo piękna i uwielbiana, na starość słodyczą i pochlebstwem jednała sobie serca, potrzebując od ludzi kadzideł, woni i słodczy.

Zresztą była miłą, uprzejmą... dla wszystkich równie uczynną, najbardziej dla tych, których się obawiać mogła.

- Surowym pan jesteś - szepnął doktor.

- Jestem sprawiedliwy - sucho odparł pan Alfred. - Jeszcze za życia męża, nie mając dzieci, a wiecznie potrzebując, aby ją ktoś w rękę całował i pieścił, i do nóg jej padał, wojewodzina wzięła na wychowanie sierotkę... naprawdę nikt nie wie dobrze skąd, jakiego rodzaju... nie mogę przysiąc, żeby to nie było żydowskie lub cygańskie dziecko nawet... słowem podrzutka jakiegoś... przywiązała się do niego do szaleństwa... bo dzieciak mądry udawał czy w istocie kochał ją namiętnie!

Cóż dziwnego! wzięto to spod płotu, ze śmieciska, a wychuchano jak pańskie dziecko, wykołysano w koronkach; nie było dla kochanki tej nic za drogiego, ani sukienki, ani nauczyciela, ani fantazyjki jej... Zabawki sporowadzano z Londynu... bony z Paryża... a że dziecina jeszcze była ładna, dowcipna, utalentowana, bystra... wojewodzina bawiła się nią

22

23

zupełnie, jak to się stare panie bawią piaskami, nie pomnąc, że piesko potem, nawykłym do pieszczot, źle na świecie być może.

Familia wojewodzinej sprzeciwić się temu nie mogła... Majątek miał; ogromny, a narazić się jej, było to wykluczyć się samemu od spodziew; nego spadku. Wszyscy więc nie tylko padali przed wychowanką, pochw; lali fantazję staruszki... ale starali się przez pannę Lenorę łaskę

jej pozyskać. Lena była panią wszechwładną majątku, domu, serca wojewodziny. Ale cóż było na to poradzić... Musieliśmy milczeć.

Wiedzieliśmy, że w testamencie, choćby chciała, znacznego jej legat nie zrobi, a w ostatku spodziewaliśmy się zrobiony nawet unieważnić, ostatnich latach przed śmiercią, w miarę jak słabła wojewodzina, władz wychowanki stawiała się coraz większą... a jednej chwili bez niej starasz się obejść nie mogła.

Nie mogę nic powiedzieć przeciwko panie Lenorze, nie zepsuło jej to na pozór, ale wykołysało w niej dumę i miłość własną niezmierną.

Jako siostrzeniec wojewodziny, bywałem bardzo często w jej domu byłem młody, Lenora była i jest piękną; ciocia widziała mnie rada czule się zbliżającym do niej, byłem więc grzeczny, ale nic więcej, tylko grzeczny. Czy wzięła to opacznie i wyobraziła sobie coś więcej, niż było, o tym ni wiem. Ciocia zagadywała mnie wiele razy, starała się mnie wybadać chwalilem Lenę, ale miałem się na ostrożności, nie chcąc ani drażnić staruszki, ani się kompromitować.

Że mnie ciągnięto i życzone sobie, to nie ulega wątpliwości... a że ja lada przybędą nie mogłem się żenić ani pomyśleć, to pewna. Myśl tak mogła się tylko zrodzić w głowie dzieciniałej staruszki i rozpieszczony go, zepsutego stworzenia.

Ruszył ramiony pan Alfred, spoglądając na doktora, który palił cygaro zapatrzył się w okno.

- To wstęp do tej historii - mówił dalej pan Alfred. - Powtarzam, że ni ujmę bynajmniej panie Lenorze wysokich zalet... jest to osoba, mogąca na królewskich wystąpić salonach.. Wojewodzina ją do śmieszności twiała.

Już pod koniec życia, kiedy staruszka była chora i z krzesła się ni ruszała... a my coraz bardziej naturalnie trwożyliśmy się o ten nieszczęsny testament, wysłała mnie matka do cioci nieboszczki, aby ją ująć w jak: kolwiek sposób, słysząc, że się zbierała do zrobienia tego aktu stanowcz Szło nam o to, aby nie przekazała majątku drugiej siostry dziecio Pojechałem...

Drugiego czy trzeciego dnia pobytu staruszka jakem się spodziewał, oddaliwszy od siebie cały dwór, przywołać mnie kazała. Była to chwila stanowcza, jak dziś pamiętam rozmowę.

- Fredku mój - rzekła staruszka, kładąc mi wychudłą rękę na dłoni -ja się coś źle czuję, podobno mi już niedługo na tym świecie przyjdzie z wami pozostać! Co się wówczas stanie z moją drogą córką, z moim aniołem, z moją Lenorcią? Tyś jej zawsze okazywał wiele współczucia, wiele dla niej sympatii, ja w tobie pokładam nadzieję, że ty swój los z jej losem połączysz. Jest godną ciebie... wychowałam ją jak królewskie dziecko... śliczna, rozumna, utalentowana... miła, dobra... Któż zważa dziś na pochodzenie... Ona była jakby moim własnym dzieckiem.

Alfredku... uspokój mnie...

Cóż miałem uczynić, kochany konsyliarzu... co? powiedz? Miałem powiedzieć jej - nie chcę! nie mogę? Musiałem zbyć kobiecinę dwuznacz-nikiem, aby jej nie martwić, w duszy przyrzekając sobie, że będę się starał panie Lenorze to wynagrodzić.

Ożenić się, mimo jej ślicznych oczów, nie mogłem; cioci tego powiedzieć nie było podobna, odrzekłem więc ni to, ni owo. Dałem słowo tak, jak ci tu mówię:

- Niech ciocia będzie o los panny Lenory spokojną!

I pocałowałem staruszkę w rękę, stara pocałowała mnie w głowę i na tym się skończyło. Na tej podstawie staruszka zrobiła testament, zapisując nam cały majątek, a Lenorze parękroć sto tysięcy tylko.

- A więc był zapis dla niej! - zawołał doktor.

- Którego ona nie przyjęła - odparł pan Alfred - dlatego, że jej się pewnie zdawało, iż cały majątek jej się należy razem ze mną. Parękroć sto tysięcy było za wiele dla niej, to pewna, ale byśmy byli jej pensję zapewnili... Tymczasem ciocia zmarła...

Do ostatniej godziny byliśmy przy niej; to prawda, że umierając, jeszcze rękę panny Lenory i moją razem ścisłała w stygnących już dłoniach. Nie chciałem jej martwić i sprzeciwiać się,

myślałem, że dziewczyna ma przecież tyle rozsądku, iż zrozumie tę komedię przymusową. Ale nie, jej się śniło, że ja się z nią ożenię, wbiła to sobie w głowę, a gdy mama po śmierci cioci dała jej do zrozumienia, kim ona jest i jakie dla niej właściwe stanowisko... zabrawszy tylko, co miała sobie przez nieboszczkę darowanym, nie chcąc od nas nic więcej, wyleciała zagniewana. Oto masz, kochany konsyliarzu, całą historię w ogólnych rysach. Powiedz mi, com ja tu winien? Mógłżem postąpić inaczej! Nie jestem bez czucia, bez serca, że

24

25

coś d'a niej zrobić należy przez samą pamięć dla nieboszczki... ale przyznam ci się, że ani tych zapisanych dwóchkroć, ani takiego głupiego ożenienia... wymagać po nas nie może... Cała rzecz - ciągnął dalej pan Alfred - rozpieszczono to, zepsute, dumne... a zapomniało, że czym jest, winna cioci... że walałaby się gdzieś p karczmach może, gdyby nie ona. Alboż to małe dobrodziejstwo talenta które z naszej łaski posiada, wykształcenie, ton dobry... może pójść gdzie za guwernantkę... ma los i chleb w ręku. Z tego, co ciocia jej dawała] garderoby, fraszek... niceśmy jej nie odebrali, choć były rzeczy bardz(kosztowne, pamiątkowe... zapakowała, co chciała wywiozła. Jeden forte pian Erarda mama zatrzymała dla salonu, choć niby jej był, bo nawet nazwisko było wypisane... No! ja tego nie pochwałam... ale proszę doktora mama mogła to uczynić! Należał do salonu...

Doktor palił cygaro, nie dając najmniejszego znaku ani zgody, ani przeciwności, słuchał martwo i tak, jakby już naprzód wiedział, co mi ten pan powie, zdając się tylko z upragnieniem czekać końca.

Pan Alfred tryumfująco skończył z uśmiechem człowieka, który pewien jest, że przekonał i spodziewa się głośniejszej aprobaty. Zdziwił się, nie mogąc i ust doktora doczekać się ani słowa. Po długim przestanku doktor westchnął, wziął kapelusz powoli, skłonił się i chciał odchodzić.

- No... ale jakże... szczerze? mów! co sądzisz, jak miałem postąpić? -naglił Alfred.

- Jak pan miałeś postąpić, nie wiem - rzekł doktor chłodno - ale to pewna, że ja na jego miejscu byłbym ani staruszki, ani panny nie zwodził.

- No tak! a spadek poszedłby na drugą linię! - zawołał Alfred, ręce łamiąc - wiesz, konsyliarzu, że to przecie parę milionów.

Doktor nic nie odpowiedział i znów się wybierał.

- Czekaj, słowo! - dodał młodzieniec, chwytając go. - Znasz ją, wiesz2 teraz interesu, bądź pośrednikiem. Damy jej pensji dożywotniej par< tysięcy i niech nam da pokój... Co?

- Mogę was zapewnić, że gdybyście jej cały spadek po wojewodzinie oddać chcieli, to go nie weźmie.

Alfred się cofnął.

- Ja to ofiaruję z litości, obowiązku nie mam...

-Właśnie tej litości ona nie zechce od was. Ale, szanowny panie, pozwó sobie powiedzieć, że gdyby ona mniej była bezinteresowną, a znalazł si prawnik śmiały, wyprocesowałby z was łatwo całe dwakroć sto tysięcy.

- Nie - rzekł zimno Alfred - ja byłem w czasie pisania testamentu i dopilnowałem się. Zapis jest nieformalny.

- Jak to? w jednym testamencie dar dla was ważny, a dla niej nieformalny? - z oburzeniem ironicznie spytał doktor.

Pan Alfred bynajmniej się nie zmieszał.

- Nie jesteś prawnikiem, doktorze - odpowiedział - co innego jest zapis dla rodziny, czym innym dar osobie obcej. Powinna go była inną uczynić formą.

Zwycięsko się uśmiechnął.

Lekarz spojrział i nie odpowiadając ani słowa, tym razem na dobre pożegnał pana Alfreda i oddalił się. Po wyjściu jego młody panicz zapalił nowe cygaro, siadł w fotelu i zamyślił się.

- Ha! no! nie chce nas znać! nie chce nic - to nie! mniejsza o to! - zawołał, konkludując - to mi wszystko jedno!

Chociaż pan Alfred mówił przed sobą, że mu to zupełnie było jedno, iż go panna Lenora znać nie chciała, nazajutrz wszakże, przeszedłszy się po świecie, podrażniony kilku szyderskimi pytaniami i pewnym tonem, z jakim go po towarzystwach spotykano, musiał nieco zmienić przekonanie, gdyż z wieczora postanowił dostać się jeszcze do Lenory i rozmówić z nią koniecznie.

Zamknięte i wyraźnie zakazane mu drzwi jej nie zdawały się dlań przeszkodą nie do przemożenia, raz bowiem już ten próg mimo woli pani przestąpił, i nie wątpił, że powtórzyć to potrafi.

Był pewny prawie, że doktor będzie znów u swej pacjentki, postanowił z tego podobnie jak pierwszym razem korzystać. Znając bardzo dobrze miasto, zasiadł w niedalekiej cukierni, czatując na konsyliarza, którego karetka w istocie zatrzymała się przed pałacem Zamoyskich. Pan Alfred, przepuściwszy doktora przodem i dawszy mu wnijsć na piętro, wsunął się za nim... A że rozmowy swej z panną Lenorą nie chciał go mieć świadkiem, skłonił się do wyczekiwania w korytarzu na spodziewane rychłe wyjście konsyliarza. Wszystko to wcale niezgrabnie było ukartowane, a jednak, jak wiele śmiałych pomysłów, udało się nieźle. W chwili gdy doktor wychodził, nie patrząc na przyciemniony korytarz, pan Alfred poza nim nie zaryglowane drzwi otworzył, szybko je za sobą zamknął i stanął przed zdziwioną tym zuchwalstwem Lenorą.

26

27

coś d'a niej zrobić należy przez samą pamięć dla nieboszczki... ale przyznam ci się, że ani tych zapisanych dwóchkroć, ani takiego głupiego ożenienia... wymagać po nas nie może... Cała rzecz - ciągnął dalej pan Alfred - rozpieszczono to, zepsute, dumne... a zapomniało, że czym jest, winna cioci... że walałaby się gdzieś pi karczmach może, gdyby nie ona. Alboż to małe dobrodziejstwo talenta które z naszej łaski posiada, wykształcenie, ton dobry... może pójść gdzie' za guwernantkę... ma los i chleb w ręku. Z tego, co ciocia jej dawała garderoby, fraszek... niceśmy jej nie odebrali, choć były rzeczy bardz< kosztowne, pamiątkowe... zapakowała, co chciała wywiozła. Jeden forte pian Erarda mama zatrzymała dla salonu, choć niby jej był, bo nawet nazwisko było wypisane... No! ja tego nie pochwalam... ale proszę doktora mama mogła to uczynić! Należał do salonu...

Doktor palił cygaro, nie dając najmniejszego znaku ani zgody, ani przeciwności, słuchał martwo i tak, jakby już naprzód wiedział, co mi ten pan powie, zdając się tylko z upragnieniem czekać końca.

Pan Alfred tryumfująco skończył z uśmiechem człowieka, który pewier jest, że przekonał i spodziewa się głośnej aprobaty. Zdziwił się, nie mogąc 3 ust doktora doczekać się ani słowa. Po długim przestanku doktor westchnął, wziął kapelusz powoli, skłonił się i chciał odchodzić.

- No... ale jakże... szczerze? mów! co sądzisz, jak miałem postąpić? -naglił Alfred.

- Jak pan miałeś postąpić, nie wiem - rzekł doktor chłodno - ale te pewna, że ją na jego miejscu byłbym ani staruszki, ani panny nie zwo dził.

- No tak! a spadek poszedłby na drugą linię! - zawołał Alfred, ręcfi łamiąc - wiesz, konsyliarzu, że to przecie parę milionów.

Doktor nic nie odpowiedział i znów się wybierał.

- Czekał, słowo! - dodał młodzieniec, chwytając go. - Znasz ją, wiess teraz interesa, bądź pośrednikiem. Damy jej pensji dożywotniej par< tysięcy i niech nam da pokój... Co?

- Mogę was zapewnić, że gdybyście jej cały spadek po wojewodzinifi oddać chcieli, to go nie weźmie.

Alfred się cofnął.

- Ja to ofiaruję z litości, obowiązku nie mam...

-Właśnie tej litości ona nie zechce od was. Ale, szanowny panie, pozwól sobie powiedzieć, że gdyby ona mniej była bezinteresowną, a znalazł si[^]

26

prawnik śmiały, wyprocesowałby z was łatwo całe dwakroć sto tysięcy.

- Nie - rzekł zimno Alfred - ja byłem w czasie pisania testamentu i dopilnowałem się. Zapis jest nieformalny.

_ Jak to? w jednym testamencie dar dla was ważny, a dla niej nieformalny? - z oburzeniem ironicznie spytał doktor. Pan Alfred bynajmniej się nie zmieszał.

- Nie jesteś prawnikiem, doktorze - odpowiedział - co innego jest zapis dla rodziny, czym innym dar osobie obcej. Powinna go była inną uczynić formą.

Zwycięsko się uśmiechnął.

Lekarz spojrzął i nie odpowiadając ani słowa, tym razem na dobre pożegnał pana Alfreda i oddalił się. Po wyjściu jego młody panicz zapalił nowe cygaro, siadł w fotelu i zamyślił się.

- Ha! no! nie chce nas znać! nie chce nic - to nie! mniejsza o to! - zawołał, konkludując - to mi wszystko jedno!

Chociaż pan Alfred mówił przed sobą, że mu to zupełnie było jedno, iż go panna Lenora znać nie chciała, nazajutrz wszakże, przeszedłszy się po świecie, podrażniony kilku szyderskimi pytaniami i pewnym tonem, z jakim go po towarzystwach spotykano, musiał nieco zmienić przekonanie, gdyż z wieczora postanowił dostać się jeszcze do Lenory i rozmówić z nią koniecznie.

Zamknięte i wyraźnie zakazane mu drzwi jej nie zdawały się dlań przeszkodą nie do przemożenia, raz bowiem już ten próg mimo woli pani przestąpił, i nie wątpił, że powtórzyć to potrafi.

Był pewny prawie, że doktor będzie znów u swej pacjentki, postanowił z tego podobnie jak pierwszym razem korzystać. Znając bardzo dobrze miasto, zasiadł w niedalekiej cukierni, czatując na konsyliarza, którego karetka w istocie zatrzymała się przed pałacem Zamoyskich.

Pan Alfred, przepuściwszy doktora przodem i dawszy mu wnijsć na piętro, wsunął się za nim... A że rozmowy swej z panną Lenorą nie chciał go mieć świadkiem, skłonił się do wyczekiwania w korytarzu na spodziewane rychłe wyjście konsyliarza. Wszystko to wcale niezgrabnie było ukartowane, a jednak, jak wiele śmiałych pomysłów, udało się nieźle. W chwili gdy doktor wychodził, nie patrząc na przyciemniony korytarz, pan Alfred poza nim nie zaryglowane drzwi otworzył, szybko je za sobą zamknął i stanął przed zdziwioną tym zuchwalstwem Lenorą.

27

Wyraz jej twarzy malował dostatecznie oburzenie, które nią ca wstrząsnęło na widok śmiałka, co się stawił, z dumą i zuchwalstwie narzucając... Nie znalazła wyrazów w pierwszej chwili na ustach... i rękę tylko konwulsyjnie podniesioną drzwi mu wskazała.

- Przepraszam panią - gniewnie zawołał pan Alfred - czy się pa podoba, czy nie, rozmówić się raz musimy. Winnaś to pani jeśli nie mni to tej rodzinie, której obowiązana jesteś wszystko... to pamięci mej ci tki...

Milcząca Lenora ruszyła ramionami, bała się ust otworzyć może, b1 zanadto nie powiedzieć.

- Tak jest - kończył pan Alfred, krocząc ku środkowi pokoju - wymaj gam rozmowy stanowczej.

- Słucham pana.

- Raz rozrachunek między nami musi być skończony... Pani winnaś md rodzinie byt, wychowanie, talenta, opiekę... i odwdzięczasz się jej za td rzucając na nią swym postępowaniem cień... potwarz, posądzenie.

Lenora się podniosła z brwią straszliwie zmarszczoną.

- Anioł by nie wytrwał... nie przeniósł cierpliwie tego, co mi pan śmiesł mówić. Warn, rodzinie waszej, nie winnam nic, wszystko zmarłej mej świętej opiekunce... z wami nic mnie

nie wiąże, i nie chcę, by mni cokolwiek łączyło. Otrząsałam proch z nóg mych, rzucając dom, który si stał waszym.

- Za cóż te gniewy? za co? - podchwycił Alfred - czy za zawiedzion nadzieje, którymi ja nigdy pani nie karmiłem! Dla osłodzenia cioci ostaat' nich chwil musiałem potakiwać, nigdy nic nie przyrzekając...

Wielkim dzikim śmiechem otwały się usta Lenory i ręce, uderzając je siebie, załamała.

- Jak to? pan myślisz, pan posądzasz mnie, że jam kiedykolwiek n , jedną sekundę, na chwileczkę dała się uwieść tej komedii, że ja nie rozu miałam? A to wyborne! Pan nie wiesz, że miałabym się za najnieszczęsliwszą istotę na ziemi, gdyby mnie był los do was przykuł. Raczej śmierć! Jam także dla tej nieszczęśliwej opiekunki, dobrodziejki mej, tego anioła musiała się skłonić do posłuszeństwa pozornego jej woli, aby o los mój spokojną usnęła. Stamtąd, z niebios, widzi ona moją ofiarę... spełnioną i rezygnacją, mimo całego wstrętu mego do fałszu, którym ja także karmić)l musiałam. I pan pomyśleć mogłeś, że ja!! - Roześmiała się dziko... ^ Alfred obrażony stał, kręcąc kapeluszem.

- Na miłość Boga, ja do was, panie Alfredzie, najmniejszego nie mani

28

żału... waszą grę od pierwszej chwili widziałam jasno, rozumiałam doskonale i pomogłam jej dla spokoju staruszki...

- Przypuszczam, że tak było, jak pani mówisz - odparł sucho Alfred - za cóż gniewy? dąsania...

- Ani gniewu, ani dąsania, tylko pozwólcie, że żadnych stosunków mieć nie mogę i nie chcę z rodziną pańską... Ja, jak wy mówiliście nieraz, jestem sierotą spod płota wziętą, co prawda... wy należycie do innego świata...

Ukloniła mu się, odchodząc od okna, on stał zły...

- Jam wam wszystko winna, wy mnie nic? a zatem po cóż mnie dręczycie? powiedzcie, com dłużna i jak mam wypłacić?

- Tym przynajmniej, abyś pani ku nam nienawiści nie miała - rzekł Alfred.

- Tej nie mam wcale... zareczam, inne uczucie zostawiliście w mym sercu. Uwolnijcież mnie od tortury, błagam. Czego pan chcesz?

Alfred zmieszał się i nie wiedział już, co mówić.

- Zgody - rzekł...

- Ani kłótni, ani zgody być nie może, gdzie społeczne stanowiska są tak różne, iż stosunku nawet nie dopuszczają.

Położyła rękę na czole, wskazując, że głowa ją paliła, odeszła znów do okna. Alfred stał jeszcze, myślał i zdobył się nareszcie na przemówienie.

- Z powodu pani - rzekł - towarzystwo całe rade, że coś do nas znalazło... Koso poczyna na mnie i na mamę spoglądać. Krążą nedorzeczne plotki... Jeszcze raz powtarzam pani, iż będąc naszej rodzinie winną tyle... obowiązana jesteś...

Lenora zrzuciła z siebie okrycie, jakby ją piekło, i podbiegła ku niemu.

- Com ja wam winna?! - zawołała - co? żeście mnie jak psa dla zabawki wzięli, wychowali, wypieścili, aby go potem nogą wypchnąć, gdy został niepotrzebnym?

Czym was prosiła o to, abyście mi dali wychowanie, nałogi, obyczaje, które dla mego stanu są ciężarem; byście lalkę zrobioną do salonu w balowej jej sukience, z rękami odwykłymi od pracy, wyrzucili na chłód i wicher ulicy! Tak! tak! winnam wam nienawiść, winnam pogardę... nic więcej. Nie uszanowaliście we mnie istoty ludzkiej, zrobiliście z niej igraszkę!

Uboga, żebraczka, sponiewierana byłabym szczęśliwszą, miałabym

29

Wyraz jej twarzy malował dostatecznie oburzenie, które nią ca wstrząsnęło na widok śmiałka, co się stawiał, z dumą i zuchwalstwiei narzucając... Nie znalazła wyrazów w pierwszej chwili na ustach... i tylko konwulsyjnie podniesiona drzewi mu wskazała.

- Przepraszam panią - gniewnie zawołał pan Alfred - czy się pani podoba, czy nie, rozmówić się raz musimy. Winnaś to pani jeśli nie mni to tej rodzinie, której obowiązana jesteś wszystko... to pamięci mej ciec tki...

Milcząca Lenora ruszyła ramionami, bała się ust otworzyć może, t> zanadto nie powiedziec.

- Tak jest - kończył pan Alfred, krocząc ku środkowi pokoju - wymagam rozmowy stanowczej.

- Słucham pana.

-Raz rozrachunek między nami musi być skończony... Pani winnaś m rodzinie byt, wychowanie, talenta, opiekę... i odwdzięczasz się jej za t rzucając na nią swym postępowaniem cień... polwarz, posądzenie.

Lenora się podniosła z brwią straszliwie zmarszczoną.

-Anioł by nie wytrzymał... nie przeniósł cierpliwie tego, co mi pan śmiesi mówić. Wam, rodzinie waszej, nie winnam nic, wszystko zmarłej mej świętej opiekunce... z wami nic mnie nie wiąże, i nie chcę, by mni cokolwiek łączyło. Otrząsałam proch z nóg mych, rzucając dom, który si stał waszym.

- Za cóż te gniewy? za co? - podchwycił Alfred - czy za zawiedziom nadzieje, którymi ja nigdy pani nie karmiłem! Dla osłodzenia cioci ostatj nich chwil musiałem potakiwać, nigdy nic nie przyrzekając...

Wielkim dzikim śmiechem otwarty się usta Lenory i ręce, uderzając je siebie, załamała.

- Jak to? pan myślisz, pan posądzasz mnie, że jam kiedykolwiek n

, jedną sekundę, na chwileczkę dała się uwieść tej komedii, że ja nie rozu miałam? A to wyborne! Pan nie wiesz, że miałabym się za najnieszczęś li wszą istotę na ziemi, gdyby mnie był los do was przykuł. Raczej śmierć Jam także dla tej nieszczęśliwej opiekunki, dobrodziejki mej, tego anioł musiała się skłonić do posłuszeństwa pozornego jej woli, aby o los m spokojną usnęła. Stamtąd, z niebios, widzi ona moją ofiarę... spełnioną rezygnacją, mimo całego wstępu mego do fałszu, którym ja także karmić ji musiałam. I pan pomyśleć mogłeś, że ja!! - Roześmiała się dziko... Pa|| Alfred obrażony stał, kręcąc kapeluszem.

- Na miłość Boga, ja do was, panie Alfredzie, najmniejszego nie mani

28

żału- waszą grę od pierwszej chwili widziałam jasno, rozumiałam doskonale i pomogłam jej dla spokoju staruszki...

- Przypuszczam, że tak było, jak pani mówisz - odparł sucho Alfred - za cóż gniewy? dąsania...

- Ani gniewu, ani dąsania, tylko pozwólcie, że żadnych stosunków mieć nie mogę i nie chcę z rodziną pańską... Ja, jak wy mówiliście nieraz, jestem sierotą spod płota wziętą, co prawda... wy należycie do innego świata...

Ukloniła mu się, odchodząc od okna, on stał zły...

- Jam wam wszystko winna, wy mnie nic? a zatem po cóż mnie dręczycie? powiedzcie, com dłużna i jak mam wypłacić?

- Tym przynajmniej, abys pani ku nam nienawiści nie miała - rzekł Alfred.

- Tej nie mam wcale... zaręczam, inne uczucie zostawiliście w mym [sercu. Uwolnijcież mnie od tortury, błagam. Czego pan chcesz?

Alfred zmieszał się i nie wiedział już, co mówić.

- Zgody - rzekł...

- Ani kłótni, ani zgody być nie może, gdzie społeczne stanowiska są tak różne, iż stosunku nawet nie dopuszczają.

Położyła rękę na czole, wskazując, że głowa ją paliła, odeszła znów do okna. Alfred stał jeszcze, myślał i zdobył się nareszcie na przemówienie.

- Z powodu pani - rzekł - towarzystwo całe rade, że coś do nas znalazło... Koso poczyna na mnie i na mamę spoglądać. Krążą niedorzeczne plotki... Jeszcze raz powtarzam pani, iż będąc naszej rodzinie winną tyle... obowiązana jesteś...

Lenora zrzuciła z siebie okrycie, jakby ją piekło, i podbiegła ku niemu.

- Com ja wam winna?! - zawołała - co? żeście mnie jak psa dla zabawki wzięli, wychowali, wypieścili, aby go potem nogą wypchnąć, gdy został niepotrzebnym?

Czym was prosiła o to, abyście mi dali wychowanie, nałogi, obyczaje, które dla mego stanu są ciężarem; byście lalkę zrobioną do salonu w balowej jej sukience, z rękami odwykłymi od pracy, wyrzucili na chłód i wicher ulicy! Tak! tak! winnam wam nienawiść, winnam pogardę... nic więcej. Nie uszanowaliście we mnie istoty ludzkiej, zrobiliście z niej igraszkę! Uboga, żebraczka, sponiewierana byłabym szczęśliwszą, miałabym

29

choć przybraną rodzinę żebraków jak ja, jak ja sponiewieranych ludzi, dzi nie mam - żadnej. Alfred, słuchając tego wybuchu, cofnął się o krok.

- A! to tak - rzeki - jeśli tak, nie mam tu co robić!

- Dawnoś to pan powinien był zrozumieć. Dla mej matki, dobrodziejki opiekunki mam cześć, mam miłość najwyższą, ona pojmowała inaczej sw macierzyństwo dla mnie. Dla was ja byłam istotą obcą, narzędziem podrzutkiem... którego pozbyć się jak najprędzej pragnęliście. Jeszcz zwłoki mojej matki nie ostygły, a już chcieliście wygnać mnie z domu chcieliście zabronić mi iść za jej pogrzebem! Wypędziliście... jak...

- To wszystko egzageracja - rzekł Alfred, łykając wyrazy - naturalni było niepodobieństwem dozwolić, abyś pani szła z rodziną za jej trumną ale nikt jej nie bronił asystować pogrzebowi. Lenora, z gwałtownego wzruszenia nie mogąc już odpowiedzieć, zaszła się od płaczu, i pochyłona na kanapę jęczała, wołając: - A! któż mnie oc tego człowieka uwolni.

- Ale ja idę! idę sam! - zawołał coraz gniewniej pan Alfred - myślałem że przecież rozsądnie będziemy mogli pomówić, bez tych tragedii! Nil jesteśmy wcale od tego, ażeby coś dla pani nie uczynić. Mama z chęcią je ofiaruje dożywotnią pensję.

- Na miłość, na rany Chrystusa, uwolnij mnie pan od siebie i od tyci ofiar upodlających! Wolę umrzeć z głodu, niż szeląg przyjąć od was... dzięki Bogu, mam młodość, mam siły - mogę pracować i nie potrzebuję) nic... nic... nic!

Była chwila milczenia. Pan Alfred wybierał się jakby do wyjścia, jednak wyjść nie umiał... coś go przykuwało do tego progu... niepokój jaki nie dozwalał mu porzucić tak tej, której podał był niegdyś dłoń u loży konającej, jakby na pielgrzymkę życia..

- Niechże się pani raczy uspokoić - rzekł - bardzo przepraszam odchodzę... a gdybym kiedykolwiek mógł być w czym użytecznym, nieci pani wierzy...

Nie odebrawszy ani słowa odpowiedzi, zatrzymał się jeszcze, stał chwili, a na ostatek, trzaskając drzwiami, wyszedł. Za progiem stanął, chcąc zapewne uspokoić się przed wyjściem na ulicę... obciągnął suknie na sobie poprawił włosy... włożył kapelus, spojrział na zegarek, ruszył ramionami powoli schodzić zaczął ze schodów.

Pomiędzy nim a Lenorą, między jego chłodnym spokojem a jej rozpacz, do szалу dochodząca, sprzeczność była rażąca, jednakże na twarzy tego

30

człowieka praktycznego, rozsądnego, biorącego rzeczy na zimno i przyzwoicie, malowało się coś, co zdradzało, że wrażenie sceny patetycznej, iaką przeżył, dopiero teraz czuć mu się dawało.

Stanął na trotuarze, podnosząc łaskę ku górze i rzeki skrzywiony.

_ Mama jest zbyt surową, ja bym jej zresztą dał procent od tych przeklętych dwóchkroć i byłby spokój, ale z mamą! Ma może słuszność... cóż z tego... ludzie będą paplać... to niemiłe! Lepiej by się wykupić!

Następnych dni nie było najmniejszego słyhu o panu Alfredzie. Spełniwszy, co mu jego sumienie przyzwoitego człowieka nakazywało, ustąpił. Widziano tylko zajeżdżającą karetę przed pałac Zamoyskich i od niej wysłanego na drugie piętro lokaja, który za pośrednictwem Kasi bilet wizytowy jakiejś pani dosyć otylej i poważnej przedstawił Lenorze, a ta przeprosić kazała, iż będąc chorą, przyjąć jej nie może. Po otrzymaniu tej odpowiedzi osoba siedząca w karecie spuściła okno tak mocno i gwałtownie, iż się potłukło... twarz zaczerwieniona dała się widzieć przez otwór razem z najeżonymi piórami kapeluszem... karetka odjechała...

Matka pana Alfreda, której księżycowe oblicze mieliśmy szczęście oglądać na chwilę (ona to bowiem była), nieszczęśliwa ofiara, zmuszona poniżyć się do osobistego przybycia do tego podrzutka, rozkazała jechać do doktora. Gdy mu tę znakomitą oznajmiono klientkę, powszechnie używającą tytułu hrabiny, a w towarzystwie wyższym zwaną niegrzecznie bardzo - Pyzą - doktor wyszedł natychmiast do przedpokoju, był bowiem po staremu dla wszystkich bez różnicy kobiet grzeczny.

Hrabina zdyszana, czerwona, zmęczona schodami, wtoczyła się z obłokami na czole, wachlarzem się chłodząc, i siadłszy na kanapie, na honorowym miejscu, zwrócona do doktora, długo do słowa przyjść nie mogła. Jakby na dobitkę, dla zwiększenia złego humoru pani, ulubiona papuga doktora, siedząca w klatce na otwartym balkonie, poczęła wrzeszczeć przeraźliwie:

- Bon jour - na wszystkie możliwe tony, aż ją chustką przykryć musiano...

Hrabina czuła, jaki honor wyrządziła doktorowi, przybывая sama do niego, a nie wzywając do siebie; była więc pewną, iż konsyliarz zrozumie, jaką jej winien jest wdzięczność.

- Mój konsyliarzu - odezwała się - byłeś zawsze przyjacielem dobrym naszej całej rodziny... przyjechałam do ciebie, wiedząc, że na cię rachować mogę... Zróbże mi też tę grzeczność i zburch tę wariatkę Lenorę. Co ta dziewczyna sobie myśli?! Wielkie jakieś tony heroiny nieszczęśliwej sobie

31

daje! Co to to jest?! Wy wiecie, la populace, ulica, demagogi, wszystko t< co by nas rade w łyżce wody utopiło... z każdego pozornego skandalu korzysta... Rozbębnią, sfalszują to... Bóg wie, co zrobią. Alfred się znała; niezręcznie...

Ale wystaw sobie, że ja sama tylko co przed chwilą chciałam u niej by pour lui faire entendre raison... a ta głupia dziewczynisko, pod pozorem choroby, mnie nie przyjęła... Ja wiem, że nie choroba, że kaprysi!

- Przepraszam panią hrabinę, ona istotnie chora jest; i dziś nawet łóżku - dodał doktor.

- A to wszystko z dumy obrażonej! - zawołała hrabina... Otóż skutki dobrodziejstw naszych! Wziąć sierotę na wychowanie, dać edukację, potem cierpieć od niewdzięcznej i widzieć się szkalowanymi!

Westchnęła pani hrabina, wachlując się. Doktor milczał.

- Kochany konsyliarzu - rzekła przybyła - weźże to na siebie... prósz cię... daj jej dobrą burę i przyprowadź do rozumu.

- Ale o cóż to idzie? - łagodnie ozwał się lekarz - ja przyznaję się, że niedobrze jakoś rozumiem... co pani hrabina poleca?

- Powiedz jej, niech nie gra roli pokrzywdzonej sieroty! Do czego to podobne, proszę cię! Wojewodzina, nieboszczka moja siostra, wy wiecie jakie to było dobre, serdeczne aż do zbytku, a słabe - wydała na nią pewni parękroć sto tysięcy... Wychowanie tej dziewczyny to była jej mania., Pozwoliliśmy zabrać jej z domu, co tylko miała od nieboszczki, ni wchodząc w to, że może pozabierała precjoza... Nabrała tego mnóstwo..., jeszcze niekontenta! i jeszcze się krzywi!

- Pani hrabina daruje - odezwał się konsyliarz - a ten legat, który j uczyniła nieboszczka??
- Ale to była fikcja! Wojewodzina w ostatnich chwilach była zamyślona sama nie wiedziała, co robiła! Proszę cię... podrzutkowi jakiemuś dwakroć sto tysięcy! Żeby ci dała pojęcie, jak już nieboszczka dziwaczała, to ci powiem, że chciała mego Alfredka żenić z nią! A jednak, aby jej da spokojnie umrzeć biedaczce i na tośmy niby zezwolili! Już ci nie idzi zatem, aby Alfred się z wychrzcianką jakąś czy Cyganką żenił, i żeby ci jej dała te dwakroć. Ona sama dobrze zrozumiała, że do tego nie ma najmniejszego prawa, kiedy się zaraz zrzekła.
- Przepraszam - łagodnie znów szepnął doktor - znając mało ten skłai okoliczności, ja niedobrze to zapewne rozumiem... Więc ten testamen którym wojewodzina pani dobrodziejce zapisała majątek, jest ważny, a te: legat...

_ Ale, kochany konsyliarzu, jak prawdziwie nie chcesz wniknąć w istotę »czy.-- Zapisać siostrze majątek miała prawo i obowiązek, ale czynić ,drzutkowi legat... takiego nigdy w świecie... _ Ach! - rzekł doktor niby zupełnie przekonany... _ I prosiłabym cię jeszcze, kochany konsyliarzu - dorzuciła - namów ją, sch sobie stąd jedzie... Tu ją wszyscy znali przy wojewodzinie na własnym stanowisku. Chodziła w tyfetykowych szalach! Po cóż teraz narażać :bie na nieprzyjemność, mnie i nas na złe języki... Mówią, że na złość odzi z dzbankiem sama po wodę... komedie! _ O tym już z nią mówiłem - rzekł doktor - ale gdzie się podzieje?
- Gdzie chce! ktoś to tam weźmie za guwernantkę! Albo niech jedzie do stersburga, to się jeszcze jaki bogacz ożenić gotów... Co ona tu będzie bila...

Hrabina, przekonana najmocniej, iż doktora zupełnie przeciągnęła na swoją stronę, odpocząwszy, miała rozpocząć rozmowę o czym innym, aby eprzyjemne wrażenie usunąć, gdy konsyliarz rzekł powoli:

- W tej chwili panna Lenora jest chorą w istocie... pojmuje pani, że usze pacjentkę oszczędzać. Jestem tego przekonania także, iż oddalić się winna. Zresztą ona ze światem nie ma żadnych stosunków, więc dla instwa też nieprzyjemności żadnej ściągnąć nie może ani jej postępowanie, ani obecność. Nie widuje nikogo i mogę ręczyć, że z jej ust słowo się dno użalenia nie wyrwało.

- Alfredek mi wszystkiego pewno nie powiedział - przerwała hrabina - e z jego humoru wniosłam, że musiał z nią mieć scenę. Wystaw sobie, że upia nabiła sobie głowę, iż on istotnie w niej zakochany i może się ;eni!

Zacząła się śmiać, a twarz i fale wezbrane całej tej kolosalnej mięsistej ruktury trzęsły się od wzruszenia.

- Alfredek w tym, powiem ci - mówiła dalej hrabina - dał dowód takiego ktu, jak rzadko... Oczywiście młody, ona ładna, czasem tam pożartował... ale wiem, że się nigdy nie posunął za daleko. Inny na jego miejscu, ój Boże! nie robiłby pewnie z panią rozromansowaną ceremonii, iech podziękuje, że trafiła na przyzwoitego chłopca. Musieliśmy cierpieć obrzydliwe zalecanki dla zdzieciniałej wojewodziny, która umierając, h ręce łączyła... ale... proszę cię! Alfred ani myślał! ani myślał!

~ Tego jestem pewny - przerwał doktor - że panna Lenora także nie dziła się.

- No! no!... - odparła hrabina. - Alfred ładny chłopak... a to głowa

32

" Czarna Perelka

33

daje! Co to to jest?! Wy wiecie, la populace, ulica, demagogi, wszystko t< co by nas rade w łyżce wody utopiło... z każdego pozornego skandal korzysta... Rozbębnią, sfalszują to... Bóg wie, co zrobią. Alfred się znała: niezręcznie...

Ale wystaw sobie, że ja sama tylko co przed chwilą chciałam u niej b> pour lui faire entendre raison... a ta głupia dziewczynisko, pod pozorem choroby, mnie nie przyjęła... Ja wiem, że nie choroba, że kaprysi!

- Przepraszam panią hrabinę, ona istotnie chora jest; i dziś nawet | łóżku - dodał doktor.

- A to wszystko z dumy obrażonej! - zawołała hrabina... Otóż skutl

_ Ale, kochany konsyliarzu, jak prawdziwie nie chcesz wnikać w istotę »czy.-- Zapisać siostrze majątek miała prawo i obowiązek, ale czynić drzutkowi legat... takiego nigdy w świecie...

! _ rzekł doktor niby zupełnie przekonany...

_ I prosiłabym cię jeszcze, kochany konsyliarzu - dorzuciła - namów ją, ich sobie stąd jedzie... Tują wszyscy znali przy wojewodzinie na właś-yym stanowisku. Chodziła w tyfytkowych szalach! Po cóż teraz narażać :bie na nieprzyjemność, mnie i nas na złe języki... Mówią, że na złość odzi z dzbankiem sama po wodę... komedie! _ O tym już z nią mówiłem - rzekł doktor - ale gdzie się podzieje?

dobrodziejstw naszych! Wziąć sierotę na wychowanie, dać edukację, _ Gejzie chce! ktoś to tam weźmie za guwernantkę! Albo niech jedzie do potem cierpieć od niewdzięcznej i widzieć się szkalowanymi! Łersburga, to się jeszcze jaki bogacz ożenić gotów... Co ona tu będzie

Westchnęła pani hrabina, wachlując się. Doktor milczał. Łiła...

- Kochany konsyliarzu - rzekła przybyła - weźże to na siebie... prosz cię... daj jej dobrą burę i przyprowadź do rozumu.

- Ale o cóż to idzie? - łagodnie ozwał się lekarz - ja przyznaję się, że niedobrze jakoś rozumiem... co pani hrabina poleca?

- Powiedz jej, niech nie gra roli pokrzywdzonej sieroty! Do czego t podobne, proszę cię!

Wojewodzina, nieboszczka moja siostra, wy wiecu

jakie to było dobre, serdeczne aż do zbytku, a słabe - wydała na nią pewni instwa też

nieprzyjemności żadnej ściągnąć nie może ani jej postępowania-

parękroć sto tysięcy... Wychowanie tej dziewczyny to była jej mania. Pozwoliliśmy zabrać jej z domu, co tylko miała od nieboszczki, ni wchodząc w to, że może pozabierała precjoza...

Nabrała tego mnóstwo... jeszcze niekontenta! i jeszcze się krzywi!

- Pani hrabina daruje - odezwał się konsyliarz - a ten legat, który j uczyniła nieboszczka??

- Ale to była fikcja! Wojewodzina w ostatnich chwilach była zamysłem

Hrabina, przekonana najmocniej, iż doktora zupełnie przeciągnęła na wą stronę, odpocząwszy,

miała rozpocząć rozmowę o czym innym, aby eprzyjemne wrażenie usunąć, gdy konsyliarz

rzekł powoli: - W tej chwili panna Lenora jest chorą w istocie... pojmuje pani, że usze

pacjentkę oszczędzać. Jestem tego przekonania także, iż oddalić się winna. Zresztą ona ze światem nie ma żadnych stosunków, więc dla

e, ani obecność. Nie widuje nikogo i mogę ręczyć, że z jej ust słowo się

dno uzalenia nie wyrwało.

- Alfredek mi wszystkiego pewno nie powiedział - przerwała hrabina -

e z jego humoru wniosłam, że musiał z nią mieć scenę. Wystaw sobie, że

upia nabiła sobie głowę, iż on istotnie w niej zakochany i może się

:eni!

Zaczęła się śmiać, a twarz i fale wezbrane całej tej kolosalnej mięsistej sama nie wiedziała, co robiła! Proszę cię... podrzutkowi jakiemuś dwakro ruktury trzęsły się od wzruszenia.

sto tysięcy! Żeby ci dała pojęcie, jak już nieboszczka dziwaczała, to (- Alfredek w tym,

powiem ci - mówiła dalej hrabina- dał dowód takiego powiem, że chciała mego Alfredka

żenić z nią! A jednak, aby jej daMktu, jak rzadko... Oczywiście młody, ona ładna, czasem tam

pożartb-spokojnie umrzeć biedacze i na tośmy niby zezwolili! Jużćie nie idziła!... ale wiem,

że się nigdy nie posunął za daleko. Inny na jego miejscu,

zatem, aby Alfred się z wychrzcianką jakąś czy Cyganką żenił, i żebym j jej dała te dwakroć.

Ona sama dobrze zrozumiała, że do tego nie rq najmniejszego prawa, kiedy się zaraz zrzekła.

- Przepraszam - łagodnie znów szepnął doktor - znając mało ten skła okoliczności, ja niedobrze to zapewne rozumiem... Więc ten testament którym wojewodzina pani dobrodziejce zapisała majątek, jest ważny, a tei legat...

32

!Ói Boże! nie robiłby pewnie z panienką rozromansowaną ceremonii, iech podziękuje, że trafiła na przyzwoitego chłopca. Musieliśmy cierpieć obrzydliwe zalecanki dla zdziecinniałej wojewodziny, która umierając, h ręce łączyła... ale... proszę cię! Alfred ani myślał! ani myślał!

- Tego jestem pewny - przerwał doktor - że panna Lenora także nie 'dziła się.

- No! no!... - odparła hrabina. - Alfred ładny chłopak... a to głowa

" Czarna Perełka

33

przewrócona, powiadam ci... ale z takim taktem młodego nie widzia jak on...

- Pani hrabina zajeżdżała do pałacu Zamoyskich? - spytał go darz.

- Ale zajeżdżałam, słowo ci daję; dziwisz się! i masz czemu... Ja, rzecz wymaga ofiary z mej strony, umiem ją uczynić. Chciałam gł dziewczynę zbudować i sprowadzić na poczucie właściwego stanowis ale - nie raczyła mnie przyjąć!

- Jest chora! istotnie chora...

- Ze złości! głupia! - zawołała hrabina. - Powiedz jej, konsyliarzu radzę, niech wyjeżdża... niech mi się na oczy nie nawija... niech mnie zmusza do kroków ostatecznych... bo będę w konieczności, mimo dobn serca, obejść się surowo i pojedę do moich znajomych na Zamek uproj aby jej kazano wyjechać.

Usłyszawszy to, doktor pobladł, ale że był człowiekiem niezmięj wytrwałym i cierpliwym, nie pokazał po sobie oburzenia, które uczi

- Dobrze, dobrze - odezwał się - proszę wszystko uważać za skońq ne... Wcale te gwałtowne środki nie będą potrzebne... Ona się nie ukazu nie pokaże nigdzie, a nie widuje nikogo. - Cóż pani znów szkodzi...

- Ale, konsyliarzu, to mi agasuje nerwy - zawołała hrabina - ja jej mieć nie chcę. Dam jej coś na wyjazd.

- Ona nie potrzebuje...

- To tym lepiej; powiedz jej, aby sobie jechała i niech tej śmiesz historii, którą odziedzyczyliśmy z łaski biednej wojewodziny, raz korj będzie.

Z dumnym uśmiechem podała rękę doktorowi, w przekonaniu, ii pocałuje; zdziwiła się, poczuwszy lekkie tylko uściśnienie, i majestaty nie powstała, aby odjechać. Głębokie westchnienie dowodziło, jak czl spełnioną ofiarę.

- Adieu, kochany konsyliarzu - dodała - widzę, ślicznie mieszkasz za apartamenta!

W tym podziwieniu i pochwale było coś jakby sarkazm ukryty, konsyliarz, choć się go domyślił, nie dał poznać po sobie wcale, skłoni milczący. Hrabina spojrziała jeszcze na salon i meble.

- Proszę cię, co to jest za zmiana - szepnęła - dawniej najarysto tyczniejsze domy ledwie tak były pysznie umeblowane, dziś wszędzie ten zbytek spotyka.

- To prawda- odparł konsyliarz, odprowadzając ją do drzwi - czasy

ietiiły wielce, obyczaj... wszystko... i my biedacy jesteśmy zmuszeni do h się stosować. Cóż pani hrabina chce... człowiek jest niewolnikiem

rczajów...

r A tak! a tak! i wszyscy się rujnują! I proszę cię, konsyliarzu, zacierają

[wszelkie różnice klas społecznych. A! inaczej dawniej bywało... doży-

iy tego...

ie dokończyła, bo papuga, którą służący odkrył, widząc wychodzącą

lią, poczęła wołać za nią:

i Adieu! adieu...

Doktor wyprowadził ją aż na schody i tak zakończyła się ta wizyta, która wspomnieniach hrabiny liczyć się miała do nadzwyczajnych poświęceń z jej strony dla dobra rodziny.

toteż powróciwszy do domu, długo tej przejażdżki wydychać nie mogła, mówiła o niej cały wieczór. Alfredek musiał ze czcią dla jej święcenia trzy razy w rękę ją pocałować, a w przekonaniu pani hrabiny [wyprawa na nieprzyjaciela miała być tak skuteczną, iż się zupełnie iszczyć nawet przestała o „Czarną Perełkę”, którą przezwała ironicznie i w sposób tak trywialny, iż go nam przyzwoitość powtórzyć nie dozwala -] Z tego przezwiska śmiała się, jak z rzeczy bardzo dowcipnej, a Alfred, przy mamy słuchał, ile razy je powtórzyła, zanosił się także od śmie-

1U.

Zamknięta w swej izdebce, biedna Lenora, którą dotąd znamy tylko z tego, co nieprzyjaźni o niej sądzili, spokojnie, z wypłakanymi oczyma całe dni siadywała nad robotą. Jesień była późna, dni krótkie,

ale przychodził w ulicy prędko, a nim się nastawiło lampkę i dla niej aściwą dobrało pracę, pozostawała chwila nie wypoczynku, ale tęsknoty

i pomnień. Robota wypadła z rąk, a dawniejszego żywota dźwięki elatywały, bijąc o serce osamotnione i ściśnięte.

Jednej z takich to godzin przejścia i dumania Kasia, idąc lampkę pałac, czego zwykle dopełniała, aby powalania rąk około knota i oleju jej panience oszczędzić - dostrzegła w kurytarzu nie opodal ode drzwi 'jącego młodego człowieka, który w pierwszej chwili jakoś się jej nie

obał. Zdawał się na coś czekać, /coś chcieć szpiegować, chcieć o coś tać. Dzień był już prawie zimowo chłodny - w sieniach przeciąg przykry, na

34

35

dworze nie lepiej, a oczekujący młody chłopak mimo to nader był le ubrany i skromnie. Surdut miał szczelnie zapięty, pod którym widać postać kształtną, ale wychudłą z wklęsłymi nieco piersiami. Twarz t blado była żółta, posępna, zmizerowana, a oczy niebieskie jakby we ł pływały. Zdawał się strwożony i niepewien, co począć. Dziewczyna z rzyła go oczyma, a jako instynktowna znawczyni ludzi - z obawy i nil ności prędko przeszła do sympatyczniejszego usposobienia. Młody chłopak niby się przechadzał po kurytarzu, ale poznać było łatwo, że przechadzka przymusowa nie była bez celu. Kasia, popatrzwszy byłaby chętnie się z nim rozmówiła, ale zaczepić jej nie śmiał. Dopiero wyszła z lampką, przystąpił do niej grzecznie.

- Przepraszam panienkę - czy... czy nie mógłbym się dowiedzi mieszkanie panny... Żary... panny Lenory Żary?

Dziewczyna wstrzymała się, potrząsając głową.

- Ale ona - rzekła cicho - nie przyjmuje nikogo!

- Czy chora?

- Była niezdrowa, to prawda, przychodził lekarz... teraz ma się lepiej jednakowo przyjmować nikogo nie lubi...

- Zapewne musi mieć do tego powody, ja też nie chcę się naprzykn ale... gdyby panna była tylko łaskawa oznajmić jej, że tu ktoś jest, cc przyszedł... dowiedzieć o zdrowie.

- A jakże się pan nazywa?

- Niech panna powie tylko, że Zbigniew.

- Jak? jak?

Chłopak powtórzył imię... Dziewczyna postawiła lampkę, weszła do pokoju, ale wprędce bardzo otworzyły się drzwi, sama Lenora pokazała w progu i obie wyciągając ręce, krzyknęła:

- Pan tutaj, panie Zbigniewie!... Chodźże! chodź, pustelnica nie przyjmie nikogo, ale was!...

Nieśmiało strwożony młody chłopak próg przestąpił; pomieszany tak, że słowo trudno mu było wymówić.

- A! pani - zawołał - jakże ja jestem szczęśliwy... że znalazłem nareszcie... ale jak zarazem boleśnie mi tak znaleźć panią...

- O! - uśmiechnęła się Lenora, wpatrując się o mroku w biednego go: postawę i rysy, których dobrze rozeznac było trudno - to, co mnie s tkalo, spodziewanym było zawsze... Jam widmo tej przyszłości m przed oczyma... Nic w tym tak straszego...

Pojmuję wszakże - dodała - że na was, coście mnie ostatnim r

a»u

w innym, wcale odmiennym położeniu... czyni to wrażenie. Kasia może z ciekawości pospieszyła z lampką. Przy jej świetle c [bigniewa zwróciły się na Lenorę, a ona też wpatrywać się poczęła w niego pełnym współczucia wyrazem... Dostrzegła pewnie wynędznienie i cho-,by ślady na miłej, łagodnej jego twarzy... opasanych brunatną pręgą :zach, piersi zakłęsłej, ku której machinalnie chodziła ręka niespokojna, kby ją uściskać chciała, i zbladłych wargach, prawie od barwy twarzy nie ijących się odróżnić.

On oglądał się po izdebce ubogiej, po sprzecie i rozrzuconej robocie, ;ez które łatwo życie odgadnąć było można; potem oczy pełne polito-[ania zwrócił na nią i mimo woli ręce mu spadły załamane.

- Pani tu mieszkasz! sama jedna!

- Z Bogiem - dodała spokojnie Lenora - z pracą, ze wspomnieniami ogiej mojej matki, tych mi nikt odebrać nie może. Wierz mi, panie rigniewie, życiu nie wyrzucam nic, ani Opatrzności, dała mi sierocie ajlepszą matkę, dała mi uśmiech szczęścia w młodości, kilkanaście lat yobody, aby umysł i serce dojrzało; miałabym prawo więcej wymagać i a to, co dziś jest, się uskarżać?

Zapłaczę czasem... mimo woli, ale potem, uspokojona w duchu, Bogu ziękuje i godzę się z tym, co jest!

- Ale cóż jest? co jest? - zapytał gorąco Zbigniew - ja nic nie wiem... ilka dni temu, jak przybyłem do Warszawy, wypadkiem najdziwaczniej-ym dowiedziałem się o śmierci pani wojewodziny, potem dopiero coś ucho, że pani opuściłaś ten dom, który był jakby twoim. Z trwogą egłem tu...

- Siądź, panie Zbigniewie - rzekła, siadając sama, wzruszona Lenora i siłując układaniem porozrzucanej roboty nadać sobie mniej zdradzającą czucie postawę - siądź... nie użalaj się zbytnio... powiem ci, co się stało, ikomu nie było tajnym, ani tobie, że wojewodzina z łaski mnie przytuła, że w tym domu byłam jej dzieckiem tylko przez miłość jej dla mnie.

ło się więc, że gdy to serce anielskie bić przestało... obca... zostałam yrzuconą z domu w chwili, gdy chłodne jej członki na cmentarz wiezio-O- Mogłamże się od ludzi, którym odebrałam mimo woli serce jej, spo-

iewać się, by mnie kochali? Kazano mi pójść w świat i poszłam...

- Jak to? tak? - przerwał Zbigniew - bez zapewnienia jej losu?

- Ja sama wyrzekłam się dobrodziejstwa, które mi zmarła matka przy-rana wyświadczyć chciała zza mogiły. Pojmujesz pan, że mi to moja nia sieroty nakazywała.

uz

36

37

dworze nie lepiej, a oczekujący młody chłopak mimo to nader był l ubrany i skromnie.

Surdut miał szczelnie zapięty, pod którym widać postać kształtną, ale wychudłą z wklęsłymi nieco piersiami. Twarz blado była żółta, posepna, zmizerowana, a oczy niebieskie jakby we ł pływały. Zdawał się strwożony i niepewien, co począć. Dziewczyna z rzyła go oczyma, a jako instynktowna znawczyni ludzi - z obawy i n ności prędko przeszła do sympatyczniejszego

usposobienia. Młody pak niby się przechadzał po kurytarzu, ale poznać było łatwo, przechadzka przymusowa nie była bez celu. Kasia, popatrzawszy byłaby chętnie się z nim rozmówiła, ale zaczepić jej nie śmiał. Dopier wyszła z lampką, przystąpił do niej grzecznie.

- Przepraszam panienkę - czy... czy nie mógłbym się dowiedzi mieszkanie panny... Żary... panny Lenory Żary?

Dziewczyna wstrzymała się, potrząsając głową.

- Ale ona - rzekła cicho - nie przyjmuje nikogo!

- Czy chora?

- Była niezdrowa, to prawda, przychodził lekarz... teraz ma się lepiej jednakowo przyjmować nikogo nie lubi...

- Zapewne musi mieć do tego powody, ja też nie chcę się naprzyk: ale... gdyby panna była tylko łaskawa oznajmić jej, że tu ktoś jest, c przyszedł... dowiedzieć o zdrowie.

- A jakże się pan nazywa?

- Niech panna powie tylko, że Zbigniew.

- Jak? jak?

Chłopak powtórzył imię... Dziewczyna postawiła lampę, weszł, pokoju, ale wprędce bardzo otworzyły się drzwi, sama Lenora pokaza w progu i obie wyciągając ręce, krzyknęła:

- Pan tutaj, panie Zbigniewie!... Chodźże! chodź, pustelnica nie p muje nikogo, ale was!...

Nieśmiało strwożony młody chłopak próg przestąpił; pomieszany tak, że słowo trudno mu było wymówić.

- A! pani - zawołał - jakże ja jestem szczęśliwy... że znalazłem nareszcie... ale jak zarazem boleśnie mi tak znaleźć panią...

- O! - uśmiechnęła się Lenora, wpatrując się o mroku w biednego g< postawę i rysy, których dobrze rozeznac było trudno - to, co mnie s tkało, spodziewanym było zawsze... Jam widmo tej przyszłości mi przed oczyma... Nic w tym tak straszego...

Pojmuję wszakże - dodała - że na was, coście mnie ostatnim ra

36

dzieli w innym, wcale odmiennym położeniu... czyni to wrażenie... Kasia może z ciekawości pospieszyła z lampką. Przy jej świetle oczy)igniewa zwróciły się na Lenorę, a ona też wpatrywać się poczęła w niego jełnym współczucia wyrazem... Dostrzegła pewnie wynędznienie i cho-by ślady na miłej, łagodnej jego twarzy... opasanych brunatną pręgą zach, piersi zakłęstej, ku której machinalnie chodziła ręka niespokojna, kby ją uścisnąć chciała, i zbladłych wargach, prawie od barwy twarzy nie ljących się odróżnić. On oglądał się po izdebce ubogiej, po sprzęcie i rozrzuconej robocie, zez które łatwo życie odgadnąć było można; potem oczy pełne polito-ania zwrócił na nią i mimo woli ręce mu spadły załamane.

- Pani tu mieszka! sama jedna!

- Z Bogiem - dodała spokojnie Lenora - z pracą, ze wspomnieniami ogiej mojej matki, tych mi nikt odebrać nie może. Wierz mi, panie ngniewie, życiu nie wyrzucam nic, ani Opatrzności, dała mi sierocie ijlepszą matkę, dała mi uśmiech szczęścia w młodości, kilkanaście lat vobody, aby umysł i serce dojrzało; miałabym prawo więcej wymagać i i to, co dziś jest, się uskarżać?

Zapłacę czasem... mimo woli, ale potem, uspokojona w duchu, Bogu dekuję i godzę się z tym, co jest!

- Ale cóż jest? co jest? - zapytał gorąco Zbigniew - ja nic nie wiem... ilka dni temu, jak przybyłem do Warszawy, wypadkiem najdziwaczniej-ym dowiedziałem się o śmierci pani wojewodziny, potem dopiero coś ucho, że pani opuściłaś ten dom, który był jakby twoim. Z trwogą iegłem tu...

- Siadź, panie Zbigniewie - rzekła, siadając sama, wzruszona Lenora i siłując układaniem porozrzucanej roboty nadać sobie mniej zdradzającą czucie postawę - siadź... nie użalaj się

zbyt... powiem ci, co się stało, komu nie było tajnym, ani tobie, że wojewodzina z łaski mnie przytuła, że w tym domu byłam jej dzieckiem tylko przez miłość jej dla mnie. I było się więc, że gdy to serce anielskie bić przestało... obca... zostałam ^rzuconą z domu w chwili, gdy chłodne jej członki na cmentarz wiezio-°- Mogłam się od ludzi, którym odebrałam mimo woli serce jej, spo-ziewać się, by mnie kochali? Kazano mi pójść w świat i poszłam...

- Jak to? tak? - przerwał Zbigniew - bez zapewnienia jej losu?

II - Ja sama wyrzekłam się dobrodziejstwa, które mi zmarła matka przy-rana wyświadczyć chciała zza mogiły. Pojmujesz pan, że mi to moja uma sieroty nakazywała.

37

- I jakże pani, co byłaś nawykłą do zbytku, do wygod, do tego skinienia twego słuchano, do pochlebstw nawet i uległości rodzi możesz...

Lenora uśmiechnęła się.

- Właśnie mi tego darować nie mogli, że musieli być dla mnie grzec: że może za życia nieboszczki jak równą sobie przyjmowali. O! p Zbigniewie - dodała - czyż sądzisz, że ja wśród tego życia zbytku, wy szczęścia, nie miałam ciągle na myśli tego miecza damoklesowego, z szalonego nad głową moją? Czułam ja, że mi to odpokutować los ki gotowałam się do ubóstwa i pracy w duchu. Teraz przeszły dni gor pierwsze - rana się zasklepiła powoli... Widzisz, żyję i uśmiecham się... cóż z tobą? co się z tobą działo i dzieje?

- Ze mną! - z podziwieniem podchwycił Zbigniew - ze mną! Ale po c mówić o mnie! Jam się urodził na walkę i biedę...

- A ja? - spytała Lenora.

- A! pani stworzoną byłaś do szczęścia i godną go używać - gor zawołał Zbigniew - pani w nim nie zapomniałaś o biednych... mia współczucie i litość, pani...

- A! a! dajże pan pokój pochlebstwom! - przerwała smutnie - ja pytam, co się z wami dzieje?

- Ze mną? - znów z podziwieniem powtórzył przybyły - los mój zmienił. Miałem miejsce... straciłem je... szukam nowego...

- Dlaczegożeś je pan utracił? Zbigniew zarumienił się.

- Ale mów pan otwarcie, jak przed dobrym, poufałym towarzyszem

- Ja także spodziewałem się, że mnie to spotka - cicho rzekł przybyły Widzi pani, czasy są takie... moje położenie... Jestem dzieckiem ubój rodziców, podejrzewają naturalnie, że biedny muszę jako młody ma i... myśleć inaczej niż oni, przyuczani od dzieciństwa brać rzeczy na zi i stawiać najwyżej interes własny... Jednym słowem, bano się, bym zamącił czymkolwiek ich spokojności, i... pozbyto się mnie.

- Musiałeś się pan dać poznać ze swych opinii. Może dzieci...

- Może być, że dzieci powtórzyły jakie niefortunne słówko mojj historii, której ich uczyłem... a ono się nie podobało... To prawda- mó Zbigniew - że zakazano mi szczepić patriotyczne wyobrażenia, a ja umiałem dość panować nad sobą i brać słów na wagę... Musiano przeciwko mnie pochwytać... i...

- Zostałeś pan odprawiony...

I_ Tak, pani - rzekł skromnie Zbigniew - ale to najmniejsza rzecz. |_ Cóż myślisz począć?

|_ Ja? - zakłopotany, spuszczać oczy, odparł Zbigniew - jeszcze nie lemm- Dostałem się do Warszawy, szukam zatrudnienia, nie mam żadne-

L Ale pan przynajmniej - przyglądając się skromnemu nader strojowi, Łołała Lenora - coś sobie zaoszczędziłeś.

|_ Tak! tak! pani... trochę... Mam coś... Utrzymuję matkę... na jakiś czas iczy nam... a potem się coś znajdzie... Ja chciałem - zagadując, dorzucił powiedzieć tylko pani, że jestem wolny, tobym może mógł w czym Sużyć, dopomóc a tak byłbym szczęśliwy...

- Mój panie Zbigniewie - odezwała się, opierając twarz na dłoni, Lenora asz słusność, tylko dwie niedole mogą być sobie pomocne. Ja jednak itąd sama starcze na moją. A pan? gdzież matka?

- Matka jest w Warszawie... - cicho dodał Zbigniew - trochę mi cho-Zamilkł. Lenora wpatrywała się w niego z zajęciem żywym.

- Tak - rzekła - dwie niedole mogą jak dwa złamane drzewa podpierać } wzajem, aby nie padły... ale na to potrzeba szczerości obustronnej. Pan i nie wszystko mówisz o sobie...

- A cóż bym mógł więcej powiedzieć? Istotnie... to cała historia moja. aleko bardziej zajmująca byłaby jej własna.

- Całą wam powiedziałam i całą widzicie w tej izdebce.

- Jak to? i krewni... i ten pan Alfred... który?... - przerwanie mówił zybyły - dozwolili, żebyś pani?... pan Alfred?

Widocznie więcej miał na ustach, niżeli chciał powiedzieć.

- Pan Alfred - pośpiesznie poczęła Lenora - czyż myślisz, że ja choć na ną sekundę łudziłam się?

- Ale pani byłaś mu... zaręczoną! Lenora roześmiała się.

- Miałem zatruć dni ostatnie mej dobrodziejki, która tego pragnęła, stawiając sobie szczęściem, co dla mnie byłoby najokropniejszym

sem! Znałam pana Alfreda doskonale i nie zawiodłam się na wrażeniu,

óre na mnie uczynił od pierwszej chwili. Biedna wojewodzina cały świat stawiała sobie tak dobrym, jak była sama, kochała Alfreda i zaślepiała do niego... miałem ją wywieść z błędu, czerniąc przed nią jej ulu-

ionego siostrzeńca?... Za tyle ofiar z jej strony... mogłam i ja uczynić jedną siebie.

38

39

- I pan Alfred, który mógł być najszczęśliwszym z ludzi na zie wybuchnął młodzieniec, rumieniąc się sam, gdy usłyszał własne sło pan Alfred...

Twarz Lenory zapłonęła, oczy jej błysły, wejrzeniem nakazała mu czenie.

- Panie Zbigniewie! bez pochlebstw!

- A! to mi się wyrwało z duszy... daruj pani...

-Nie... nie... chciałeś pan mi osłodzić moje wdowieństwo przez litoi przerwała Lenora z przymuszonym śmiechem - a ja wam zaręczam, że a nic stratą pana Alfreda nie jestem zdesperowaną...

- O! temu wierzę! ale nie pojmuję, że on... on...

- On ma wiele rozsądku... mój panie - zawołała Lenora -jakże! dziedzic milionów i włości mógł nawet pomyśleć o dziecięciu znale? nym... pod karczmą.

Pan wiesz historię moją - dodała - jam się jej nauczyła od stj Wawrowej, która opowiadała zawsze potem, że mnie spod płotu pierw w brudnych, do łachmanów podobnych pieluszkach przyniosła do di ru.

Zamilkła biedna kobieta, próżno usiłując przybrać weselszą twarz

- Wszyscy wiedzieli - dodała po chwili - żem była dzieckiem żel czym, jakimś wypadkiem zostawionym pod ścianą w czasie jarmar Mógłże pan Alfred choćby z przybraną przez wojewodzinę sierotą wiadomego pochodzenia... pomyśleć nawet się zenić?

Zbigniew milczał...

- A nużby się potem znaleźli krewni lub rodzice? Ot! wystawże pan hrabinę w tym przypadku, gdyby synowa pokazała się Cyganką, bardzo być może? boć ja mam rysy, płeć, naturę cygańską! niepr; daż?

- Pani? - zapytał zmieszany Zbigniew - pani jesteś piękną jak grecki...

- A pan nudny jak bakałarz - stukając ręką w stół, przerwała Leno któż ubogiej dziewczynie mówi takie pochlebstwa.

- I pani masz siłę śmiać się i żartować ze swego losu, gdy mnie na łzy zbiera? - szepnęła Zbigniew.

- Ale czegoż płakać i do czego łzy pomogą? - przerwała - na co się zd tragicznie brać życie, gdy można patrzeć na nie chłodno? Dostyc jest w n] pierwiastku tragicznego z natury wrzuconego, nie należy go rozwijać

Zbigniew po chwilce wstał, spostrzegł się, że i rozmowa, i odwiedź r za długie może... Nieśmiała jego postać wyrażała i chęć pozostania, i ę. Siadaj pan jeszcze - przemówiła Lenora - spowiadaj się, co teraz tsz? bo wiem, że bez pracy nie możesz żyć.

Zajęcia nie mam żadnego... Siedzę część dnia przy słabej matce, a tę biegam, szukając właśnie pracy, o którą trudno... Nie mam ani unków, ani przyjaciół... a do wyszarzanej sukni przylegają łatwo ejrzenia... Czy pozwolisz, ażebym doktora S... prosiła o wyszukanie panu miejs-

A! pani! myśl o sobie, pozwól mi służyć, a mnie zostaw na łaskę i askę losu... Protekcji zużywać na moją korzyść się nie godzi... Dla siebie ja jej nie zużytkuję - przerwała Lenora - postanowiłam się jść bez niej i o własnej sile podołać zadaniu... postanowiłam i |zę--

Czy mi pani pozwoli czasem się dowiedzieć? - nieśmiało spytał gniew. Zawsze, kiedy zechcesz tylko - zawołała Lenora. - Drzwi moje są tknięte dla ludzi nie mego świata - ale wy, wy jesteście mi przecie Jomnym kolegą. Szczęśliwsi tylko jesteście, bo macie matkę... rodzinę, eł, co was żyjących łączy ze światem... a ja - nie mam nikogo.

A! mój Boże-zrywając się z siedzenia, jakby pod nieprzewyciężonym żeniem słów jej widoku, który miał przed sobą, zawołał Zbigniew - cóż ronią losu! Po takim szczęściu jak wasze... istocie jak wy, którą by zczęśliwsza i najświetniejsza rodzina chlubić się mogła... być rzuconą samotność... nagle... bez przejścia... a mój Boże! to mi się nie mieści w ie, to mi rozsada serce... Pomnisz pani, gdym odjeżdżając raz ostatni, ał cię w tym ganku klematydami obwieszonym, obstawionym kwia-i, królującą w pałacu, otoczoną ludźmi, co odgadywali twe rozkazy... iechniętą do pogodnego wieczoru wiosny... Któż by był naówczas dł, że cię znajdę dziś samą jedną... bez sługi, w izdebce ciasnej... A! nie! hyba sen...

Nie, to najpospolitsza w świecie rzeczywistość - odezwała się Lenora - ycie w całej sile swych praw, które są nieubłagane. Z tego wszystkiego wiesz pan, czego mi żal? - dorzuciła cicho Leno-

Mogęż zgadnąć?

Cyganka... lubiłam muzykę... namiętnie - teraz cisza grobowa, nie 40

41

słyszę jej, nie gram... w duszy mi tylko śpiewa... Czasem tęsknota taka za pieśnią, że się jak dziecko rozplaczę... porwę moje nuty, rozł kolanach i chodzę po nich oczyma... dałabym chleb mój obiadowj

- Jak to chleb! - krzyknął Zbigniew - chleb? Lenora się zarumieniła.

- A! cóż to mnie pan łapiesz za słowa!... figura retoryczna!

- A dlaczegóż pani nie zabrałaś swego fortepianu?

- Bo, niestety! powiedziano mi, że nie był mój! Erard u mnie!

- Ależ pani miała drugi w swoim pokoju...

- Ten się komuś podobał... nie mówmy o tym - przerwała głośno zmienionym... Daremne żale. Mieli słuszość, cóż bym ja robiła z pianem? próżny koszt! gdzie go postawić? Kłopot i ciężar! odrywałby kusiciel od pracy... a tak... a tak... siedzę, szyję i muszę mieć rozu

- Aleby można najać tanio... - rzekł nieśmiało Zbigniew - ja mam jednego z przyjaciół...

- Kłamiesz pan - przerwała Lenora żywo - rumienisz się i zmyślasz Nająwszy, gdzie go postawię... a postawiwszy, jakże będę grała, chyba być od sąsiadów przeklinaną...

- Ale to by było szczęściem dla nich słyszeć panią.

- Już nie mówmy o tym... nie mówmy o tym - przerwała gorąco Lenora i - dość!

Rzeczywistości trzeba śmiało w oczy zaglądać, a nigdy nie przebierać za coś innego, czym nie jest.

Zbigniew wstał milczący... ona mu podała rękę.

- Męstwa, panie Zbigniewie - rzekła - kiedyś przyjdź do mnie, mnie do matki zaprowadził. W niedzielę pójdziemy razem... nie daż?

- Pani byś raczyła?

- Ja potrzebuję kogoś... chcę mieć, przemówić do tych, co mnie mają... Poznaj nas, panie Zbigniewie...

Młodzieniec stał czegoś zmieszany i szczęśliwy razem, widać był serca synowskiego był jej wdzięczny, a coś go wstrzymywało od tej ofiary. Żywo schylił się do pocałowania jej ręki, na której łzę zostawił, i nie odpowiedziawszy nic, wybiegł z pokoju.

I ona też nic już nie rzekła... przeprowadziła go oczyma... spłóknęła...

- Któż wie? - szepnęła do siebie - może Bóg zesłał mi go na obrot może w nim będę miała brata? Dwie niedole! dwie niedole! - powtórzył w marzeniu rozsnuły się myśli... a oczy zaświeciły łzami...

Wzięła ją, chwyciła robotę, przysunęła lampę, zmusiła się do pracy i machinalnie igłą zaczęła biegać po płótnie.

Doktor siedział po obiedzie w fotelu z książką i cygarem, rzadkiej chwili czynku używając, na pół roztargniony jakimiś myślami, dla których sto rozpoczęte rzucał czytanie, gdy służący oznajmił mu, że młody jakiś mość (sługa w ten sposób oznaczać był zwykłą osobę, których stanu nie mógł odgadnąć) bardzo się dopraszał chwilowej rozmowy, 'omyślał się jakiegoś biednego pacjenta... wejście Zbigniewa i spojrzenie nań nie wywiodło go z błędu; twarz blada, oko zgasłe potwierdziły jego przypuszczenie. Ubiór ubogich zdradzał dołę nie bardzo szczęśliwą, w większym współczuciu doktor wstał na przyjęcie biedaka i wskazał mu krzesło. Była chwila milczenia, wśród której lekarz, nawykły do pytania w ludzkich twarzach, badał nieznanego troskliwie. Co panu jest? - spytał wreszcie, widząc zakłopotanie jego. Mnie! ach! szanowny panie - odezwał się gość - przebaczysz mi, aleja przyszedłem radzić się dla siebie. Ja... muszę być zdrow. Mam do pana konsyliarza prośbę. Słucham, mów pan otwarcie...

Kilka lat temu - odezwał się Zbigniew - miałem szczęście poznać w domu pani wojewodziny, u której niegdyś ojciec mój był w obowiązkach, panią Lenorę Zara.

A! - zawołał doktor - pan ją znasz?

I wiele jej i nieboszczce wdzięczny jestem. To wyznanie wytłumaczy mi, dlaczego ośmielałem się trudzić go sprawą, która właściwie do mnie należy. Znam pana konsyliarza z jego szlachetnego serca; wiem, że jesteś przyjacielem wojewodziny, że litujesz się nad losem biednej sieroty...

wolno mi spytać pana dobrodzieja: los jej jest mu dobrze znany czy

Zdaje mi się, że położenie jej rozumiem i że się nie lękam - rzekł doktor

bym jej dopomógł i wyrwać ją z ałszywego położenia, zgubnego dla

życia i dla duszy... bo sprowadzającego zwątpienie; ale cóż na to pora-

jeśli się ona przy swojej idei ręcznej pracy upiera? f Ja, obcy, choć życzliwy, młody, nie mając prawa przemówić dobitniej, potrzebie walczyć z nią i zwyciężyć, zapewne nic bym nie potrafił, ale

swą powagą...

42

43

- Ale ona słuchać nie chce!

- Pana usłucha...

- Cóż myślisz, że radzić by jej należało? - zapytał lekarz.

- Mnie się zdaje, że dla każdego człowieka powołaniem powinno być; czemu oddał serce... ona jest namiętnie muzykalna, zna doskonale i muzykę: - dlaczegoż by z niej nie miała uczynić powołania?

Lekarz się uśmiechnął smętnie.

- Rada w zasadzie bardzo dobra - rzekł - ale pan jesteś młody i nie co to życie artysty, co kariera nauczycielki i wirtuozki. Muzyka dla tak rozpowszechnioną, a wydoskonalenie w niej tak pospolite, iż ci na ten towar znaleźć kupca... a iluż to upokorzeniami okupić uznanie. Dla Lenory prawie niemożliwym jest, a przynajmniej bi przykrym być może, do salonów, w których na stopie przyjaciół] przyjmowaną, przyjść z taką nauczycielki. Dla niej zresztą to nic; ale ją znali dawniej, a nie znali tylko powierzchownie, zechcą ją wzii

- A koncerta? - spytał Zbigniew.

- Koncerta? - uśmiechnął się doktor - koncertom będą szkodzić i szkadzać wirtuozzi współzawodnicy, a i na najświetniejsze prosić ba... Chybaby poszli dla ciekawości widzenia kobiety, co padła...

- I nie zabiła się w upadku - dodał żywo Zbigniew.

- Wszystko, co pan życzliwie napomykasz o pannie Lenorze, ja] lałem, projektowałem, proponowałem jej... wszystko się okazało niu tycznym...

- A więc to wyrok śmierci na tę istotę wyższą duchem, um wykształceniem, sercem, którą igła zabije powoli... którą sama tęskni utraconych artystycznych wrażeniach... powoli wyniszczy...

Przepraszam konsyliarza... wiele jestem winien pannie Lenorze A czasów, gdy matka moja nie miała przytułku, a ja kawałka chleba. Dziej ona biedni jesteśmy, ale nas dwoje... my mniej cierpimy, chcielib] spłacić dług święty... Ona od nas nie przyjmie nic... nic! Ja wie! największą prywatnią dla niej jest pozbawienie fortepianu, lecz czy można by choć pobieżnie skłamać, aby go jej... narzucić. Ja bym najl konsyliarz mógłbyś... być łaskaw i coś... i jakoś... i tak to obrócić, aby było posądzeniem nawet, że pochodzi ode mnie.

Konsyliarz spojrział na biedaka, który wcale nie wyglądał na moi robić podarki, i podał mu rękę wzruszony.

- Proszę pana - dodał żywo Zbigniew - ci ludzie, co jej są ws: winni, bo wojewodzina, gdyby nie ona, byłaby inaczej rozpór:

ajątkiem, ci ludzie jej własność, nędzny fortepian, który ona tak lubiła, lebrali sierocie! czy to się godzi?

Doktor chłodno i wielce serio odparł:

_ potrzebny im był jako sprzęt w salonie, zajmujący jego kąt nie zastany, a choć na nim nikt nie gra... miło się pochwalić, że to Erard... czy eyel...

_ Nie chcę pana nudzić... ale mi idzie dla niej o fortepian... ja go znajdę, n zmyśl, że dajesz od siebie...

-Przepraszam cię, kochany panie, aleja ojcu umierającemu, jest temu ; trzydzieści, dałem słowo, że nigdy nawet na dobre pobudki nie skłamię;

mogę złamać świętej przysięgi...ale... ale... mogę dać sam forte-an... [Zbigniew się zafrasował.

Proszę pana, to zupełnie co innego! mnie by tak było przyjemnie (służyć jej dobroć dla mej matki...

Zrobisz to drugim razem.

Zresztą - rzekł żywo Zbigniew - prawda i to, że cały mój projekt i Ińska dobra wola rozbija się o nieprzewyciężoną trudność... Nie ma go :ie postawić...

•oktor rzekł lakonicznie:

Znajdzie się...

[łodzieniec chwycił jego ręce z uczuciem, ścisnął i w ramię pocałował. - A! panie, nie zawiodłem się, jesteś równie dobrym, jak rozum-[m.

*! o! pochlebca... pfe! - roześmiał się stary - a widząc, że chce wyjść, trzymał go gwałtem.

Gdzie matka wasza mieszka? Moja matka? albo...

Wspomniałeś o matce, a bodaj i o tym, że nie bardzo zdrowa; chcę ją biedzić.

Moją matkę? - powtórzył Zbigniew. Tak, tak, i powinszować jej pocziwego syna... Ale gdzie mieszka-

Na Dziekance... ale w takim... tymczasowym, ubogim kątku...

To nic nie szkodzi, jam więcej nawykł do kątków niż do salonów, -bigniew, zmuszony, wybąknął numer. | Za jednym zamachem - dodał konsyliarz - powiedz mi pan, czy sam mojej rady nie potrzebował? Nie bardzo mi się zdrów wydajesz...

44

45

Zbigniew się uśmiechnął.

- O! proszę konsyliarza, zdrowiuteńki!

- A! no, to dobrze... - podał mu rękę, rozstali się... Zbigniew pobiegł matki... a doktor, pomyślawszy, wziął za kapelusz i poszedł pieszo do Laury...

Jesteśmy zmuszeni powiedzieć dwa słowa o pani Laurze, uprzed: naprzód łatwowiernych czytelników, iż to imię jest tylko pseudoni znanej bardzo w owych czasach w Warszawie osoby. Pani Laura wdową od bardzo dawna; syna jedynaka ożeniwszy szczęśliwie i odda mu majątek, sama z pensją od niego osiadła w stolicy, którą lubiła, o ktl mówiła zawsze, że gdzie indziej żyć by nie mogła. W lecie jeździła do A regularnie, na zimę powracała. Zdaje się, że towarzystwo bez niej, rólJ jak ona bez niego, byłyby się nie obeszły. Pani Laura najczynniejsze w | stanowiła kółko. Należała do Towarzystwa Dobroczynności, do ochJ ek, do kwest, do loterii fantowych, do wszystkich zabaw i smutki wiedziała o wszystkim, zajmowała się każdą rzeczą. Mała, ruchliwa, dJ brzydka, nie bardzo młoda, pomimo to stroiła się wykwintnie, lul skandaliki i ploteczki, złośliwa była nadzwyczaj, a w istocie cała jej! chliwość pochodziła z tego, że z życiem nie wiedzieć, co było zrobić zająć je czymś stało się koniecznością. Jak się nadzwyczajna pobożii godziła z wielu innymi skłonnościami, które do siedmiu grzechów gł nych się kwalifikują, o tym tylko wiedział dyrektor sumienia, czło\l wyrozumiały bardzo. Są kompensaty, które wiele grzechów nawet gł nych pozwalają puszczać płazem. Pani Laura w gruncie była dobrą tylko dla dobrych i biednych, dla złych zaś i dla nadętych nieubłaga: Tym nie okazywała litości najmniejszej... i z zjadłością ich ściagała, dzy innymi hrabina Pyza, mama Alfreda, była jej betę noire. O ile koc nieoszacowaną wojewodzinę, o tyle nienawidziła siostry. Postępowa Lenorą było jej dobrze znane, ale o losie sieroty dotąd próżno dowied: się usiłowała: nikt jej nie umiał powiedzieć nic nad to, że oda wszystkiego, w świat gdzieś poszła.

Doktor wczoraj dopiero wpadł na trop tych usposobień i postan zrzęcznie z nich skorzystać, ile możliwości sam się nie mieszając do ni go.

Obrachował tak dobrze godzinę, że zastał panią Laurę w domu, włą: numerującą fanty na jakąś loterię dobroczynną. Cały stół był zarzuć nimi, a w części dywan i posadzka. Porwała się, depcząc hafto

,duszki i patarafka kupami leżące i pobiegła naprzeciw doktora, którego I bardzo.

_ O mój Boże, cóż za cud! - zawołała z żywością, której wiek nie mógł iskromic - co za cud! wy u mnie! Czy nie jestem chora?!

chwyciła się za bok, za głowę, poczęła się śmiać i posadziła przez ztargnienie konsyliarza na bębnie dziecinnym, który spadł z wielkim lasem na ziemię.

A! przepraszam... siadaj! co słyhać!

-Chyba ja panią o to spytam... bo mnie dochodzą tylko wieści o febrach ;umatyzmach, a to nieciekawe.

- Jak to nieciekawe? t zaśmiała się pani - ależ w głębi wszystkich febr i imatyzmów są zawsze... utajone grzeszki ludzkie... tylko je trzeba umieć ich dobyć...

iV tejże chwili, korzystając z bytności doktora, wpakowała mu dziesięć etów na loterię.

Doktor zapłacił je, śmiejąc się, i schował do kiesze-

- Słuchaj, doktoru kochany, jesteś nieoszacowany - zawołała, całując w ramię - ale nie myśl, że mnie obalamucisz... Powiedz od razu, z czym :yszedłeś... bo że nie darmo, jak Boga kocham... ręczę... Już masz motany jakiś dobry uczynek, do którego ja służyć będę za narzędzie, jysięgam.

Doktor się roześmiał, ale postanowił się nie wydać z tajemnicą.

- Widzisz pani - odrzekł - że tym razem byłabyś popełniła krzywo-:ysięstwo, bom przyszedł tylko w niewinnym zamiarze rozpytania pani .jedną biedną istotę, ku której pewnie czujesz, jak ja, sympatię. Co się ło z tą sierotą, która była na wychowaniu u wojewodziny?

- Z Lenorką? z moją najdroższą Zarką? - pochwyciła, rzucając się po mapie i gestykulując rękami Laura - z Lenorką? Wystaw sobie, ta Pyza idęta i godny jej synalek, nie puściwszy jej za trumną inaczej iść, jak ze

igami... wypędzili...

- Ale musieli jej choć wypłacić zapis wojewodziny.

-Tak! tak! dobryś! albo oni głupi! zapis był nieważny... nie dostała nic, a dziewczyna dumna, sama się go dobrowolnie zrzekła... Doktor pokiwał głową, Laura popatrzyła nań.

- Słuchaj, stary - zawołała nagle - co ty mnie durzysz, co ty mnie, mnie, inie... (uderzyła ręką w piersi) chcesz obalamucić! Ty już wiesz o niej i coś

niej chcesz wyrobić. Mów otwarcie, bo się klnę, że mnie nie oszu-sz.

46

47

Konsyliarz minę zrobił dziwną, ale ruszywszy ramionami, cicho...

- Czy to prawda, że jej własny fortepian Erarda i pianino... pod ja pozorem skonfiskowali? Laura rękami uderzyła rozgłośnie.

- A! to łotry! proszę ciebie! to łotry! toż ta dziewczyna bez fortep; umrze...

- A przynajmniej śmiertelnie będzie tęskniła - szepnął konsylia

- Ty wiesz, że tak jest?

- Zdaje mi się, mówią - dodał doktor.

- Ale mów do licha jasno, zawsze te tajemnice, a ja ich nie cierpię., tak jest?

- No, to tak jest... a pani rzecz na to zaradzić - rzekł wstając sta

- A! czekajże, nie puszczę! czekaj... ani mi się ruszaj z miejsca, pó nie wygadamy o tym.

Wiesz, gdzie się podziała Lenorka?

- Wiem, ale dałem słowo, że nie powiem.

- No, więc jest w Warszawie, o to mi szło - zawołała Laura - a jutro cię o tym będę wiedziała.

- Fortepian choć jeden trzeba odzyskać - rzekł konsyliarz - to o ciebie i grabież...

Laura zamyśliła się, spojrzała na zegarek.

- Doktorze! ty mnie znasz - poczęła, zsuwając fany - ja nie mogę czekać, nie cierpię odkładać... ja jeszcze dziś do Pyzy pojedę...

- Zmiłuj się pani... ależ się namyśleć trzeba...

- Daj mi pokój! - machając rękami, jakby odpędzała, zakrzyknęła Li - ja już wiem, co zrobię... ale szta! Winnam ci prawdziwą wdzięczność zrobić przykrość i dogryźć Pyzie i jej synkowi, to c'est un festin Dieux!

Pocałowała tłuste paluszki swoje i podniosła je do góry.

- Fortepian! co to fortepian, a choćby i oba... gdyby im można wica wydrzeć...

- Ale Lenora nic w świecie od nich nie przyjmie.

- To głupia! - szparko przerwała Laura - to jej się należało wszystko. Była istotnie córką i najlepszą dla staruszki, która, jakkolwiek poczi' anielskiej dobroci, pod koniec życia okrutnie się stała ciężką. Gdyby ona, straciliby majątek, gdyby nie ona, straciliby jej serce... I to wdziarność! Ale w tej Pyzie oprócz dumy i głupstwa nic się nie mieści, a Fre godnym jest jej synalkiem. Jedźże sobie teraz, doktorze, ja mam swój porządek, Stefusia ze mną pójdzie, oddam jej wizytę. Mieszka właśnie w swoich apartamentach wojewodziny... to mi się doskonale składa!

- Hej! Stefka! - zawołała.

Wbiegła panienska zwawa jak ona, ładna bruneteczka i pośpieszyła ku niej. Snadź była nawykła do lakonicznych wyrazów swej opiekunki... I - Szal... kapelusz... ubierz się... dwadzieścia pięć biletów... idziemy Laz... Chustka... turecka... włóż kapelusz z woalikiem...

Doktor już się wysunął.

J - Jutro ci dam znać! zobaczysz! Czy oddadzą ci rąbusie grabież? tego nie wiem... ale że im dopiekę...

Ręką zakręciła jakby student, mszczący się na głowie nieprzyjacielu...

- O! że dopiekę... to dopiekę... Ścisnęła doktora za rękę.

- Ty jesteś pocziwy człowiek - rzekła prędko - kocham cię, poszłabym . ciebie i uszczęśliwiłabym cię, gdybyś chciał!

Skłonił się konsyliarz, uśmiechając.

- Nie jestem godzien.

- Filut! a żebym miała mniej dwudziestu laty? Hej! żebyś mnie zobaczył, tk wyglądałam! Oj! skusiłbyś się...

- Patrz! - poprowadziła go do portretu, wiszącego na ścianie, wyobrażającego piękną brunetkę, bardzo do Stefki podobną. - A co? - spytała.

48

- Obawiałbym się! - szepnął doktor. Laura uderzyła go po ramieniu.

- Nicpotem jesteś! - pogroziła mu na nosie. - To twoje szczęście, że serce dobre, ale filut!...

Doktor nie był jeszcze zszedł ze schodów, gdy już pani Laura wdziała kapelusz, szal, rękawiczki, wymusztrowała Stefkę i schodziła co żywo, (tarając się fizjonomii nadać wyraz spokojny, co jej nigdy łatwo nie przychodziło.

kwadrans potem pytała szwajcara, czy hrabina w domu, kazała się leldować i z pogodną, uśmiechniętą twarzą, tryumfalnie weszła do zło-;istego salonu, w którego kącie głównym stał milczący ów Erard... Hra-)ina, Pyzą zwana, siedziała w fotelu z powieścią Arsena Houssaye w ręku i lornetką na nosie. Tusza nie pozwoliła jej wstać rychło, a zwawa Laura podbiegła ku niej, aby tej fatygi oszczędzić. - Niechże kochana hrabina nie rusza się, proszę bardzo! Ja tylko na

49

chwileczkę przerywam mity spoczynek i lekturę... zawsze z mymi int sikami ubogich...
Znając dobre jej, szlachetne serce... przychodzę z t tami na loterię. Chere Comtesse! pani Zamoyska wzięła pięćdziesiąt, już i kochana pani choć...

- Ale wezmę, ile każesz - zawołała hrabina - proszę cię...

- Ogłosimy imiona dobroczynnych dam w „Kurierku” i „Gazeci

- Proszę cię... to mi jedno... ale wezmę. Ile? Pięćdziesiąt mówisz?

- Entre nous! - szepnęła na ucho Laura - gdyby kto mógł wziąć wi byłabym rada... bo Zamoyska skąpa.

- No... to... no to... sześćdziesiąt! - wyjąknęła, rumieniąc się, Py

- Vous etes un ange! - całując ją w ramię, prędko odparła Lau Stefciu, dawajże bilety...

Gdy panna Stefania dobywała bilety, których nie miała więcej | dwadzieścia pięć, Laura poczęła się rozglądać po salonie.

- Jak sobie hrabina to urządziła z gustem! Jak wytwornie!

- Prawda, że niebrzydko?

- Ale cudnie!

- Gdybyś widziała inne pokoje!

Hrabina usiłowała powstać, oparła się na obu poręczach, zaczerwieńf nareszcie dźwignęła. -
Ot chodź, to ci pokażę.

- A! bardzo, bardzo jestem wdzięczną!

W najróżowszym humorze pani domu, uśmiechnięta, poprow; swych gości, ukazując im splendory swoich apartamentów, a nawet p tykające do nich nie skończone jeszcze pokoje Alfreda, który tymcza stał w hotelu... czekając, aż matka mu apartament kawalerski wedle myśli uzupełni. Z innych też względów hotel mu lepiej jakoś dogad

W przysłym saloniku Alfreda stał Pleyel panny Lenory.

- A cóż to to? wszak fortepianik tej sierotki Lenorki! nie chciał, widocznie zabrać?

Hrabina się zmieszała nieco.

- Biedna dziewczyna! - dodała żywo Laura - co też o niej i z powodu wyplatają!

- Cóż? cóż proszę cię!

- At! zachciałaś, moja hrabino... potwarze! plotki... Ludziom tylko graj, żeby mieli co wziąć na języki. Okrutniem się za was ścierała... proszę cię, kochana hrabino... zapisy tam jakies to naturalnie nieważ ale wiem to doskonale, że to, co było jej własnością, oddaliście jej ś cie.

do ostatniego gałganka... _ A że nie miała gdzie zabrać naraz dwóch fortepianów, nie wasza wina ecie. Dosyc, że zabrała swego Erarda... bo ten, co w salonie, oczywiście wy. Ale są tacy źli ludzie, co przez zawiść dla was rozgadali, że wyście jej a fortepiany skonfiskowali! Ja się przysięgałam, że to nie może być... Hrabina z rózy przeszła do koloru starego buraka... usta się jej poczęły :ąść... stanęła...

_ i któż to mówił! - zapytała gniewna.

_ Ale u margrabiostwa pletli, komentowali, uzalali się, a że wiadomo lyło wszystkim, iż wojewodzina jej na imieniny dała Erarda... a z pensyjki ej ona sobie sama kupiła Pleyela... więc gardłowali! Ja przysięc chciani, że to nie może być!

Hrabina powoli zaczynała do siebie przychodzić, westchnęła jak lachina parowa przybiegająca do stacji.

- A! już to, powiadam ci, moja Lauro - nie ma nieszczęścia, jak przy-łędę w dom puścić! Otóż to wdzięczność potem dla rodziny, co ją wychowała, co ją, z pozwoleniem, z gnoju podniosła...

- Nie, to nie ona pewnie mówiła, boby kłamać nie mogła... ale źli idzie... ale plotkarze...

- Bo to, proszę cię, wszystko przez zazdrość tych dorobkiewiczów, co to niczego wyszło... i rade by familie stare widzieć w nędzy. Że nam Pan Bóg koś dopomógł, to nas prześladują, nękają, spotwarzają. Już im o fortepianach zachciało się pleść!

- Ale jakże! z tych fortepianów zrobiono całą historię. Sierota była do ch pamiątek przywiązana i one naturalnie dla niej w jej położeniu anowały wiele. I co za złośliwość, bo ja mówiłam zaraz, że to wprost iepodobieństwo!

Hrabina tylko głową i ramionami ruszała.

-Cóż to my nie jesteśmy w stanie sobie kupić czy tam Edwarda, czy tam go Lejela? - zawołała Pyza - to są, powiadam ci - łajdaki! Ja jej dałam 'ozabierać klejnoty! Wiadomo przecie, że wojewodzina miała kanak bry-
ntowy i nigdzie go nie podziała, tylko pewnie u niej w kuferku... No! a 'oszyła sobie nie rewidowana! A pierścionków, a zegarków, a bransoletek... tego kupy... powiadam ci... ale to są łajdaki... to zawiść! I ta marniutka! oj to także ziółko! -
dodała hrabina.

~ Ale gdzież się ona podziała? - spytała Laura.

- Albo ja tam wiem! pójdzie to, skąd przyszło... bo to z takiego rodu i wi, że nic dobrego być nie mogło. Wszak powiadam ci, Alfredka bała-

50

51
muciła, że gdyby inny, nie on, co ma sumienie i tych amatorów gardę nych nie cierpi, to byłaby pięknie wyszła...

Zasapana, zdyszana, zakaszła się hrabina i potrzebowała wrócić fotela. W salonie znów Laura spojrzała na Erarda.

- Ja bo pamiętam tego Erarda jej... wcale był inny... mniejszy... Hrabina nie odpowiedziała nic, ale się trzęsła z oburzenia.

- Moja droga - dodała - boja wiem, że ty mi sprzyjasz... co więcej gad u tych margrabiostwa?

- Ja nic nie słyszałam, oprócz fałszywej historii fortepianów, i mus oddać sprawiedliwość przytomnym, że się niemal wszyscy oburzyli. N

temu naturalnie wierzyć nie chciał; bo któż by taki, jak ty, hrabino, p: zapłacić, żeby im gęby pozatykać.

waszych milionach i fortunie, chciał się tam żywić takimi przywłaszczj niami?

Hrabina czerwieniła się i nie mówiła już nic.

Laura parę jeszcze razy zapuściła żądło w ranę... i poczęła się żegn taką czułością, uszanowaniem i przymileniem, tak prosząc kochanej hj biny, aby się nie ruszała z fotela, iż Pyza, mimo gniewu, rozstała się z wielce czule.

W połowie schodów Laura rozśmiała się do swej towarzyszki.

-Jeżeli ją dziś apopleksja nie ubije, tego starego muchomora... to bęc< cud... Uważałaś, jak czerwieniła się, a białe plamy jej na twarz wystę wały. Istny muchomor!...

W kwadrans po wyjściu Laury, napiwszy się proszków burzący wypocząwszy, hrabina posłała po Alfreda, aby natychmiast przyc dził.

Posłuszny syn, chociaż grał w lansknechta, porzucił zajęcie miłe, p: jaciół, nie dopalone cygaro i pobiegł. Wchodząc do salonu, spostrzegł twarzy matki, iż ją coś wzruszyło w niedobry sposób.

- Cóż to mamie? widzę proszki!

- A! powiadam ci! nie mogę jeszcze przyjść do siebie... Była u mnie pocziwa Laura... bo to kobieta, która mi dobrze życzy... przychód znów z jakąś loterią dobroczynną... wyciągnęła mi kilkadziesiąt rubli)

- Czyż to mamę tak zniecierpliwilo?

- Ale, gdzież tam! Słuchajże! zaczęła mi opowiadać rozmowę u m grabiostwa i plotki, które po mieście chodzą... Wystaw sobie, co zrobili tragedię z tych dwóch fortepianów! Miałam święte prawo je zabrać! Ty czasem krzyczą na grabież, na krzywdę sieroty... że jeden był jej na im niny darowany, a drugi ona sama sobie kupiła. Pytam, z jakich pieniędzy:

tych, co wydarła u mojej siostry! Ale niech ich diabli biorą, odesłać! desłać, choćby na ulicy postawić oba... kupić innego Edwarda... a ddać...

_ Mama pozwoli powiedzieć, że ja bym nie zważał na gadanie. Hermann ii mówił, że za Erarda ciocia zapłaciła mu tysiąc dwieście rubli... a za Pleyela pięć tysięcy złotych... Ja bym nie oddał.

_ Ale nie chcę... nie chcę... niech ją i fortepiany kaduk porwie! - przerwała hrabina. - Żebyś słyszał, co gadają... Nie chcę... grabież... rabunek... sieroce mienie...

_ A no, jeśli tak, moja mamó, to jeszcze jej trzeba będzie i dwakroć

- Ona sama się zrzekła...

- To i fortepianów tak samo...

- Nie! nie! ja na nie patrzeć nie mogę. Dziś, jutro mi je odeślij, jeśli nie a gdzie postawić... na ulicy... na ulicy... niech wszyscy widzą... Już mam

ej twojej Lenorki popóty. - Pokazała na gardło. - Dość tego! Alfred ramionami ruszył.

- Jak mama chce - rzekł - ale ja bym nic nie dał, dosyć nabrała...

- No, już mi krwi nie burz, mówiąc o tym... J# ci ręczę, że kanak wojewodziny, co znikł... a od nieboszczki matki jeszcze słyszałam, że był siedm czy ośm tysięcy czerwonych złotych zapłacony i to jeszcze tanio...

- Pewnie, że jest u niej - zimno odezwał się Alfred - ale na miejscu mamy, mając prawo, zrobiłbym rewizję i można by go odzyskać... jeśli jeszcze nie sprzedany...

- Nie chcę i kanaka, i fortepianów, i nic... Krzywdę moją niech Bóg (sądzi! - wzdychając patetycznie, zawołała hrabina.

Alfred przechadzał się po pokoju.

- Ja zawsze - rzekł po chwili - przewidywałem, co nas z tą jejmościanką zeka. Musieliśmy dyssymulować... szcędząc wojewodzinę... teraz za to pokutujemy. Hrabina westchnęła.

- Myślisz, że ja nie próbowałam siostry zreflektować? Ale to było zaślepione, to były czary, że mnie nieraz grzeszne myśli przychodziły... [Trzęsła się słysząc ją nadchodzącą... żyć bez niej nie mogła, a pochlebница

ak pies u nóg jej leżała... i nazywała tylko matusią! mateczką! mamą! bo inaczej nie było wolno... i ty pod koniec świadkiem ich sam byłeś nieraz... Wojewodzina oszalała... Żeby nie ten projekt małżeństwa, ręczę ci, że

52

53

byłaby Julka sprowadziła i wyswatała ją za życia... Szczęście, żeśmy sij taktem znaleźli, tej plamy uniknęli... a drugie szczęście, że ty miałeś rozv i nie stał się skandal... bo choćbyś ty nic nie był winien, przy narzucaniach się... ale zawsze pletliby, żeś sierotę skrzywdził...

- Hm! - szepnął Alfred cicho - był tam ktoś inny.

- Był? proszę cię! toć trzeba o tym gadać głośno... niech ludzie wiedl co to za synogarliczka... - Aleś ty mi nigdy nic o tym nie wspominał]

- Nie było o czym mówić - sucho odparł Alfred.

- Któż to taki?

- Swój swego szuka... syn jakiegoś oficjalisty, którego panna niby pr litość dla matki protegowała. Wiem, że formalnie zajmowała się dok<j czeniem jego wychowania, że z nim wieczorami chodziła sama jedna! przechadzki... że u wojewodziny nieustannie coś dla niego wyciągała!

- I tam... coś, myślisz, było między nimi?

- Romansik czuły... pokatny... - mówił Alfred - wszyscy o tym dzieli, oprócz wojewodziny, która niczego się nie domyślała, boją miała świętą.

- A to żmija chyba - przerwała hrabina - wygrzana na naszym łonie J proszę cię, Alfredzie, co za nikczemny charakter, boś mi mówił, że uł wała, iż się w tobie kochała, zawracała oczy, wabiła, a natura cygańś ciągnęła ją do łasa!

Alfred nie mógł naprawdę potwierdzić teraz dawnych swych rela gdyż za życia wojewodziny Lenora tyle tylko dlań była grzeczną, ile ściJ potrzeba było, aby uspokoić wojewodzinę...

Zamilkł ponuro... HrabiaJ zmęczona dyszała tylko. Fortepiany wyprawiono nazajutrz.

Doktor, zapisawszy sobie numer domu, w którym wdowa mieszka nazajutrz około południa nie zapomniał wstąpić na Dziekankę. Oswoic z wewnętrzną ekonomiką starych domów Warszawy, z łatwością trafił! mieszkania, które się znajdowało w dziedzińcu i należało do najbiednij szych. Wdowa zajmowała dwie izdebki ciemne, z małą sionką przer. rzoną we dwoje, tak że w połowie jej ciasna jeszcze mieściła się kuch^ ka.

Z imienia syna jej, Zbigniewa, już by baczny postrzegacz obyczaje domyśleć się mógł charakteru matki, która tę szumno brzmiącą i roma nazwę narzuciła dziecięciu, na ubóstwo i walki niegłośne przezna-jonemu. I nie omyliłby się...

Matka Zbigniewa, niegdyś wychowanica i garderobiana możnego łomu, nosząca nazwisko szlacheckie, piękna za młodu, wyuczona przy janienkach francuszczyzny, wypieszczona przez męża, była jedną z tych lieszczęśliwych istot, którym się zdaje przez całe życie, że los je najnie-łluszniej pokrzywdził, że Opatrzność była im dłużną wiele... że nie są na Jwym miejscu...

Taką była istotnie nieszczęśliwa, dobra, zacna, ale ostatecznie śmieszna)ani Amelia Matuska. Za życia męża, mieszkając na folwarku, gdy on ekonomował, zamiast cur pilnować, ubierała swoje izdebki, siebie, dziecko, czytała romanse Ifrancuskie, unosiła się nad naturą, zajmowała polityką i grała rolę wielkiej jani, którą wypadki nieszczęśliwe na stan nieznośny skazały. Życie jej całe było zwichnięte, nędzy broniła się nie pracą, ale łzami i lamentem; z losem pogodzić się nie mogła nigdy, z utratą wdzięków >swoić... Trzymała na loterii w przekonaniu, że Pan Bóg tylko czekał zręczności, żeby jej wynagrodzić chwilowe zapomnienie, marzyła o sukcesji jakiejś, o cudach, a pół dnia kładąc kabałę, często zapominała, że trzeba było dopilnować obiadu.

Wychowanie syna nieco tych nieszczęśliwych usposobień było wyni-riem... Zbigniew, pieszczony, stracił energię zawczasu, więcej umiał rzeczy miłych niż potrzebnych i byłby może stał się tak nieszczęśliwą jak latka istotą, gdyby nie wpływ Lenory, która go wzięła w opiekę, w której się on zakochał namiętnie... a ona, inne mu zadań życia dając pojęcie,)odniosła go i pokierowała nim, wlewając nowego ducha...

Pani Amelia, ubóstwiając syna, taki los mu gotowała jak sobie... Szczęściem, w porę jeszcze chłopak posłyszał z ust wdzięcznych prawdy, które do (ego przekonania trafiły. Zostało w nim coś z matki, ale nowa nauczycielka tchnęła go na lepszą drogę...

Z takim usposobieniem, jak matka Zbigniewa, rzuconą być w życie 'Cdzy, pracy i w cień a ką społeczeństwa, jest niewypowiedzianą męczar-

}| Biedna kobieta trawiła dnie we łzach, noce na westchnieniach. Mieszkanie jej zdradzało najlepiej charakter, przy największym niedostatku 'ezsilne staranie o jakąś niemożliwą, nieszczęśliwą elegancję, okrucy lepszych nieco czasów... wszystkie zmyślenia, na jakie zdobyć się może ibóstwo, które ukryć się i zamaskować pragnie.

54

55

Coś bardziej tragicznego, a razem więcej do smutnego uśmiechu dzającego, wymyśleć trudno.

Pierwszy pokój, do którego wszedł doktor, miał widoczną pretensję salonikiem. Stół okrywała kolorowa niegdyś serweta, stał na nim jaj otłuczony wazonik ze zwiędłym

bukietem; na kulawej szafeczce ponosi wiano umiejętnie nieco obłamanej porcelany tak, aby jej kalektwo za skować dla patrzącego...

W oknach były firanki perkalowe ale pąsowe z frędzlami, trochę k tów w wazonach.

Wśród tego biednego, ciemnego saloniku siedziała wdowa, bladą twarzą wyniszczoną, w odzieży starej i zużytej, ale skrojonej i przybiera tak, aby robiła złudzenie modnego kroju i formy, w chustce wyszarzanej rękawiczkach, bez których się ruszyć nie mogła.

Na widok nieznanego przybrała ton i postawę teatralną wielkiej pał zasnurowała usta i posunęła się ku doktorowi, cała w ruchach wynl szonych, a dla patrzącego bolesnych.

Jeden rzut oka starczył staremu do objęcia sytuacji, do zrozumienia! niedoli nad wszelki wyraz boleńszej. Jak strój, tak mowa pani Maj skiej, chciały dowodzić i lepszego niegdys bytu, i staranniejszego wyc(wania.

- Jestem doktor S. - rzekł przybyły - miałem przyjemność poznać sji pani, a że i o nim chciałem się z panią rozmówić i spytać o jej zdrow| zaszedłem sam się zaprezentować.

- Nieskończone dzięki winnam konsyliarzowi - odparła, wskazuj krzesło kobieta, sama zajmując pompatycznie na kanapie miejsce. - j istocie moje zdrowie, tylu przeciwnych losów razami skolatane, w nal płakańszym jest stanie. Widzisz nas pan w smutnym nader położeni" które litość serc szlachetnych obudzać powinno... Nie byłam zrodzonąf tej doli, którą mi ręka zawistnych przeznaczeń zgotowała... ale umi cierpieć... Jestem z domu Zamierzychowska... Doktor niewiele zrozumiał, co rodzina Zamierzychowskich mogła m za znaczenie, ale głowę skłonił z uszanowaniem.

- Tak jest, jestem z domu Zamierzychowska, odebrałam wychowani mych krewnych, bogatych...

- Pani dobrodziejko - z przestrachem spoglądając na zegarek, odezw się doktor w obawie szczegółowej biografii - czy nie mógłbym wiedzieć, | co pani cierpi?

- A! panie! - załamując ręce, rzekła Matuska - co ja cierpię, to się wa ująć nie daje... Cierpię duchowo i cierpię cieleśnie... palpacje

:a... nerwowe okropne bóleści, bezsenność... osłabienie, kurcze... iech serdeczny często...

oktor wziął za puls. Wycieńczenie i osłabienie było wielkie, stan

irej istotnie dość groźny... ale nań, niestety, nie lekarstwo, tylko spokój i zęście mogły być

ratunkiem. Po kilku zapytaniach wiedział konsyliarz, chcąc ją dźwignąć, trzeba było naprzód los lepszy zapewnić.

Powiedz mi pani, czym syn jej się zajmuje?

Mój anioł! Zbigniewek, ach! panie - łamiąc ręce, krzyknęła z bolesnym razem - zdaje się, że odziedziczył po mnie mą rolę... Jest to najpięk-yszych zdolności młodzian, pełen talentów, uczuć wzniosłych, mogę wiedzieć śmiało, geniusz... a jednak zapoznany! Nie pozostało mu nic, ko bakalarstwo, nędzne bakalarstwo... a teraz nawet pokutuje za to, iż Nowymi zasadami chciał karmić powierzone mu młode pokolenie... i nie

zajęcia. Ci arystokraci wypowiedzieli mu wśród roku! Tyrani! |Doktor się zamyślił.

Jest to w istocie zawód - rzekł - w którym trudno dogodzić i sumieniu |asnemu, i

wymaganiom często zaślepionych rodziców... ale przy zdol-ściach pana Zbigniewa, czyby on nie mógł jeszcze rozpocząć nowej uki i usposobić się do nowego zawodu? - Do jakiego? - spytała wdowa.

-Jako doktor naturalnie pierwszą myśl mam, iżby się mógł na medyka [fkształcić...

Y- Panie, to dziecię pełne uczucia... czyżby on wytrzymał... trupy... hy... okropne widowisko znikomości ludzkiej... Konsyliarz się uśmiechnął.

Wytrzymałby - odpowiedział - powinien mieć na to dosyć charakteru, H jest usposobiony, radzę i życzę... Pomogę mu może do uzyskania pendium... powiedz mu pani, że ja myśl tę

przyniosłem i że pragnąc

yjść państwu w pomoc, mocno ją popieram.

Ale serce macierzyńskie!

Właśnie ono powinno dla jego własnej i dla przyszłości pani skłonić go uchwycenia się tego projektu.

^dowa zakryła oczy chustką.

Niestety! - wyjęknęła- losy są okrutne... Powiem mu to, ale pozwolisz, chętny nasz dobroczyńco, aby mój anioł sam przyszedł jeszcze rady I zasięgnąć.

Owszem, proszę o to, bardzo mi będzie miło. Co do pani - dodał

56

57

konsyliarz - jeśli można zmienić mieszkanie na suche i cieplejs pokarmy starać się, by były posilne, nade wszystko zaś uspokoić si] duszy, nabrać męstwa... otuchy...

- Jestże słaba niewiasta do pokonania gromów losu zdolną? - od] pani Matuska.

W ten sposób ciągnęła się rozmowa wykrzyknikami, gdy szczęść anioł Zbigniew nadszedł, a ujrzawszy doktora, nieco zmieszany, rzucij się za dobroć dziękować.

- Zbisiu mój złoty! - biorąc go w objęcia, odezwała się pani Matu J ten mąż, pełen dobroci i wzniosłych uczuć, przyniósł nam promień chy... dziękuj mu... i mów z nim, gdyż mnie głębokie wzruszenie dozwala; i przebaczy mi konsyliarz, iż ukryć muszę łzy moje przed | natrętnego światłem...

To mówiąc i skłoniwszy się nieco, wysunęła się biedna kobiet^ drugiego pokoiku. Zbigniew, z synowską czułością całując ją po ręk odprowadził do drzwi i spiesznie do doktora powrócił.

- Daruj pan - zawołał - biedna matka moja podrażniona jest, ślaj trudno jej o czymkolwiek mówić bez zbytniego wzruszenia. Jeste biedni - dodał cicho - bardzo biedni... - Załamał ręce...

- I dlatego heroicznego trzeba szukać lekarstwa, aby wyjść z tego pl żenią - rzekł doktor. -

Moją radą jest, abyś waćpan wziął się do medyc{ ja dla pana uzyskam stypendium, pięć lat gorliwej pracy da ci nieza ność.

Zbigniew uściśnął go wzruszony.

- A! panie! a cóż przez pięć lat nauki stanie się z nią? - Pokazał na dr - Ja muszę na chleb zarabiać...

- Na to wszystko po trosze da się poradzić; przyjdź do mnie, pomówij Nie rozpaczaj, nie trwóż się i staraj się matkę ukoić... Jesteś poczech synem... ludzie i Opatrzność ci pomogą...

- A teraz - szepnął doktor - mam ci zwiastować dobrą nowinę, za] ci się też nagroda należy, boś się przyczynił do spełnienia gorących życ panny Lenory. Hrabina obydwia fortepiany zwróciła właścicielce... b> tym trochę kłopotu... Pleyela dziś odkupił Hermann, najęto drugi poi w nim stanął Erard... Przyszedłszy więc do swej dawnej protektorki, szysz muzykę. Zaczerwieniony z radości, rozczulony do łez, zapomniawszy o wini uszanowaniu, Zbigniew począł doktora ścisnąć i całować.

- A! pan jesteś nieocenionym dobroczyńcą ludzkości! pan jesteś...]

Dajże mi pokój... ja jestem doktor i nie mam czasu, zatem muszę teszyć.-- Bądźcie państwo zdrowi i dobrej myśli. Pożegnaj matkę ode lie.

la te słowa teatralnie otwarły się drzwi drugiej izdebki, pani Matuska tszła, wlokąc za sobą ogon sukni, i drżącą dłoń podała doktorowi, drugą [uląc na sercu.

. Wdzięczność ku tobie, panie, nigdy w nim nie wygaśnie! Żegnaj mi, [broczyńco ludzkości i jej chlubo!

4ie będziemy malować tej chwili, gdy niespodzianie dwa fortepiany wywieziono przed pałac i Lenora struchlała na ich widok, nie wiedząc, I pocznie z nimi. Szczęściem, doktor czatował pocziwy, aby ją wywieść Lłopotu, i energicznie się zajął pomieszczeniem. Lenora Erarda sprzedać mogła, bo to był dar tej matki przybranej, którą kochała teraz jak ićstwianą istotę, mieszkającą w niebiesiech, po której każda pamiątka fła relikwią... Pleyela pozbyła się chętnie i łatwo, a doktor ułatwił przyjęcie drugiego pokoju, w którym go postawiono. |Ten,

dla kogo muzyka stała się nałogiem, potrzebą, pokarmem ducha, Jmie pierwszą chwilę rozkoszy, jaką zbliżenie do Erarda napoiło Leno-Ale ten śliczny, śpiewny fortepian, niestety przypominał jej czasy, Srych wspomnienie łzami oblać musiała. Z trwogą i poszanowaniem [liżyła się do niego, nie śmiała dotknąć... potem uderzyła w klawisze, zplakała się, uciekła. Każda z tych melodii, wyuczona niegdyś, których Jiruszka z rozrzwieniem słuchała, uprzytomniała stracone szczęście, Iwo przywracała czasy niepowrotne... i rozdzierała serce, aby zwyciężyć | przypomnień, a odżyć ich pokarmem... Niejeden dzień upłynął na śbach, łzach i gorączkowych porywach, aż wieczorem nareszcie, prze-igłszy się Lenora dała pochwycić potędze muzyki, której była sprag-ą; płacząc, rozogniła się dźwiękami, które dla niej nowy urok miały i, po długim odłączeniu, i zapomniawszy o świecie całym, poczęła ic namiętnie, szalenie aż do takiego znużenia, że gdy na ostatek dłoniom sił zabrakło, rzuciła się złamana na łóżko i nie mogąc sukni cić, przetrwała na nim do rana w marzeniach i gorączkowej eksta-

3ną;

[Są organizacje, dla których muzyka, wedle dowcipnego wyrażenia fran-Iskiego pisarza, jest najkosztowniejszym z hałasów, ale są inne, posiadające szósty zmysł hormonii, dla których ona pokarmem, ciałem myśli mogących się inaczej uprzytomnić, światem całym niedostępnym ie, nie dającym się odtworzyć barwą ni linią, ni słowem, ni światłem,

58

59

ni żadnym z języków, którymi mówi stworzenie o niestworzonyni nieśmiertelnym. Dla tych istot równie ona nieodbitą do życia w pełni słońce, powietrze, jak pieśń, jak chleb, jak idea Boga, jak wiara w śmiertelność.

Można ubolewać nad nie czującymi muzyki i pozbawionymi jej zml można równie boleć nad tymi, co mają jedną więcej potrzebę duszy, jł więcej serca nałóg... ale się nie godzi szydersko uśmiechać ani z kaleM jednych, ani z drugich egzaltacji.

Lenora należała do tych nieszczęśliwych, co słuchając pieśni, rtii zapomnieć o chlebie. I w pierwszych dniach, mimo walki z ideą oboJ ków, mimo planów pracy... robota została zapomnianą, igła odrzuci potrafiła nawet o jutrze nie myśleć.

Grała zapamiętała... Każdy z tych zeszytów znanych, kochanych i nieprzewyciężoną pokusą. W chwili takiego upajania się, drugiejj trzeciego dnia zapukano tak silnie do drzwi, iż wreszcie pobiegła,] [szawszy, otworzyć.

Ledwie się one odemknęły, wpadająca jak piorun mała osóbką się jej na szyję.

- Lenorka! droga Lenorka! moja droga sierotka!

Tak pani Laura witała tę, której największą życia dała osłodę...

- Cóż się z tobą dzieje? mój Boże... nie mogłam dotąd dopytać nienia twojego? Czemuś się kryła? dlaczego nie dałaś mi znać? nie ch uwierzyć w serce moje! A! za to bym cię połajac powinna!

- Pani droga - odpowiedziała zmieszana Perełka - tysiąc się prz składało na to, bym musiała zamknąć się w ciszy i samotności. Smi którym się dzielić z nikim nie miałam prawa, zwątpienie o sercach l] moje ubóstwo i duma... i pewien rodzaj rozpacz.

- A! rozumiem przez połowę - zawołała Laura, już poczynając r< dać się po pokoju - ta niegodna Pyza, ten Alfredek! ta cała familijka. nieprzebaczone postępowanie... Wierz mi jednak, miałaś za sobą wi tkich... oburzeni byliśmy... wszyscy ci życzą dobrze, gotowi ręce...

- A ja chciałam własnym tylko przyszłość być winna.

- Tak! tak! ale nie igielce! ja wszystko wiem - przerwała Laura -dziwactwo, tobie zostać szwaczką, kiedy masz w tych rączkach s które dotknięciem palca stworzyć ci łatwo...

- A pani! nadto łaskawa.

- Nie! nie! zobaczysz! teraz ja cię nie puszczam, nie dam żyć w

>dziesz, jak byłaś, heroiną naszych salonów, choćby w perkalowej kience... Ja ci nie pozwolę żywą się zagrzebać... a Pyza pęknie ze złości-

Trudno w istocie zgadnąć, czy zacna pani Laura pomagać chciała siebie przez miłość dla niej, czy przez nienawiść dla hrabiny. Ona sama lalazy tego uczucia zmieszanego z dwóch dokonać by nie potrafiła. To lko pewna, że najmocniejsze miała postanowienie swymi wpływami iprawić losu omyłkę i przywrócić Lenorze jej stanowisko w towarzyskie.

Wpadła, rozpatrując się ciekawie po kątach, do drugiego pokoiku, ibaczyła roboty porozpoczynane, izdebkę ubogą, ślady życia samotnego pustelniczego, dzbanek z wodą, bułkę chleba i garnuszek od mleka, i jerkę, na której grzała je sobie Lenora.

- O! tego nie ścierpimy - poczęła wołać gorąco - ty byś się tu głodem imorzyła, gdy twoje talenta, twoja główka, twoja piękność, twoje wycho-anie dają ci wszelką łatwą zdobyć sobie pozycję niezależną i świetną.

- Jak? - spytała Lenora.

- To moja rzecz! Jutro mieć będziesz uczennic, ile zechcesz, staniesz się icą... będą się dobijając o ciebie. Ja ci ręczę... ale musisz mnie słu-lać...

- Siądź, kochana pani - odezwała się na to Lenora - i posłuchaj mnie z :hą cierpliwości. Ten świat, na który mnie ciągniesz, znam, bom na im była, bom się wśród niego wychowała. Wiele na nim serc pocziwych, le zepsutych więcej jeszcze. Co ja zyskam, wpraszając się tam, gdzie taściwie prawa nie mam się znajdować?

Pozostanę zawsze tam cudzą, wsze gościem, i czuć będę, zem z łaski przyjętą.

- Dlaczego - pospiesznie zaprzeczyła Laura - w towarzystwie lepszym 'chowanie jest wszystkim. Nikt ci pochodzenia za złe mieć nie będzie, •asy nie po temu. Zresztą wszędzie potrafisz być sobą na miejscu. Scho-;ąc w te sfery, w których cię jeszcze mniej zrozumieją niż my, na dob-'Wolne narażasz się męczarnie; z nami możesz być narażoną na walkę, e któraż z nas żyje bez niej? I co znaczy walka, gdzie zwycięstwo pew-

- Zostaw mnie pani w mojej izdebce - błagała Lenora.

- Zawsze, kiedy zechcesz, wrócić do niej i pozostać w niej będziesz °gła - ofuknęła Laura - a dla fantazji ginąć z głodu byłoby niedarowa-

- samobójstwem... Bądź co bądź, jesteś u mnie dziś wieczorem na rbacie.

60

61

Lenora zadrżała i pobladła.

- A! pani! nie wymagaj!

- Co za tchórzostwo! nie pozwolę na to! nie mogę, nie powinn Musisz... i musisz grać, i będziesz wesołą, ażeby tym ludziom pokaz się bez nich doskonale obejść potrafisz...

- Tak mi już było spokojnie - dodała Lenora - po cóż?

- Po to, ażeby pokazać, że nie oplakujesz utraty położenia, bo je sama wyrobić potrafisz. Spojrzała na nią bystro, potem zaczęła ścisnąć, całować, szeptać, ś się, nie dozwoliła mówić, nie słuchała zarzutów i... zwyciężyła. Le zgodziła się ukazać u niej, chociaż nie łudziła się tym wcale, iż ter: nowo wchodząc w świat, z którego pogardliwie wypchniętą została, mieć może do zniesienia.

Zaledwie to przyrzeczenie od niej otrzymała Laura, wyściskawszy j; nowo, już poprawiała szal i ubierała się, bo pilno jej było swoją herbaty urządzić, aby jak najwięcej miała rozgłosu. Znano zręczność pani Lad poprowadzeniu podobnych interesów; teraz już ścisnąc i umawiajął ostatecznie o godzinę, o strój (bo wszystko chciała sama rozporząd myślą była gdzie indziej i program swój wykończała.

Drzwi się zamknęły; Zara została sam i usiadła zamyślona, z bijają sercem. Nie bez wpływu była na nią żywość Laury, jej męstwo i wymJ mówiła sobie, że powinna walczyć i nie dać łatwego nieprzyjaciół zwycięstwa; czerpała odwagę w poniżeniu chwilowym... Nie tyle p^

tryumfu nad ludźmi, którzy ją pragnęli widzieć zabitą i odrzuconą raczej usprawiedliwić swą przybraną matkę, na której pamięć s podejrzenie słabości śmiesznej lub dziwactwa.

- Stanie się wola Boża - rzekła w duchu - ale dla szczęścia mojego będzie żadną zdobyczą powrót do ludzi, między którymi a mną istri nieprzebyta nigdy granica... Sierota, Cyganka, lwicą będę dla nich, roj jem ciekawego zwierzątka, które, jak Munito, pomimo że zwierzę, u rachować i zgaduje dni miesiąca...

Na te rozmysły smętne wszedł Zbigniew, z trwogą młodzieńca, to ubóstwianej istoty próg przestępuje... Biedny chłopak blady był, zmę ny, smutny także. Lenora spojrzała nań ze współzuciem, podała mu r< usiłowała przybrać weselszą twarz, aby go wywieść z tego wiekuis kwilenia, do jakiego był nawykły przy matce.

- Byłeś pan zwiastunem nowej ery dla mnie - zawołała - pan mi dob sercem wyprorokowałeś powrót straconego fortepianu, a teraz na

ńastuję rnu, że dziś jestem wieczorem na świetnej herbacie i... z pustel-|cy na wietrznice się przerabiam, i Zbigniew zbladł, nie uszło to jej oka. I Dokądże? kto?

Aę wśród rozpoczętego pytania zamilkł, pomiarkowawszy, iż się wydać loże z uczuciem pewnej zazdrości, którego doznał, słysząc o zmianie Icia i wyjściu z samotności. Zakochany, nie wątpił, iż wszyscy w Lenorze

>chać się muszą; gryzł się już tym, że uleci mu w strefy, do których on nie łzie miał przystępu.

[Dom pani Laury był dobrze znany w Warszawie, nawet tym, co jak ngniew, ani do niego, ani do żadnego nie mieli przystępu... Wiedział on, się tam najróżnorodniejsze, ale świetne i wybrane gromadziło towa-lystwo, że obok arystokracji rodu, grosza, miała zaszczytne w nim liejsce arystokracja nauki, talentu i pracy. Obok tych świetnych gwiazd edny Zbigniew sam sobie wydawał się pyłem i nicością.

Spojrział, słuchając tłumaczenia Lenory, z tak błagającym o litość wej-leniem, iż go zrozumiała. I W sercu jej było dlań wiele współzucia, przyjaźni... ale czy się zrodziło)ś więcej nad nie do tej chwili, ani ona nie wiedziała, ani my odgadnąć lożemy. Był to jej protegowany, jak druh i sługa... ale, jak Zbigniew nie łiał nawet myślą sięgnąć do serca, tak ona nie spytała się nigdy siebie, czy uje oddała... Coś braterskiego było w tym związku na pozór chłodnym, a Jniejszym od wielu wybuchów płomiennych...

Po krótkiej rozmowie Zbigniewowi tak się smutno zrobiło, iż musiał ją)żegnać, aby pójść tę boleść w samotności przecierpieć.

Laura tymczasem biegała po znajomych, a że jej kalibru gosposiom 'ykło się szczęścić, bo one fortunę za czuprynę chwytać umieją, spotyka tego dnia właśnie tych, których znaleźć pragnęła; nawijali się jej

>żądani; zastała w domu swe znajome panie z obozu przeciwnego hra- [nej i podintrygowała tak, że któraś z przyjaciółek podjęła się namówić [abinę samą, by na herbatę (był to dzień zwykły przyjęcia pani Laury) 'ybyła.

| Wcześniej uśmiechała się temu spotkaniu pani Laura; wprawdzie miało

»o zdecydować otwartą wojnę między Pyzą a nią, ale tę, prędzej czy

)żniej, rozpocząć i prowadzić stawało się koniecznym. Szło jej o to, aby łeskiej młodzieży miała dosyć; trafiła na pana Zygmunta Haraburdę na

/stawie obrazu jakiegoś, w ulicy zaprosiła pan Romana Junoszę Zaryb-|iego, jakimuś kuzynkowi dalekiemu, który służył do szczególnych

polecen, kazała zwerbować jeszcze kilka gwiazd tegorocznego zodi| Zacierała ręce, śmiała się, biegła, dysponowała ciastka, słała po o\ Stefcie pędzała do domu, aby nic do herbaty nie zabrakło, wcześniej na przysposobiła cygara dla mężczyzn, bo sama paliła, i u niej obok sj był fumoір każdego wieczoru.

Wedle umowy, Lenora przybyła wcześniej bardzo, aby uniknąć widocznego i kłopotliwego wchodzenia na salon. Pani Laura jeszcz przystrajała i perfumowała przed zwierciadłem, gdyż niezmiernie staranną około siebie i bardzo racjonalnie, tym troskliwszą się stawaj okropniej brzydła. Słyszac nadchodzącą, odwróciła się i krzykną radości.

Lenora w istocie tego wieczoru była do oczarowania piękną, a który ją otaczał, tym silniej działał, że cała postać, twarz, wyraz udei oryginalnym czymś, niewidzianym, odrębnym... Wśród stu można ją| wyróżnić jakby innego świata dziecie... rysy, oko, wejrzenie, płeć ci włosy czarno-sine, kibić giętka i sprężysta, odznaczały ją wśród pól) nych niezabudek. Malarz myślał o Judycie patrząc na nią... śniH Włochy w jej oku... wschód z podaniami o boginiach nadgangeso\ otaczał aureolą jej czoło... trudno była odgadnąć, kto ona, skąd, ale czuł, że to gość z innego jakiegoś świata.

Mimo sieroctwa, mimo terazniejszego odrzucenia, energia i dumj no wiły wyraz tego oblicza brązowego. Chód miała królowej, wejn nieuleknione. Ubrana w czarną suknię aksamitną, bez żadnych ocz błyskotek, wyglądała zachwycająco, jak diament w czarnej emalii wie.

- Poszaleją! wszystkim głowy poza wraca - zakrzyknęła Laura - a ja się filozoficznie ubrała... bo filozofią to naszą strój do położenia i wypa zastosować. Jesteś imponująca! jesteś czarną perełką... prawdziwie...!

Laura lubiła ścisnąć, uściśnęła więc gościa, potem poczęła szukać j czów, chustki zgubionej, zawołała Stefcie, połajała służącego, wódkę kolońską, wyróciła krzesło, i wyszły do pustego salonu.

Ale razem prawie z ukazaniem się ich poczęli napływać goście; panowie wchodzili jedni za drugimi, każdy stawał i każdego ta nowa, lub dawno nie widziana, uderzała. Gospodyni polityką było | wać, że Lenora jest tu jak w domu, i niby na nią nie zważać... Wiele z] wielu z panów przyszło z Perłą odnowić znajomość wcale grzec^ Lenora siliła się, aby pozostać i okazać chłodną, nie zmieszana, natur choć serce zrazu biło mocno.

64

a było zdziwienie pana Zygmunta, gdy swą Rebekę czy Rachelę zał niespodzianie w.salonie i aksamicie, on, co ją widział po raz pier-Ly ze dzbankiem wody w ręku? Jakie było zdumienie pana Romana LoSzy Zarybskiego, gdy ujrzał tu sąsiadkę z drugiego piętra i dawną jijomą? ucho opowiadano sobie jej historię, a choć postać na młodzieńcu liła wrażenie, ostudziło go to, co usłyszał. Pan Roman nie mógł ani się liżyć, ani okazać zajęcia osobie, która herbu nie miała, a co gorzej, na Lą padało podejrzenie, iż mogła byż Żydówką lub Cyganką. W tym (głędzie bowiem różniły się zdania, oparte na charakterystyce fizjono-li, którą inni znawcy typów porównywali do najpiękniejszego ze sfink-starożytnych.

Siękną Lenora, o której historii wiele osób wiedziało, a nieświadomych spiesznie z nią na ucho obeznawała gospodyni, robiła ogromne wraże-L. uwielbienia, politowania, współczucia, ciekawości. Artysta nie mógł napatrzyć, ludzie mierzący wartość człowieka jego salonową formą, nie |gli się wydziwić jej dystynkcji, obejściu się, francuszczyźnie i arysto-^tycznej rączce i nóżce. Pani Laura płomień tych uwielbień podsycala, ; mogła i umiała, a posiadała w tych sprawach niepoślednią zręczność. I miarę zajęcia piękną Lenora niechęć do hrabiny i jej rodziny rosła i Itęźniała. Ci nawet, co może by z sierotą postąpili tak samo jak ona, |urzali się na nieludzkie obejście i krzywdę...

/szystko to razem odbiło się w duszy wygnanki i otoczyło ją cieplejszą

nosferą, odżywiło. Choć nie słyszała nic, a oznaki sympatii były pełne liarkowania i przyzwoitości, nie mogła nie odgadnąć usposobień ogólnych dla siebie. Jest coś w każdym z nas, co mu oznajmia mimo woli, czy jej życzliwość lub niechęć otacza.

Wroszono ją grać, usiadła natchniona, a że miała znakomity talent |prowizatorski, poprzedziła jedną z pieśni bez słów Mendelssohna przytka, w której ukształcenie jej muzykalne powszechne wywołało podziwienie.

Jrała potem Chopina, grała Schumanna, i wszyscy słuchali przejęci i zmienili...

znakomita artystka! - wołano w tłumie. Artystka to nic - szeptała Laura z kolei po uszach przyjaciółek i FYJaciół-ale ona jest poetką jak Deotyma, maluje jak Jericho Baumann, Ramuje jak Palińska i szyje jak najlepsza szwaczka, a pilnuje chorych

Uama Perelka

65

jak siostra miłosierdzia. Nie dziwię się, że wojewodzina przepadała bo to istotnie istota fenomenalna.

- Jednakże właściwie - spytał z naciskiem pan Roman Junosza ski, który dla dystynkcji włożył sobie pince-nez na nos - właściwie jest?

- Pan nie znasz jej historii?

- Owszem, pani, słyszałem koniec, ale dla wszystkich nas jest taji początek.

- Zdaje mi się - odparła, wzdychając, Laura - że ten i dla niej na zagadkę... Nigdy od wojewodziny nic pewnego się o tym dowiedzie było można, wiadomo tylko, że małym dzieckiem wziętą zostaj wychowanie.

- Rysy wschodnie! - zdecydował pan Roman.

- Tak! - przerwał Zygmunt Haraburda - ale wschód szeroki i typy c a różnorodne... a prawdziwie trudno powiedzieć, do jakiego ona ży.

- A! niech sobie będzie, czym chce - przerwała gospodyni -fenomen ze wszech względów.

Zapał dla sieroty był najmocniej podniecony, Lenora stała je:

iardziej hrabina się była zaperzała, tym Laura stawiała się natarczywiej •zna, nadskakującą i udawała, że nic nie rozumie, fred, nakrochmalony, z zaciętymi ustami, całą strategię swą zasadił m ażeby nie widzieć nic i nie słyszeć tego, co niemiłym być mogło. W prawie chwili, jak na złość, ktoś z gości (bo Laura dworowała przy [e domęczając ją grzecznościami) poprosił o mazurek Chopina, forsie odezwał i mimo woli oczy na grającą zwrócić się musiały, [ech sobie hrabina wystawi moje zdziwienie - szepnęła okrutna i na ucho - gdy mi dziś na herbatę, bo to mój dzień, przybyła odzianie Lenorka! Tak to miło gospodyni domu mieć gościa, co 'ką i talentem wszystkich zajmuje, abina chrząknęła, patrząc w drugą stronę. Dna jest nieoszacowana - kończyła gospodyni - i nie dziwię się rodzinie, że do niej taką miała słabość. Moje towarzystwo, od czasu zesza, całe nią zajęte... otaczają, pytają... szczęśliwa, bo ma współ-ie wszystkich.

abinie zasychało w ustach, roztargniona, ledwie ostatnie dosłyszała ży... A tu namówione panie z kolei przychodziły jej ciągle mówić o

czona wielbicielami płci obu przy fortepianie, gdy drzwi otworzytf10Ści Lenory, o jej talentach, o ułożeniu.

szeroko (i nie bez przyczyny), a przez nie wtoczyła się w atlasowej sukni hrabina...

Laura pośpieszyła uśmiechnięta z oznakami najwyższej radości ni ciw niej; tryumfatorsko wsuwała się do salonu wielka pani, za nią

p tego dnia nie dostała hrabina żółtaczk, winna to wątrobie, która za to ta do muzeum się kwalifikowała.

Ifred był zimno zły, ale nauczony wytrzymywać przyzwoicie afronty nawane, udawał niedobrze wesołego, uśmiechał się i mówił o czym

ubranu nieposzlakowanej świeżości; ale o mało nie odrętwieli oboje

wzrokiem zatoczywszy, postrzegli Lenorę, która się nawet nie zwróciła; który miał zaszczyt być mu znany, a dobijał się honoru i fałszywie, zbliżył się, niedobrze świadomy okoliczności wszystkich, ręcznie chwyląc przed nim Lenorę.

nim, koło osób wieńcem ją otaczających i postawę sieroty tak < swobodną, wesołą, jak gdyby jeszcze żyła wojewodzina, a ona... s wała się być panią Alfredową!

Hrabina Pyza chwilę, mgnienie oka, zdawała się namyślać, spojrzawszy na siebie z synem, zarumienili się oboje, ale cofnąć się było to skompromitować się, potępić, okazać grubiaństwo... Wzrokiem nie bazyliżki rozgniewanej gęsi, rzuciła hrabina na Laurę, chociaż czuła, że jej wymawiać nie mogła, bo przyszła nie proszona, a potem z wolna poszła się ku kanapie. Hrabina dla rozmiarów swych zwykle miejsce to za wałą zawsze, które i dumie jej dogadzało, tym razem wszakże nie w przypadku czy umyślnie, kanapa była zajęta i wąski fotel niski pozostawiając dla hrabiny, co ją samą już w najgorszy w świecie humor wprowadzić miało.

66

hrabina ogłuchła zupełnie.

Proszę hrabiego, my tu zakładamy o pochodzeniu panny Zary... czy hrabia nie mógł rozwiązać zagadki i objaśnić nam? Alfred piorunująco popatrzył na pytającego i rzekł szydersko: Zdaje mi się, że Pan Bóg jeden wie słowo tej zagadki. Cudnie piękna! - wołano zewsząd. Ale jakże gra Chopina!

szumie się, że umiejętna gospośnia chórem pochwał kierowała tak, by była z nich dla uszu hrabiny i jej syna straconą nie była. ale i on byliby natychmiast mieli się do odwrotu, przyzwoitość i kłopot placu nieprzyjacielowi oddać nie pozwalała. Skinieniem ręki tak

67

śluszcuchnej, że skinienie wydawało się, z dala patrzącym, groźbą i niebezpiecznym kułak, hrabina powołała syna; ten schylił się do jej ucha, szepnęła mu:

- Nous restons aussi longtemps que possible... Alfred zrozumiał to.

W istocie postanowienie było rozpaczliwe, gdyż hrabina mi wycierpienia tyle, iż nazajutrz prawie myślenie o krwi puszczeniu honor wychodzić nie dozwalała. Trzeba było wśród saloniku niezbyt kiego, wśród osób w większej części będących w spisku manewrów ażeby się nie widziało, nie słuchało, nie zważało na świszczące nad wystrzały.

Lice hrabiny mieniło się w najrozmaitsze kameleńskie tony żółte, różowe, sine, oczy chwilami zdawały się krwią nabiegać, wachlarzem trzęsły konwulsyjnie, ale dobry żołnierz dotrwać stanowisku. Alfred dosyć zręcznie zakrywał matkę i grał obojętną jedną rękawiczkę podarł i butem na posadzce wyświdrował znak zowany.

Lenora nie widziała niby hrabiny i jej syna, a przynajmniej jakby znała wcale, postępowała sobie bez przesady, ze swobodą zupełną, śmiała się, siadała do fortepianu i wstawiała, nie spoglądała państwa... i jedyną może oznaką nieuniknionego wzruszenia był gorączkowy ożywienie, nieco podniecona żywość.

Oczy wszystkich widzów tej sceny niemej, która niby niedostatek być miała dla świadków, zwracały się z niewysłowionym zajęciem na jej prześladowców, stojących pod przegierzem, chciała się śmiać, a mało nie płakała; w duchu powtarzała sobie ci litanię:

- Jeśli jej daruję, niech zginie... to był spisek... ja jej dam! ja jej Ale jak było dowiedzieć spisku tam, gdzie zaproszenia nie było? Pani Laura rolę swoją zupełnie niewinnej gospodyni odegrała

nością nadzwyczajną, zdawała się dziecięcej naiwności i dobroci... tyki jej wypadło jak najmniej znów zbliżyć się do Lenory... przede do niej załedwie... za to około hrabiny kręciła się, pod stos, na płonęła, podzrucając głownie.

Były na tym wieczorze osoby, którym się on wydał krótki, jak m, oka, i inne, dla których był wiekowo długi... ale nareszcie naj. zajmujący się tym widowiskiem, spojrzawszy na zegarki, zrozumiał godzina odwrotu się zbliża. Nikt nie chciał wychodzić pierwszy, s;

Iwle czekali jakiegoś końca, nie chcieli stracić nic z dramatu, który mógł być opowiadany po stolicy.

•abina dosiadywała uparcie, Lenora nie myślała o wyjściu, wdawszy bardzo ożywioną rozmowę, panie to brały za chustki, to z wolna je kły, w nadziei, że ktoś je wyprzedzi. Niektórzy z mężczyzn, oczarowani przez Lenorę, zapomnieli o czasie rozmiarach.

liczbie tych, na których rzuciła mimowolnie urok, był i Roman, i mnt... to nic jeszcze, ale co najdziwniej był prawdziwy hrabia, jeden z ajetniejszych panów i jeden z najświetniej wychowanych ludzi, hrab Henryk, pospolicie lordem zwany. Młodość spędzona w Londynie, >nomia a l'anglaise, cześć dla instytucji w Brytanii, pewna sztywność, ;iwa dzieciom Albionu, słusznie mu ten przydomek zjednały.

,jrd Henryk był pięknym bardzo, choć nieco na pozór za pedancko mym młodzieńcem; miał wszystkie wady prototypu, wiele jego przyjtów, a z polskich tradycji wielką tylko charakteru szlachetność i głębie przekonanie, że należał z łaski Bożej do naznaczonych narodowi Izów i mistrzów.

idać w nim było, że się czuł uciosanym z tego materiału, z którego Jów dawniej robiono. inany z tej wyłączości swej lord, że rzadko do... nieurodzonych mówić 'et raczył, zdziwił wszystkich swym zajęciem się sierotą. Naprzód :z pół wieczoru stał w kole; otaczającym ją, z palcem w kieszeni od lizelki, z oczyma wlepionymi w boginię, nie mówiąc ani słoweczka. :hał. Ci, co go znali, dziwili się wytrwałości na stanowisku, nie mil-iiu, bo lord rzadko mówił i ożywiał się, ale rzadziej jeszcze przedmiot uznawał godnym tak długiego i wytrwałego badania; kilka razy ktoś do ;o coś zagadał, potrząsał tylko głową, nie odpowiadając nic - słuchał, 'ało to dobrą godzinę. Jeśli grupa, w której była Lenora, przesunęła się 'o na inne miejsce, jeśli ona się przeszła, lord posuwał się za nią, stawał lcem w kamizelce i jak posąg nieruchomy - słuchał. Po niejakiem czasie [kiem statui komandora w „Don Juanie" posunął się do Laury i pochyleł nieco ku niej.

Pani mnie zechce zaprezentować pannie Lenorze Zara. O! z największą przyjemnością. llerota mówiła z dwiema panienkami o czymś obojętnym, gdy wobec ystkich nader uroczyście został jej przedstawiony lord. Obyczajem rrrn, nie kłaniając się, schylił tylko głowę, podniósł ją i jako urzędownie znajomy, rozpoczął rozmowę od zapytania, czy umie po angielsku.

68

69

Lenora, która miała guwernantkę, Angielkę, mówiła tym języ łatwością; lord rozpoczął więc z wielką przyjemnością najcz angielszczyzną rozmowę swobodną i poważną. Poczęli chodzić po wobec świadków i mówili tak z sobą dobrą godzinę. Wywarło to wri niezmierne, bo lord rzadko z paniami mówił raczył, a długiej z je nich pogadanki nie przypominano sobie.

Przytem na twarzy jego wało się takie rozpromienienie i zadowolenie, jakby dopiero teraz z: to, czego całe życie szukał.

Ta scena dobiła hrabinę i Alfreda. Alfred miał cześć wielką dla hrabina, nienawidząc jego rodziny, zmuszoną była ją szanować... słał jej zrobiło... wstała... Alfred chwycił kapelusz. Laura odprowadziła i progu sieni, śmiejąc się, żartując, dziękując, trzpiocąc, choć pochój był prawdziwym konduktem. Szanowna Pyza wyszła tak straszliwiej czona odbyty męczeństwem, że w powozie syn zrazu o nią był nj kojny... słowa przemówić nie mogła. W salonie rozmowa z lordem przedłużała się.

- Dlaczego pani tak mało bywasz w towarzystwach? ja ją tu pierw spotykam - rzekł Anglik.

- Czy hrabia wiesz, kto ja jestem? - spytała śmiało Lenora. -dziano moje nazwisko, ale ono nic nie mówi. Mój los mnie tłu Należę do tych istot declassees, które powierzchownie należą

do waszego, a w istocie są wydziedziczone i obce wszystkim... Jestem si pochodzenie moje nie znane... Wśród towarzystwa, jak dzisiejsze, przypadkiem, jak ptak burzą zagnany... jutro odlecieć potrzeba.

- To szkoda - westchnął lord - nie ma arystokratyczniejszego n nad angielski... w nim arystokracja jest, można rzec, instytucją nari a przecież tam wyjątkowe istoty, jak pani, mają prawo do najwię dystynkcji.

- Dziękuję hrabiemu, ale ja się nie czuję wyjątkiem, raczej bal pospolitym stworzeniem, któremu nieszczęście dało siły... Opatrz] zsyła je odrzuconym, aby się czym bronić mieli. Lord westchnął, popatrzył.

- Wiesz pani - rzekł - ja jestem śmiesznie otwarty, proszę to policz; karb ekscentryczności narodu, którego jestem wychowańcem; z tą ol tością nieco dziwną muszę jej wyznać, że od pobytu w Anglii nie s łem tu nikogo, czyja by rozmowa większą mi sprawiła przyje przepraszam, jeśli m zdusił... ależ gdzież panią spotkać można?

Lenora pobladła, stanęła.

Rzadko gdzie - rzekła - nie bywam prawie nigdzie. Od śmierci woje-Iziny jestem pustelnicą. jrcl się skłonił, tym samym krokiem, którym chodził po salonie, jedł do gospodyni i siadł przy niej.

Skądże pani ten fenomen wydobyła? - rzekł bawiąc się rzemykiem, Ly mu służył za dewizkę od zegarka.

A prawda, że fenomen! - uszczęśliwiona zawołała Laura - to moja Jroźsza sierotka. A prawda, że śliczna, że miła, że utalentowana? Co za takt! co za prawdziwa maniera... jaka powaga - rzekł lord. - Ale Iziz się, by osoba tak znakomita, zakopana marniała? tura popatrzyła nań z uśmiechem.

Wystawże sobie, hrabio, że z tą znakomitą, jak ją słusznie zowiesz, >ba, hrabina i jej syn obeszli się jak najnielitościwiej po śmierci opie-iki, że ją pozbawili legatu... wypchnęli z domu, choć staruszka ją była ;zyła z Alfredem... Teraz żyje z pracy rąk... ,ord ruszył ramionami... wyrwało mu się: - Shocking. Żeby nie ja... ale nie chcę się chwalić - dokończyła Laura. - Dowie-ilałm się o mieszkaniu, wyrwałam ją gwałtem z niego, przyznam się, bardzo rada, iż los sprowadził tu za karę hrabinę, aby była świadkiem |tryumfu...

Bardzo znakomita osoba! - powtarzał lord - bardzo dystygowana, >głaby śmiało na salonach królowej Wiktorii figurować. Dziwne są losy l.. a tyle naszych panien... No...

rstał, podał rękę gospodyni i z wolna, skłoniwszy się po drodze z :lkim uszanowaniem

Lenorze, która mu dosyć chłodno ukłon oddała, szedł.

tura poleciała do swojej perełki. Kochanie! podbiłaś prowincję, która jeszcze podbitą nie była... tryum-•• ale mnie podziękuj. Hrabina dostanie febry lub żółtaczkę... a ty! ha! ż wie... | uścisnęła ją najczulej...

Nieboszczka wojewodzina, której była wychowanicą Lenora, mieszkała ść roku w Warszawie, drugą na wsi, a rezydencja jej, którą teraz ;iedzicyli siostra z synem swym, była jedną z najpiękniejszych w kraju, ona była położeniu swemu za rzekami, wpośród odwiecznych

70

71

lasów to, że rzadko ją klęski wojny dosięgnąć mogły i że uchował! zdobiac i przerabiając, od XVI w. do naszych czasów.

Niewiele takich dworów spotyka się w Królestwie - zamki lei ruinach, pałace stoją pustkami, drewniane dwory poobalały się i popB mało ostało się murowanych, bo też ich niewiele było. Miano u ni powszechne przekonanie, że drewniane, dobrze opatrzone budo\l najzdrowsze do mieszkania; szlachcic i pan najczęściej stawiał sobie! nie mógł z modrzewiu, to z najpiękniejszych sosen i dębów dwór, co cl przetrwać miał wieki.

Gdziekolwiek tylko murowano z kamienia i cegły. Taki był właśnie pałacem zwany, dwór ogromny, niekształtny, ale teraz przyozdobił podobny do angielskiego cottage magnata, dwór w Muranowie. Otafl go szpalery, ulice lipowe, drzewa odwieczne, rzeka - wyglądał na zflorowane gniazdo spokoju i ciszy.

I był też takim za czasów wojewodziny, kobiety dobrej aż do słabiej kochającej ten kąt rodzinny nad wyraz wszelki. Ale po śmierci stał pustką i grobem. Starzy słudzy chodzili, płacząc i truchlejąc nad młosem, bo choć im testamentem zapewniła umierając staruszka dożywienie i domy, i pensje, ale znali hrabinę i wiedzieli, czego się spodziewać byli powinni. Zesłani plenipotenci hrabiny przetrząsali wszystko, jak najsurowiej sługi i dożywców. Przestraszył się jeszcze jednego dnia niespodzianie powóz zaszedł przed dwór i dowiedzia, że hrabia Alfred nadjechał.

Po co? Odgadywano łatwo, że myślał tu zapewne nowy zapórządek. Ludziom, co jeszcze od czasów świętej pani, jako zwano wodzinę, zachowywali tu wszystko z poszanowaniem bałwochwal jakby nieboszczka jeszcze tu powrócić miała, pewnie zarówno z siebie samych i tych pamiątek przeszłości, które fantazja nowych d: ców, choćby dla okazania swej potęgi, pewnie już zamierzała zburzyć się domyślano.

Ciekawość była niezmierna, popłoch wielki... oczekiwano trw skutków, boć hrabia Alfred darmo by nie przyjechał.

Następnego dnia nie zaszło nic nowego, oprócz że powołano dworskich, a jaśnie pan rozpytywał ich o najrozmaitsze wypadki szłości, o wojewódzkie, jej życie, sposób gospodarowania, rządzeń użytkowania z dochodów.

Ta indagacja dla wszystkich była niesłychanie ciężką, gdyż ani j sług starych nie czuł się powołanym do pokochania nowego dzi kosztom nieboszczki i oskarżania jej, czego on właśnie zdawał się sobie życzyć i wywołać pytaniami. Z kolei przeszli tak przez badanie prawie wszyscy znajdujący się w Muranowie; każdy wychodził uznojony, zmieszany, rachując się trwożliwie z sumieniem, czyli co zanadto lub niezgrabnie nie wygadał niepotrzebnego.

Po innych przyszła kolej na staruszkę, rówieśnicę wojewodziny, jej sługę od lat dziecięcych, można powiedzieć przyjaciółkę, pannę Łowczankę Adalbertę. Miała ona jeszcze za życia swej pani najformalniej sobie zapisany dworek z ogrodem na dziedzictwo i pewną sumkę na Muranowie, z której procentu się utrzymywała Panna Łowczanka liczyła sobie lat siedemdziesiąt kilka, chociaż może była starszą; zdzieciniała była zupełnie, terażniejszości nie pojmowała i nie pamiętała, wypadki tylko młodości żywo jej były przytomne, i chwilami o nich z zadziwiającą drobnostkowością rozpowiadała. Od śmierci wojewodziny wiele straciła na zdrowiu i siłach, a całe dni prawie opłakiwała ją, prosząc Boga, aby się z nią co rychlej połączyć mogła.

Hrabia Alfred zrazu chciał ją kazać prosić do siebie, ale się przekonał, że staruszce po zimnie kazać iść do siebie było okrucieństwem i niemożliwością. Zrzuciwszy więc trochę pychy z serca, sam poszedł do jej dworku. Smutno tam było jak w grobie, staruszka w mocno napalonej izdebce siedziała ostawiona poduszkami w fotelu, z nogami na stołeczku i nieodstępna siostrzeniczką, która jej to tabakierkę, to chustkę, to okulary, to książkę, to wodę nieustannie podawać i odbierać musiała. Silny zapach rumianku rozchodził się po pokoiku... Przy piecu spały dwa ogromne koty. Mnóstwo pamiątek po drogiej pani otaczało staruszkę, która płakała ciągle, szukając zręczności, by mówić o niej.

Nim pan Alfred nadszedł jeszcze, wbiegł kamerdyner, pan Franciszek, ; szybko oznajmiając go.

- Panno Łowczanko dobrodziejko! - zawołał jej nad uchem - przyjdzie tu hrabia Alfred.

- No to niech sobie przyjdzie.

- Ale, panno Łowczanko... jeśli on zechce rozpytywać, jeśli będzie badać, nie bardzo mu wiele mów. Bóg ich wie, co oni za cel w tym mają! a każdego badają, że zdaje się, szpiku by z niego dobyć chcieli.

- Albo to my mamy się z czym kryć? czy to święta nasza pani albo kto z nas, uchowaj Boże, popełnił? Cały świat może wiedzieć o tym, co się jej i nas tyczy.

- Ale, panno Łowczanko... po co to?

72

73

- Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kota zsadź, chce jj wyjść... połóż książkę na stoliku! Nie tak! że nigdy porządnie nic nie zrobisz!

Pan Franciszek odszedł, wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred,] prychnąwszy na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosolu i kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała mi wojewodzinę, którą mimowolnie długim z nią pożyciem naśladować się nauczyła.

- Jakże się ma panna Łowczanka? - zapytał grzecznie.

- Bardzo dziękuję - at, jak stara... siedmdziesiąt ośm lat kawęczę... ocz wyplakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, darmo.

I chustką oczy zakryła...

- Nie brak też czego pannie Łowczance? - przypochlebiając się, doc Alfred.

- Dziękuję! a cóż mi tam wielkiego potrzeba, oprócz ciepłego kąta Straciłam apetyt! Basia! wynieście tego kota, bo piszczy.

- Moja panno Łowczanko dobrodziejko - rzekł po wyjściu Basi, przysuwając się do niej Alfred - dla uregulowania interesów i poszanowania woli wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości... Wiem, że ich nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś zaufanie nieboszczki.

- A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej niż swoje strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy.

- Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu woje wodzina oddała ten kosztowny kanak familijny, który na krocie cenie no?

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrzała na mówiącego, nij chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

- Kanak! aleja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętar

- Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

- Pannie Lenci? no, nie wiem... aleja o nim nie słyszałam...

- Nic by nie było dziwnego, ani złego - dodał Alfred - my tylko ni[^] możemy się dopytać, co się z nim właściwie stało, i dlatego chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć.

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanaku... i jeszcze tak drogim!

- Trzeba przyznać - mówił Alfred, jakby odwracając rozmowę - przywiązanie cioci do panny Lenory było bardzo żywe...

74

- A czemuż to się dziwować? - wyjęknęła staruszka - >yto przybrane dziecię, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

- I ze wszech miar godne miłości jej - dorzucił Alfred - nj, :z\$— bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojev, zażyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

- A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perelka...

- Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, ską<U, Oona dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowić... kiwała głową, mruzczyła coś...

- Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówi, asie jarmarku znalezione pod płótem przy umarłej kobiecie, prawe Or 'nie Cygance...

- To stara historia, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś powiedzieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba, pan Alfred, zmiarkował puszkę nie weźmie inaczej, jak na zrzeczne pochlebstwo.

- Panna Łowczanka ma przecież pamięć tak doskonałą i w/w/sz" cze tak zdrowo i rzeźwo. Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą w szafranie (w/n3> którą miała związaną głowę.

- Ja, przyznaję się, niezmiernie ciekawy jestem tej historii - (k - nigdy jeszcze od nikogo dokładnie jej opowiedzianej nie jestem pewny, że nikt też jej lepiej nie wie i nie pamięta od p^

- Pewnie, że nie - mruknęła Łowczanka - ale co to tam, dzieje!

- Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładnie a. Każdy co innego paple i trudno w tym wszystkim dojść ładu.

-Dawne dzieje, dawne dzieje! -poczęła, zażywając tabaczkę i Ł »mi ożywiając się, w miarę jak postępowała w opowiadaniu, starsz^ Jt0 ta nasza kochana wojewodzina, gdy się przekonała, że i w dn.,"1^ żeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu, tylko za; chała, żeby sobie jaką dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnjtj. ^a" wali, a były i ładne... jakoś serca nie miała. Nieboszczyk rządcy /o" Wski, śp. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickin * f'z zapalenia... ten, który też był bezdziejny, i co mu żona, niech^ f^ uchowa, z wikariuszem uciekła za kordon, pojechał raz na j

75

e% "

»mi

-Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kotzadsz cW
vjsc... połoz książkę na stoliku! Nie t*V\ń n,,A_____j_... ! e
nic nie

Pan Franciszek odszedł, wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred prychając na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosoTu, i kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała wojewodzinę, którą mimowolnie długim z nią pożyciem naśladowali^

- Jakże się ma panna Łowczanka? - zapytał grzecznie

- Bardzo dziękuję - at, jak stara... siedmdziesiąt ośm lat kawęczę oczy wyplakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, damo

I chustką oczy zakryła...

Alfred brak ^ CZe8° PanniC Ł°WCZanCe? " Pochlebając się, dodał

- Dziękuję! a cóż mi tam wielkiego potrzeba, oprócz ciepłego kąta Straciłam apetyt! Basia! wynieście tego kota, bo piszczy

- Moja panno Łowczanko dobrodziejko - rzekł po wyjściu Basi przy suwając się do niej Alfred - dla uregulowania interesów i poszanowania" woli wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości Wiem że ich „, nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś całe zaufanie nieboszczki.

- A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej niż swojego strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy i

-Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu woje-' wodzma oddała ten kosztowny kanak familijny, który na krocie centa- '*

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrzała na mówiącego na chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

- Kanak! ale ja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętam!

- Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

- Pannie Lenci? no, nie wiem... ale ja o nim nie słyszałam..

- Nic by nie było dziwnego, ani złego - dodał Alfred - my tylko nie możemy s.ę dopytać, co się z nim właściwie stało, i dlatego chcieliby*™ się czegoś dowiedzieć.

y

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanak,, * jeszcze tak drogim!
"u...a

- Trzeba przyznać - mówił Alfred, jakby odwracając rozmowę - 7P przywiązanie cioci do panny Lenory było bardzo żywe...

74

- A czemuż to się dziwować? - wyjęknęła staruszka - toż to było przybrane dziecię, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

- I ze wszech miar godne miłości jej - dorzucił Alfred - nie przeczę... bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojewodziną, złożyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

- A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perelka...

- Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, skąd, jak się ona dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowiedzieć... kiwała głową, mruzczała coś...

- Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówią, w czasie jarmarku znaleziono pod płotem przy umarłej kobiecie, prawdopodobnie Cygance...

- To stara historia, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś przypomnieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba, pan Alfred, zmiarkował, że staruszki nie weźmie inaczej, jak na zřeczne pochlebstwo.

- Panna Łowczanka ma przecież pamięć tak doskonałą i wygląda jeszcze tak zdrowo i rzeźwo. Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą w szafranie farbowaną, którą miała związaną głowę.

- Ja, przyznaję się, niezmiernie ciekawy jestem tej historii - dodał Alfred - nigdy jeszcze od nikogo dokładnie jej opowiedzianej nie słyszał... a jestem pewny, że nikt też jej lepiej nie wie i nie pamięta od pani.

- Pewnie, że nie - mruknęła Łowczanka - ale co to tam... te stare dzieje!

- Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładnie opowie... Każdy co innego paple i trudno w tym wszystkim dojść ładu.

- Dawne dzieje, dawne dzieje! - poczęła, zażywając tabaczkę i stopniami ożywiając się, w miarę jak postępowała w opowiadaniu, staruszka... Już to ta nasza kochana wojewodziną, gdy się przekonała, że i w drugim małżeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu, tylko za tym wzdychała, żeby sobie jaką dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnych poddawali, a były i ładne... jakoś serca nie miała. Nieboszczyk rządcą murano-wski, śp. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickim i umarł z zapalenia... ten, który też był bezdzietny, i co mu żona, niech Pan Bóg uchowa, z wikariuszem uciekła za kordon, pojechał raz na jarmark do

75

- Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kota zsadź, chce] wyjść... połóż książkę na stoliku! Nie tak! że nigdy porządnie nic nie zrobisz!

f

Pan Franciszek odszedł, wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred,] prychnąwszy na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosółu kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała mi wojewodzinę, którą mimowolnie długim z nią pożyciem naśladować się nauczyła.

4

- Jakże się ma panna Łowczanka? - zapytał grzecznie.

- Bardzo dziękuję - at, jak stara... siedmdziesiąt ośm lat kawęczę... oczy wypłakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, darmo.

I chustką oczy zakryła...

- Nie brak też czego pannie Łowczance? - przypochlebiając się, dodał! Alfred.

- Dziękuję! a cóż mi tam wielkiego potrzeba, oprócz ciepłego kąta. I Straciłam apetyt! Basia! wynieście tego kota, bo piszczy.

- Moja panno Łowczanko dobrodziejko - rzekł po wyjściu Basi, przy-ł suwając się do niej Alfred - dla uregulowania interesów i poszanowania I woli wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości... Wiem, że ich ul nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś całe I zaufanie nieboszczki.

- A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej niż swojego P strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy.

- Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu woje-wodzina oddała ten kosztowny kanak familijny, który na krocie cenio- \ no?

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrzała na mówiącego, na I chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

- Kanak! aleja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętam! I

- Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

- Pannie Lenci? no, nie wiem... ale ja o nim nie słyszałam...

- Nic by nie było dziwnego, ani złego - dodał Alfred - my tylko nie możemy się dopytać, co się z nim właściwie stało, i dlatego chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć.

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanaku... a jeszcze tak drogim!

- Trzeba przyznać - mówił Alfred, jakby odwracając rozmowę - że przywiązanie cioci do panny Lenory było bardzo żywe...

74

- A czemuż to się dziwować? - wyjęknęła staruszka - toż to było przybrane dziecię, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

- I ze wszech miar godne miłości jej - dorzucił Alfred - nie przeczę... bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojewodziną, złożyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

- A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perełka...

- Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, skąd, jak się ona dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowiedzieć... kiwała głową, mruzczała coś...

- Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówią, w czasie jarmarku znaleziono pod płotem przy umarłej kobiecie, prawdopodobnie Cygance...

- To stara historia, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś przypomnieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba, pan Alfred, zmiarkował, że staruszki nie weźmie inaczej, jak na zręczne pochlebstwo.

- Panna Łowczanka ma przecież pamięć tak doskonałą i wygląda jeszcze tak zdrowo i rzeźwo.

Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą w szafranie farbowaną, którą miała związaną głowę.

- Ja, przyznaję się, niezmiernie ciekawy jestem tej historii - dodał Alfred - nigdy jeszcze od nikogo dokładnie jej opowiedzianej nie słyszał... a jestem pewny, że nikt też jej lepiej nie wie i nie pamięta od pani.

- Pewnie, że nie - mruknęła Łowczanka - ale co to tam... te stare dzieje!

- Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładnie opowie... Każdy co innego paple i trudno w tym wszystkim dojść ładu.

- Dawne dzieje, dawne dzieje! - poczęła, zażywając tabaczkę i stopniami ożywiając się, w miarę jak postępowała w opowiadaniu, staruszka... Już to ta nasza kochana wojewodzina, gdy się przekonała, że i w drugim małżeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu, tylko za tym wzdychała, żeby sobie jaką dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnych poddawali, a były i ładne... jakoś serca nie miała. Nieboszczyk rządca murano-wski, śp. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickim i umarł z zapalenia... ten, który też był bezdzietny, i co mu żona, niech Pan Bóg uchowa, z wikariuszem uciekła za kordon, pojechał raz na jarmark do

75

Bystrzycy... Pani wojewodzina kazała mu cztery pary wotów kupić dla włościan... powraca już nocą. Pani nieboszczka cierpiała bezsenność, bywało, do północy nie sypia... a tego dnia posyłała nas może dziesięć razy pytać, czy Harasiewicz powrócił. Gdy powiedziano, że jest na folwarku, kazała go prosić, jak dziś pamiętam...

Nierychło przyszedł, a jak to ona była zwykła zawsze do ludzi przema-1 wiać po anielsku: Moja duszko... cóżeś ty na jarmarku zrobił? możeś ty i uziął? niechby ci herbaty zrobili albo podali wódki... - Dziękuję - powiada Harasiewicz - zimno mi nie było, alem do domu wracając, biedy napytał. - No co? no co? - A lubiła, żeby jej opowiada-1 no.

- Ot, dziecko czyjeś' musiałem zabrać przez miłosierdzie i przynieść do domu. - Dziecko? czyje? - Wstyd powiedzieć, cygańskie, ale przecież tofl Chrystus sam powiedział, że i Cyganie ludzie, a serce mi się krajało.

Wojewodzina zaczęła mu to chwalić, i jak dziś pamiętam, opowiadał jej, że pośród jarmarku złapali Cygana, który był poszlakowany, że kradzionego konia sprzedawał. Była z nim żona obwinęta płachtą, straszna, czarna, która męża, krzycząc i broniąc, pachołkom wziąć nie dawała. Jak się uczepliła, puścić nie chciała, ani ją można było oderwać. Tam tedy, słyszę, jeden jak ją przez łeb palnął czymś, tak krwią zalana padła w ^miejscu. Ale że to Cyganka, niewielką tam ceremonię z tym robili... złodzieja pociągnęli pod wartę, a kobietę powłókl ktoś pod płot, i tak ją tam rzucili, gdzie pono w kilka godzin skonała... a miała przy sobie małą dziecinę, która przyczepiła się tak do trupa, że jej nie sposób było ode- | rwać... Nikt też się tam o to nie starał bardzo, bo Cyganów się Judzie bali. i Byłoby może dziecko tam z głodu zmarło, gdyby nie Harasiewicz tknięty litością, który widząc, że nikt bożego stworzenia nie ratuje, jakoś je sobie przywłaszczył, niemal siłą oderwał od trupa i obwinawszy, utuliwszy, z sobą przywiózł. Wojewodzina, jak była litos'ciwą, bardzo mu to pochwaliła, posłała do dziecka sługę, jedzenie, potem nazajutrz kazała je odziać, umyć i przynieść sobie pokazać. Ale to było coś takiego dzikiego jak zwierzątko, żółtoczarne, chude, włosy tłuste, ogromne... oczy straszne... a kwiczało, a nie dało się tknąć. No! kto by to był wówczas mógł odgadnąć, że wyrośnie na takie piękne stworzenie, przed którym ludzie na twarz padać będą.

Z początku, póki się to nie oswoiło, bieda była okrutna... ale Harasiewicz sam na rękach nosił, lubił dzieci... przyhołubił, przygłaskał. Wojewodzina kazała sobie czasem przyprowadzić i łakociami, zabawkami, 76

pieszczotami tak oswajała je z sobą. Odzywała się w dziecku dzikość, a no i roztropną być poczęła na podziw, a w końcu przywiązywać się coraz do wojewodziny tak, że dopóki była na folwarku, to zobaczywszy ją, jak piesek wybiegała, skakała przez płoty, przez rowy, aby się

do niej dostać. I tak sobie serce jej ujęła, że w końcu wojewodzina, choć wiedziała, że to takie było cygańskie dziecko, umówiła się z Harasiewiczem, który też je bardzo lubił, aby sierotkę zupełnie nieboszczce pani ustąpił. Jak tylko się dostała do dworu, poszło zaraz inaczej; zapomnieli wszyscy, czyje było dziecko, i poczęli ją pani i ludzie nazywać jejmością córeczką. Już to prawda - dodała Łowczanka, więcej mówiąc do siebie niż do słuchającego z nadzwyczajną ciekawością Alfreda, że nasza panna Lenora taka się stała miła, taka była zdolna i nad wiek swój rozumna, że wszystkim głowy pozawracała. Widząc to nieboszczka, pomyślała o wychowaniu, a Bóg widzi, że na nic nie żałowała, gdyby na królewskie dziecko...

- A tenże Cygan się nie zgłaszał? - zapytał po chwili cicho pan Alfred.

Panna Adalberta zamilkła, chciała mówić i widocznie wahała się, czyjej to powiedzieć wypadło... ale że się rozgadała, staruszka zapomniała snadź o przestrodze udzielonej i już się jej trudno było utrzymać.

- Tego, proszę pana, nikt nie wie, oprócz mnie... ale to tajemnica! - rzekła, zniżając głos i dodając - Julka, idź no zobacz, co się z kotem stało?

- Jestem bardzo ciekawy - dodał Alfred z uśmiechem zadowolenia.

- A lat pięć, gdy już dziewczynina i podrosła, i wszyscy się do niej przywiązali, aż tu jednego dnia jawi się w Muranowie Cygan okropny, czarny, zbój straszny, w jednej koszuli założonej, z kijem, pas tylko na brzuchu, jak dziś pamiętam, z konowalskimi jakimś narzędziami, naprzód na folwark, a potem koniecznie do wojewodziny. Jejmość mnie naprzód wysłała do niego, czego chce, i kazała mu jałmużnę dać. Stał w ganku, bo go do sieni puścić nie chcieli... wysłałam, pytam, a ten łamanym jakimś językiem, że go trudno było zrozumieć, powiada mi, że po dziecko przyszedł. Po jakie? nieprędko się dorozumiała, że po ową sierotę. Gdzie tu mu ją było oddać! Poleciałam jak oszalała do wojewodziny i powiadam jej, co się święci. Nieboszczka w płacz, dziecko wzięła na kolana i powiada, żeby nie wiem co chciał, dać mu, a Lenorki nie oddam za nic... Przywołaliśmy w pomoc z pola Harasiewicza; Cygan jak stał, tak stał; wyszliśmy do niego, ani się rozmówić poczciwie, ani mu wyperswadować. My jemu

77

mówimy, że dziecko już nawykło, że mu tu dobrze, on jakby nie rozumiał, swoje i swoje...

- Oddajcie mi moje dziecko... Zostało mi jedno po żonie... Zabili ml biedną moją, niech choć po niej dziecina mi zostanie. - Przysięgłabym była, że płakał, i łzy rękawem obcierał, ale może udawał, kto go wifl Dopiero Harasiewicz, nakarmiwszy, napoiwszy, do niego. - Nie dama dziecka. Wojewodzina ci zapomogę ofiaruje... da ci kuźnię we wsi, siedź, M do dziecka się nie mieszaj. - Ten swoje, że on nie sprzeda krwi własnej. Jak go zaczęli męczyć, to, owo, dopiero pod wieczór zmiękł; ale się uparł, żeby mu dziecko choć pokazać. Wojewodzina w strachu, żeby nie porwał i nie uciekł, a znów po bożemu i odmówić ojcu tego nie godziło się. HarasiewiczB wziął ją na ręce, kilku lokai stało na straży, ja przy niej, wynieśliśmy na ganek. Dziecko, spostrzegłszy Cygana, jakby zmartwiało, oczy czarne w niego wlepiło... patrzy... zbladło... Ten z płaczem zbliżył się i coś zagadał... a ona j w płacz... sobie... Stary aż na ziemię padł, taki go żal widać po żonie porwał. Scena, powiadam panu... Dziecko poczęło się rwać jak oszalałe ze f strachu... Cośmy my tam mieli! Odnieśli ją do wojewodziny i ledwie | nierychło odchuchali... Tymczasem Harasiewicz z Cyganem w umowę, i Kuźni za nic nie chciał, bo w miejscu, jak powiedział, nie usiedziałyby, żeby I mu złote góry dawali; dziesięć dukatów wziął, i zgodził się wiedząc, że córce dobrze, aby została w Muranowie. Ale to sobie warował, ażeby ją I każdym razem, kiedy przyjdzie, mógł widzieć.

- No, i więcej pewno się nie pokazał? - spytał Alfred.

- Ale zaś! - odparła panna Łowczanka - co roku regularnie się przy-wlekał. Jak dziecina podrosła, wojewodzina, choć ją za córkę przybrała, nie chciała przed nią taić, że to był jej ojciec, i nauczyła go szanować...

Ale nigdy długo z nią nie był, przyszedł, popatrzył, pogłaskał... czasem i słowa nie rzekłszy, porwał się jak szalony do powrotu.

- Więc panna Lenora wie o swym pochodzeniu.

- I wie, i nie wie! bo później, gdy się wojewodzina przekonała, że Cyganisko było nicpotem, łotr, zbój, złodziej, poczęła jej mówić, że to rzecz niepewna, że on się uparł, aby pieniądze brać... i wiarę w niej zachwiała. Jednakże później, ile razy się pokazał Cygan, wychodziła do niego, mówiła z nim, badała go.

- I dawno go już nie było? - mówił Alfred.

- Jeszcze na rok przed śmiercią pani nieboszczki przyszedł, przyniósł

78

dla panienki węgierski pasek muszelkami naszywany... gadał z nią długo, popłakał i znikł... Odtąd go już podobno widać nie było.

- Nie spytaliście też, jak on się nazywał? - spytał hrabia.

- A co, proszę hrabiego, może mieć Cygan za nazwisko? - odezwała się Łowczanka. - On sam jej dał imię swojej żony Zara... i to pannie Lenorze zostało... a jego, bodaj jak innych, wołali Dżęga...

Uśmiechnął się Alfred i szepnął:

- Panna Dżęzanka! czystej krwi cygańskiej! Ojciec rozbójnik... matka pod płotem zmarła... c'est charmant! a pani wojewodzina mi ją swatała. Ślicznego bym był miał teścia.

Porwał się z krzesła, aż Łowczankę przestraszył.

- Moja panno Łowczanko! - zawołał - i jakże wojewodzina mogła być tak zaślepioną, tak niepamiętną godności własnej i familii, aby pomyśleć nawet podobną istotę wprowadzić do domu i chcieć zaręczyć z siostrzeńcem... To chyba obłąkanie było.

Łowczanka, drżąc, patrzyła nań, posłyszawszy głos zmieniony; teraz dopiero jej na myśl przyszło, że się z wielu rzeczami wcale niepotrzebnie wydać musiała, załamała ręce drżące.

- A! panie - zawołała - cóż winna wojewodzina! To dziecko cudowne! Sam pan widziałeś, jak wyrosła, co się z nią stało, jak jest piękna, miła i dobra. Cóż krew znaczy czarna i płęć odmienna, gdy dusza wybieleje... A tej duszy nic zarzucić nie można... Któż by tam wiedział o Cyganie... Gdy się kogo kocha, jak my ją wszyscy, na myśl nie przychodzi, czyje to dziecko, bo go serce za swoje przybrało...

- A tak! tak! wszystko to bardzo ślicznie - dodał Alfred - ale mnie jednak Bóg strzegł od tej koligacji... Domyślałem się, przeczuwałem zawsze, że tam coś takiego jest, nadto się wojewodzina tała... a w ostatku już była nie przy zdrowych zmysłach...

Panna Łowczanka zmęczona patrzyła, słuchała, w uszach jej tętniło, zaczęła kaszleć, rozplakała się, zawołała Basi, a hrabia się wysunął.

Jadąc do dworu, który teraz pałacem nazywać kazano, świstał wesoło i już był na pół drogi do niego, gdy mu coś na myśl snadź przyszło, zwrócił się do domu Łowczanki...

Zastał ją przy filiżance rumianku z szafarem, który zawsze dla uspokojenia pijała z porady księdza kwestarza. Staruszka rozlała szacowny płyn na kolana, zobaczywszy powracającego gościa.

- Jeszcze słówko, moja panno Łowczanko - rzekł, stojąc przed nią. -Przypomnijcie no sobie dobrze... bo tu i o was chodzi... Co się stało z

79

naszymi klejnotami familijnymi? My wiemy z inwentarza, co wojewo-dzina wzięła, ani śladu gdzie się to podziało, szczególnie ów kanak... f Stara patrzyła w niego jak w tęczę, usiłując zrozumieć... drżała.

- Ale ja o niczym nie wiem, na krzyżu przysięg gotowam!

- Pani przy niej byłaś od młodości? to nie może być! Nie życzę nic taić przed nami... Juźciż tak kosztowne rzeczy nie mogą zniknąć bez śladu. Panna Łowczanka sama powiadasz, iż miałaś klucze od precjozów! kasy.

- Ale, mój dobrodzieju! Nieboszczka mi się nie spowiadała, co z klejnotami robiła.
- Jest silne podejrzenie, iż po śmierci jej... któż wie? skradzione być mogły - dodał Alfred. Staruszka poczęła się trząść cała.

- Skłonności są we krwi! cóż by dziwnego było, żeby córeczka szubie-nicznika wstąpiła w ślady ojca! Słabość wojewodziny mogła ją uzuch walić, mogła to uważać za swoje... Kończył mówić, gdy spostrzegł, że Basia podtrzymywała już omdlałą staruszkę, która padła na poduszki fotelu blada i jakby bez życia.

Alfred zląkł się i sam zawołał o ratunek... przybiegła druga służąca, przyniesiono wody i spirytusu... panna Łowczanka otworzyła oczy jakby obłąkane, ale już ją o nic pytać nie było podobna, hrabia wyszedł.

Instrukcja, dana przez matkę, nakazywała Alfredowi jak najściślejsze poszukiwanie zatraconych precjozów, a przynajmniej ich śladu. Myślą było zacnej matrony, jeśli tylko najmniejsze się okaże podobieństwo, wytoczyć formalny proces kryminalny Lenorze o nadużycie zaufania i podchwycenie tajemne owych drogocennych brylantów. Czyby on się powiódł, czy nie, zawsze plama i podejrzenie padłyby na znieawidzoną... poszedłby rozgłos o sprawie i sierota, której rodowód rozgłaszano, straciłaby możliwość ukazywania się na świecie, musiałaby się gdzieś ukryć, uciekać, a hrabina odniosłaby tryumf świetny, usprawiedliwiając się z postępowania swojego z nią, aż nadto pobłażliwego.

Plan ten zręcznie był osnutym, a pan Alfred wziął go mocno do serca i w zręcznej rozmowie z Łowczanką już do ziszczenia go cenne pozyskał materiały. Szło teraz tylko o wynalezienie jakichkolwiek śladów piśmiennych lub materialnych owego uronienia kanaku.

Powróciwszy więc z indagacji, zajął się pan Alfred najściślejszą rewizją pozostałości po wojewodzynie, która zawsze na wsi papiery swoje i droższe rzeczy trzymała. W intercyzie, gdy szła za mąż po raz pierwszy, klejnoty

80

owe były wyraźnie wymienione. Przy drugim zamążpójściu intercyzy już nie spisywano wcale, znalazły się wszakże inwentarze, a w nich wzmianka o rodzinnych owych klejnotach... Co się z nimi później stało, najmniejszego nie widać było już śladu. Wszystkie biurka, szafy, kryjówki, szkatułki przetrząsał Alfred i nie znalazł nic. Nie kontentując się tym, poszedł jeszcze do pokojów zajmowanych przez Lenorę i tam znów poszukiwanie czynił najściślejsze. Już był przetrząsał wszystko i miał odejść zniechęcony, gdy pod szafką zobaczył kilka zasuniętych głęboko safianowych pudełek... Kazał je natychmiast dobyć przy świadkach...

Pudła te, widocznie starożytne, rozmaitej formy, dosyć dziwaczne, zamykane na haczyki, nosiły wewnątrz bardzo wyraźne odciski niegdyś w nich długo na aksamitnych podkładkach leżących klejnotów... Żadnego z nich tu już nie było, ale kształty ich dobitnie zachował ściśnięty aksamit. Alfred mógł się przekonać, iż trafił mu w ręce najpożądanyszy z dowodów winy... której on sam z trudnością mógł uwierzyć. Ale futerały te znalazły się w mieszkaniu panny Lenory; służdy, pytani o nie, nie umieli objaśnić, co by one znaczyły... dlaczego się tu znajdowały... Opis pierwszej intercyzy zgadzał się doskonale z odciskiem kanaka owego na największym z pudełek.

Alfred sam się zmieszał tym odkryciem, chociaż go pożywał; w duszy nie mógł przypuścić winy, choć potakiwał matce... znał dosyć Lenorę, by być pewnym niemal, iż ona sobie przywłaszczyć tych precjozów nie mogła... a jednak!

Natychmiast wezwano z miasteczka urzędnika i tegoż wieczoru spisano protokół... Ludzie, którzy zrazu nie rozumieli nic i nie domyślali się, do czego to wszystko służyć może, później przestraszeni, wahali się z poświadczeniem, ale wezwani do przysięgi, ulec musieli.

Jeden tylko kamerdyner Franciszek, nadszedłszy później, do zeznań innych dołożył swoje, natarczywie się dopraszając, aby je zapisano, i zeznał, że pudełka te widział nieraz próżne od

bardzo dawna, że wojewo-dzina dawała je do zabawy panience, gdy ta jeszcze była mała... i że nikt nie pamiętał, aby się co w nich znajdowało...

Zeznanie to razem z innymi musiało być zapisane, a ono jedno tylko uniewinniać się zdawało nieszczęśliwą sierotę. Badany Franciszek o same klejnoty, czyby ich gdzie nie widział lub nie słyszał, co się z nimi stało, nie umiał nic powiedzieć. Przetrzęsiono na nowo papiery, ale w tych nic a nic nie znaleziono... Rejestra dochodów od lat wielu wskazywały wydatki i

4 - Czarna Perełka

81

sumy z różnych wpływające źródeł, nigdzie jednak tak znacznego kapitału, jaki by ze sprzedaży klejnotów mógł pochodzić.

Nazajutrz pan Alfred, zabrawszy corpus delicti, papiery... kilku ludzi, którzy mu jako świadkowie mogli być potrzebni, natychmiast odjechał nazad do Warszawy. We dworze popłoch, przestach, żal, narzekania powstały ogromne; ludzie płakali i obwiniali jedni drugich. Szczególnie też zarzucano dziecinniej pannie Łowczance, iż musiała niestworzone popleść rzeczy. Ona sama poczuwała się w części do tego grzechu, płakała, zachorowała i trzeciego dnia potrzeba było posłać po doktora, gdyż słabość przybrała charakter groźny. Gdy doktor wezwań z miasteczka przyjechał, Łowczanka już się na śmierć dysponowała... Uprzedził go ksiądz... Staruszka dogorywała... ratunku nie było. Umysł jej zbyt silnie wstrząsł ciałem osłabłym, które uderzenia nie wytrzymało...

Nim hrabia Alfred dojechał do Warszawy, Łowczankę wyniesiono na parafialny cmentarz. Można sobie łatwo wystawić, jak pożądanym gościem dla hrabiny był syn, przybywający z tak ważnymi łupy, z nadzieją zemsty i tryumfu. Natychmiast posłano po prawnika, nie chcąc lekko poczynać, t odbyto naradę. Możliwość procesu była oczywistą, a w każdym razie jeśliby nie przyniósł owoców poświadczonych, to jest odzyskania straty, przynajmniej na pewno mógł udręczyć i niepospolitej narobić wrzawy.

Skutkiem konsultacji było, iż wypracowane zaskarżenie o przywłaszczenie klejnotów po wojewodzinie przez jej wychowanicę Lenorę podano do urzędu.

Wychowanica była Cyganką i córką złodzieja.

OBB

82

dość osobliwych figur umundurowanych... skłonił się z niechcenia i rzekł:

- Panna Lenora Zara... wychowanica śp. wojewodziny?

- Ja jestem...

Spojrzał przybyły, postać obwinionej tak była poważna i spokojna, że się na chwilę zawahał. Ale odbywanie ciągłych przykrych obowiązków oswaja z nimi i ściera z serca litość, a odzwyczajają od grzeczności.

- Pani jesteś oskarżoną o potajemne przywłaszczenie sobie szacownych klejnotów po śp. opiekunce. Są pewne poszlaki, iż się one mogły w jej rękach znajdować. Jestem wydelegowany do odbycia jak najściślej rewizji i indagacji...

Słowa te gromem zrazu zaszumiały w uszach sieroty, krew uderzyła jej do głowy; końca już nie dosłyszała... rozumiała jedno tylko, że ona była obwiniona o złodziejstwo. Ten cios, zamiast ją przybić, oburzył i podniósł uczucie chłodnej pogardy... pomiarkowała, że gniew i protestacja pogorszyłyby położenie i objawiły, słabość... Nie odpowiedziała zrazu nic... Przybyły, widząc, że zdaje się nie rozumieć, o co chodzi, powtórzył dosłownie, z czym przyszedł.

Skinęła mu ręką, wskazując pokoje oba i drżąc, oddała klucze... A że uderzenie to nadto ją silnie wzruszyło, cofnęła się o kilka kroków do krzesła, siadła, w rękach ukryła twarz i zapłakała cicho.

Ta rezygnacja chłodna, panująca nad sobą, tak dla urzędnika w okularach była rzeczą niezwykłą, tak był nawykł do protestacji niewinności, do łez i gadatliwości, iż fenomen ten psychologiczny niezmiernie go zdumiał i na próżno sobie łamał głowę, czy on oznaczać mógł niewinność, czy stanowić dowód przeciw obwinionej.

Postawiono straż przy drzwiach... Z wolna rozpoczęło się przetrząsanie rzeczy drobnotkanych i zabieranie papierów. Otwarto komódkę, kufry, szafkę, rozrzucono suknie, bieliznę, posuwając dokładność aż do śmieszności i nadużycia. W jednym pudełku znaleziono razem wszystkie pamiętki kosztowne, darowane przez wojewodzinę, których była liczba znaczna dosyć wysokiej wartości; te urzędnik przy obwinionej opieczętował. Zabrano także papiery wszystkie...

W ciągu tego przetrząsania Lenora siedziała przybita, czując, że wymierzony cios, choćby celu nie dopiął, miał na nią rzucić niezmaszaną plamę. Mógłże kto ująć się za nią? Do godziny dziesiątej trwała umyślnie jakby przedłużona rewizja, o której cały dom już wiedział. Policja nie wpuszczała nikogo... krążyły domysły najosobliwsze. Około dziesiątej wywo-

83

łano urzędnika. Był to doktor, który wypadkiem nadszedł, i oburzony chciał się dostać do Lenory, aby jej przynieść słowo pociechy, zaręczyć, że bądź co bądź, przyjaciele jej nie opuszczą. Ale urzędnik, jakkolwiek dobrze znany doktorowi, tłumacząc się obowiązkami swoimi, odmówił mu wejścia. Był to jeden z tych ludzi słodkich przy okrucieństwie, którzy dobijają ofiarę, kłaniając się i przeprasząc...

- Słuchaj, panie Welker - rzekł mu w końcu doktor zniecierpliwiony * zdaje mi się, że mnie posądzać trudno o skradzenie czegokolwiek bądź lub współnictwo takiego czynu, nie możesz więc się obawiać mnie wpuścić. Znam stan zdrowia tej nieszczęśliwej i niewinnej istoty, chcę ją widzieć jako doktor, nie puszczasz mnie, składając się obowiązkami - dobrze. Muszę ci jednak to powiedzieć, że jeśli mnie jako lekarza potrzebować będziesz kiedykolwiek, możesz nie posyłać po mnie, bo nie przyjdę. Wcześniej sobie zamów innego.

- Ale, konsyliarzu kochany, to sprawa kryminalna!

- Jak sobie chcesz... istotnie kryminalna, bo posądzeniem osoby szlachetnej i najoczywistej niewinnej popełniacie kryminal.

- Cóż ja winien? - składając ręce, zawołał urzędnik.

- Waćpan nic... bądź zdrów...

- No, chcesz waćpan na pięć minut - zawołał przestraszony indagator - to chodź, powiem, że zasłała i żem ciebie wezwał z urzędu.

Doktor wszedł szybko, podążył do krzesła Lenory, ujął jej rękę i rzekł półgłosem: „Bądź pani spokojną! jest to zbrodnia... ale ona nie ujdzie bezkarnie. Cokolwiek się stanie, zaklinam: chłodno i z rezygnacją... przyjaciele nie zapomną o was...” - Domawiał tych wyrazów, a sędzia już go oczyma wypędzał. Rewizja była skończoną... miano na miejscu rozpocząć indagację i protokół.

Odprowadziwszy doktora do drzwi, urzędnik miał pospiesznie powrócić, gdy ten go w progu zatrzymał.

- Cóż po protokóle będzie?

- Zdaje się, że obwiniona będzie uwięziona - zimno rzekł okularowy - jeśli tu nie ma żadnych poszlak, to jeszcze niczego nie dowodzi, znaleziono je w Muranowie, więzienie jest nieuchronnym.

Doktor pobladał, nie odpowiedział nic, spojrzął na biedną Lenorę, która już, nabrawszy męstwa, siedziała blada, spokojniejsza nieco, i wyszedł.

Nie będziemy, obyczajem nowych powieściopisarzy, dosłownie powtarzali całego badania, ani spisujących do protokołu zeznań obwinionej, które ostatecznie nie mogły doprowadzić do żadnego rezultatu, bo ani

84

badający, ani badana nie mieli żadnej postawy, na której by oskarżenie lub obrona oprzeć się były mogły.

Lenora słyszała wprawdzie o klejnotach rodzinnych, ale ich nie widziała nigdy i nie wiedziała, co się z nimi stało; nie domyślała się nawet, że owe pudełka, którymi bawiła się w dzieciństwie, znalezione pod szafą, mogły niegdyś owe drogie kanaki w sobie zamykać. Wojewodzina o nich nie wspominała nigdy. Te podarki, które u niej zabrano i opieczętowano, darowane jej były w różnych czasach na imieniny, w dzień Nowego Roku przez nieboszczkę. Do niektórych z nich przyłączone były jeszcze zachowane szczęśliwie karteczki, jako dowody pochodzenia i drogie pamią-

ki. Głosem spokojnym, chłodno na wszystkie pytania bez namysłu dawała odpowiedzi. Tak samo przyznała, iż pochodzenie jej było wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo upokarzające, ale się go zapierać nie myślała. Czy Cygan Dżęga był jej ojcem, lub się tylko wpierał w ojcostwo dla uzyskania czegoś, Lenora nie była pewną. Tajemnicy wszakże z jego odwiedzin w Muranowie nie czyniła. Sędzia dziwił się jasności, dokładności objaśnień, spokojowi obwinionej; znajdował wszakże, iż jakkolwiek dowodów winy wyraźnych nie było, moralne podejrzenia istniały. A że życzenie hrabiów zawsze silniej ważyło na szali sprawiedliwości niż niewinność Cyganki, nie było powodu, aby jej nie wziąć do więzienia, póki by inni świadkowie przesłuchani nie byli.

Gdy protokół został podpisany, sędzia z pewnym współczuciem objawił Lenorze, iż choćby chciał tej nieprzyjemności uniknąć, zmuszonym jest aresztować ją i do więzienia odesłać, zapewniając z tą słodyczą, jemu podobnym istotom właściwą, iż więzienie nie jest tak straszne, jakby się zdawało... że ono nie hańbi itp.

Lenorze wszystko to zdało się snem jakimś bolesnym, słuchała i znów zrozumieć nie mogła... przynaglona ubrała się machinalnie, osłupiała, chwiejąc się na nogach, bezprzytomna zbliżała się ku drzwiom.

Tu stali policjanci, którzy jej towarzyszyć mieli, dalej tłum sług i mieszkańców pałacu wypełniał korytarz... cisnęli się wszyscy, aby zobaczyć ową piękną złodziejkę... podziwienie, ciekawość, oburzenie było niezmiernie... Sto oczów zewsząd znalazła skierowanych na siebie... zrobiło jej się słabo... zdało się, że umrze i potrzebowała całej siły ducha, aby móc zejść po schodach... Z góry, z dołu, mimo straży, widać było głowy ciekawych i słychać było szept nieżyczliwych, półuśmiechki złośliwe... Taką drogą krzyżową, ze śmiercią w piersi zeszała z wolna do stojącej w

85

5 - Czarna Perełka

ulicy dorożki. Powóz dokoła był otoczony ludźmi gwarzącymi ciekawie, niespokojnie, nielitościwie... Wśród twarzy obojętnych i nie znanych Lenora dostrzegła także znajomych: bladą z wściekłości twarz Zbigniewa, który się wspinał na palcach, aby na nią spojrzeć... spokojną doktora, który się wstrzymał, chcąc widzieć, jak ona to zniesie... Zdawało jej się nawet, że w pewnym oddaleniu przesunęło się nienawistne oblicze Alfreda... który jakby naumyślnie wychylał się z powozu. Policjanci rozpedzali... dwóch ich siadło do zamkniętej dorożki i powozik poleciał po brut ku.

Do więzienia! do więzienia! - brzmiało w uszach Lenory - do więzienia oskarżona o złodziejstwo. Wszystko to, co się względem niej dokonało,! zdawało się spełnionym z umyślnym, wyrafinowanym okrucieństwem; dobijano ją, aby się nigdy podnieść, nigdy w świecie pokazać nil mogła.

Hrabina tego dnia tak była wzruszoną dokonaniem czynem, iż mimo swej tuszy, musiała się, wachlując, przechadzać po pokoju, czekając na Alfreda. Syn nadjechał milczący i zamyślony.

- A co? aresztowano ją?

- Aresztowano...

- Znaleźli co u niej?

- O ile wiem, tak jak nic.

- Spodziewam się, że na ten raz skończyliśmy z intrygantką - dodała pani - głowy już nie podniesie. Nie będzie dowodów, puszcza ją, ale podejrzenie pozostanie... pokazać się nigdzie nie będzie mogła, nikt jej salonu nie otworzy, i ta piekielnica Laura zostanie napiętnowana jako przyjaciółka Cyganki, córki złodzieja i złodziejki.

Alfred stał milczący, zabierając się do zapalenia cygara; matka z nieu-kontentowaniem widziała, iż nie podzielał jej świetnych nadziei i zdawał się zafrasowanym.

- No cóż ty nic nie mówisz? - zapytała.

- Spełniona wola mamy - rzekł Alfred - ale ja, przyznaję się, nie jestem zadowolony z tego wszystkiego... Ona zabita... to prawda, my też sobie przyjaciół nie pozyskamy.

- Mniejsza o tych tam przyjaciół! zemszczę się... A, proszę cię! ty ich nie znasz; dam bal, wieczór, obiad, wszyscy przyjdą... Jesteśmy bogaci! za pół roku ci, co na nas krzyczą, będą się łasil, żeby ich wpuściła do domu.

Syn nie zdawał się zupełnie o tym przekonany.

86

- Żebyś mi tylko nie zapomniał pojechać na Świętojerską i poprosić redakcję, żeby bez wymienienia imion, jako ciekawą sprawę sądową, historię Lenory wydrukowali. Poprosić tych panów w „Kurierku”, żeby artykuł powtórzyli. Niewiarowskiemu dać butelek parę szampańskiego, to on ci to napisze...

Alfredek głową dał znak, że słucha.

- To koniecznie potrzebne - dodała hrabina - proszę, aby to było zrobione... Na to przeznaczam sto rubli...

Wsunęła papierek synowi, który go schował do kamizelki obojętnie.

- Już tylko mnie słuchaj w tej sprawie, a ja ją poprowadzę, jak należy...

- A jeśli sprawa się niedobrze skończy? - spytał Alfred.

- Jakież ty jesteś... tchórz! - zawołała Pyza, stając czerwona naprzeciw niego. - Czyż ona może się źle skończyć? Ona już jest skończona.

Alfred zamilkł.

Pani Laura ubierała się, mając wyjść z domu, gdy nie oznajmując się nawet, wszedł do niej doktor... Jedno wejrzenie nań dawało się domyślać, że przychodził z czymś ważnym i bolesnym, tak że uśmiech, który się już na ustach gospodyni wykluwał, zamarł w powiciu.

- Nie mam czasu - zawołał stary - przychodzę tylko powiedzieć pani o nieszczęściu, jakie pannę Lenorę dotknęło. Hrabina podała zaskarżenie, iż podejrzewa ją o kradzież rodzinnych klejnotów i ma pewne dowody moralne... zesłano rewizję i - oskarżoną zawieziono do więzienia...

Laura stała z załamanymi rękami, nie mając siły odpowiedzieć.

- Byłem nieraz świadkiem scen okropnych, męczarni fizycznych, śmierci bolesnej, walki ostatnich sił żywota z niszczącymi siły przeznaczenia, ale nie pamiętam - odezwał się doktor - abym co straszniej, okrutniej bolesnego w życiu widział nad ten czyn brutalnej zemsty.

Jestem przekonany, iż ani hrabina, ani syn jej nie wierzą w to, o co ją obwiniają-

- Ale co począć! Co począć! czyż ją pod tym ciosem rzucić! czy ją opuścić, nie przyjść jej w pomoc? A! doktorze, ty radź...

- Ja zrobię, co okoliczności dozwolą, pani w społeczeństwie podnieś krzyk oburzenia! Nie wahaj się stawać w obronie.

- Oskarżona o złodziejstwo, córka Cygana! - mruzczała Laura. - Wys-

87

tawże sobie, konsyliarzu, jak ludzie, radzi głupiemu skandalowi, cieszy się będą z tego!

- Wpływ pani powinien to uczucie zmienić w oburzenie - dodał gorąco lekarz. - Ja użyję moich znajomości, stosunków, powagi, aby co najrychle dopomóc sierocie... pani i jej, i siebie

powinna bronić, boś jej okazywali współczucie. Pani możesz wiele i spodziewam się, że wiele uczynisz... Na te słowa hałas, dochodzący z przedpokoju, coś jakby sprzeczka z służą i domaganie się wpuszczenia... przyszły, doprowadzając niecierpliwą wość gospodyni do najwyższego stopnia.

Po chwili sprzeczki drzwi gwałtownie odparto i wpadł blady, z rozrzucenymi włosami młodzieniec nieznajomy, który nie zważając na grożące lokaja, z oznakami niepokoju oszalałego, przyszedł do pani Laury.

- Pani! - zawołał - przychodzę cię w imieniu najokropniej uciśniona niewinności błagać o ratunek! Panna Lenora, ten anioł dobroci... ta istota najczystsza... przed chwilą z okrucieństwem bezlitosnym porwana została! do więzienia. Panna Lenora Zara! Pani ją znasz! Wychowanka wojewol dziny. Ten anioł! O! mój Boże! kto mógł się takiego dopuścić występku... to ją zabije...

- Uspokójże się, panie Zbigniewie - przerwał doktor.

- Znasz tego pana? - spytała Laura.

- Pani, ja i moja matka jej winniśmy wszystko... to była dobrodziejka! nasza... jej serce! A, pani - dodał ze wzruszeniem obłąkanym - ja nie wiem! ja gotów jestem... sam siebie obwinie o nie wiem jaką zbrodnię, przyjąć na siebie winę, pójść i głowę dać za nią... byle ją uwolnić!

- Cicho, cierpliwości - rzekł doktor - napij się wody, zacny panie, Zbigniewie, zapal ten z wdzięczności pochodzący przynosi panu zaszczyt, I ale przypuść, żebyś mnie tu nie zastał, żeby ta pani nie wiedziała, kto i jesteś, co by o tobie pomyślała?

- O mnie! - zawołał Zbigniew - alboż tu idzie o mnie? Niech ja zginę, I byle ona ocaloną była! Ale o cóż ją oskarżyć mogli!

Gospodyni domu, słuchając tego wybuchu, patrzyła z zajęciem na chłopaka wybladłego, zbiedzonego, obudzającego litość swą postacią znędźniałą i ubogim ubraniem, a tyle mającego w duszy ognia i uczciwego zapachu.

Nie można się było omylić, że przez niego mówiła więcej niż wdzięczność, że w głosie, w wejrzeniu była miłość zapamiętała, ognista, młodzień- i cza... Dla takiego uczucia, któraż by z niewiast nie okazała najwyższej J

sympatii? Pani Laura spojrzała nań czule, sama podała mu wody, od której odskoczył zdziwiony, i odezwała się.

- Ale uspokójże się waćpan... zrobimy, co jest w ludzkich siłach, aby tę niecną intrygę wyjaśnić... i nieszczęśliwą ofiarę uwolnić.

Zbigniew począł ręce całować pani Laury, potem ramiona i kolana doktora.

- A! państwo jej, jak ja, nie znacie, nie widzieliście jej inaczej, jak w salonie artystką genialną, świetnym zjawiskiem... ją widziałem u łóżka chorych, siostrą miłosierdzia, opiekunką wieśniaków, matką sierot, służą tych, co ich nie mają... ją widziałem anielską... świętą!

Laura się uśmiechnęła.

- I zobaczysz ją pan tryumfującą nad potwarzą. Na pomstę takich czynów jest Bóg, on nie dopuści zwycięstwa złym... Idź pan spokojny...

- Spokojny? - podchwycił Zbigniew - mogę ja mieć chwilę spokoju, wiedząc, że ona jest w więzieniu!

Zakrył sobie twarz rękami...

Doktor w tej chwili wstał i ujął go za ramię. - Chodź pan ze mną - rzekł - nie przeszkadzajmy pani, która potrzebne środki przedsięwzięmie...

I prawie gwałtem wyprowadził go z salonu. Ledwie się drzwi za nimi zamknęły, pani Laura poczyniała się ubierać, blada i gniewna, gdy lokaj oznajmił wizytę. Chciała jej nie przyjąć, ale ją uderzyło nazwisko lorda... owego młodzieńca, który od pierwszego wieczoru nie

przestał największej sympatii okazywać dla Lenory. Pomyślała, iż jego wpływ i dobrą wolę zużytkować może.

- Prosić - rzekła.

Lord wszedł jak zawsze sztywny, chłodny, nie okazując najmniejszego wzruszenia...

przywitał się, usiadł na wskazanym krześle, spojrzął na zegarek,

- Pani się wybiera?

- Nie, nie, nie myślałam wyjść z domu.

- Ja właściwie - rzekł powoli lord - nie przyszedłem z wizytą, ale prawie z interesem. Czy nie mogłaby pani, u której miałem przyjemność po raz pierwszy widzieć pannę Lenorę Zarę, wytłumaczyć mi, co się przed kilku godzinami u niej stało. Plotą mi takie banialuki...

Laura przysunęła się do lorda. Jakkolwiek nawykłą była trzpiotać się, spieszyć, paplać, uczuła wpływ tego temperamentu zimnego na pozór, powolnego, rozważnego i... zmusiła się do poskromienia swej żywości... Zaczęła mówić z wolna.

89

- Jest to historia, o której dopiero się przed chwilą dowiedziałam... całą mnie drżącą od gniewu i oburzenia hrabia znalazłeś. - Słyszałeś pewnie, iż nieboszczka wojewodzina kochała tak swą wychowankę, iż z nią sio-, strzeńca ożenić chciała... Wychowała ją, jak hrabia widziałeś...

Ale po śmierci wojewodziny pani hrabina (przepraszam, że ją tak nazywam) i jej syn postanowili pomścić się na sierocie za okazywane dla niej przywiązanie... Wypchnięto ją z domu... zaprzeczono zapisu... odarto z własności, na ostatek, gdy to nie pomogło, aby ją oddalić i zmusić do skrycia się gdzieś... oskarżono o... kradzież rodzinnych klejnotów... które w sposób niewiadomy znikły.

- O kradzież! - zawołał, drgnąwszy lord, któremu brwi się namarszczyły. I - Ją, o kradzież! to infamia! to zbrodnia... To - przepraszam panią - to j chyba fałszywe doniesienia...

- Tak jest, niestety-dodała Laura-proszę mieć na względzie, iż ona jest i prawdopodobnie córką Cygana... i że ten zarzut staje się niejako pocho- \ dzeniem uprawdopodobniony...

- Ale dość jest mówić z nią pół kwadransa... dość na nią spojrzeć, aby taką potwarzą być oburzonym.

Lord się zamyślił głęboko...

- Rachuba niecna... okrutna, ale głęboka - dodała Laura - nie dowiodą rzeczy niemożliwej, ale plama zostanie. Sierocie, córce cygańskiej, wię- 1 zienie wypiętnuje na czole stygmat niezmazany... O to im idzie...

- Przepraszam panią, ja myślę, że stygmat odbije się na "czołach niegodziwych prześladowców - rzekł lord, okazując więcej współczucia, niżby się po jego charakterze można było spodziewać.

- Co pani myślisz począć? - zapytał po przestanku - bo nie wątpię, że nie pozostawisz jej bez obrony?

- Radź mi, hrabio, jeżeli jej życzysz dobrze... radź, proszę... Lord zamyślił się ponuro.

- Gdyby to było w Anglii - rzekł - potrafiłbym może coś na to... Dostyc by było kaucji do uwolnienia... tuja nic nie rozumiem. - Pierwszą jednak rzeczą jest, by co najprędzej uwonioną została. Miarkujesz pani, jaki na wrażliwym umyśle tej istoty wywrze skutek... więzienie... obejście się z nią bez czucia... ze strony ludzi, nawykłych do pospolitych zbrodniarzy... Któż wie, może towarzystwo najohydniejszych przestępców i najrozpusz-niejszej hałastry...

Hrabia się wzdrygnął.

90

- A! - rzekł z cicha - są jeszcze tragedie żywe, tak prawie straszne ironią losu, jak Szekspirowskie.

I podał rękę pani Laurze.

- Jeśli ja mogę być w czym użytecznym pani - odezwał się uroczyście - proszę mną rozporządzać. Czuję się w obowiązku dla osoby, która mnie prawdziwym natchnęła szacunkiem, okazać go czynem, i nie cofnę się od żadnej ofiary.

- Panie hrabio - odpowiedziała Laura - z waszej strony dosyć będzie nietajonego oburzenia, aby podziałało skutecznie. Opinia u nas zawsze jest na rozkazy ludzi, jak wy znanych z charakteru niezależnego... Dosyć będzie głośno wypowiedzianego przekonania, aby ona poszła za nami... a bądź co bądź, jeśli ogół potępi ten krok, ci, co go uczynili, będą zmuszeni się wycofać...

Lord skłonił się w milczeniu...

- Żegnam panią; proszę mnie liczyć do rzędu jej pełnych szacunku przyjaciół.

Izdebka, którą tymczasowo przeznaczono dla Lenory, była ciemną, wilgotną, zatechłą i podobną do wszystkich swych sióstr więziennych w kraju, w których po staremu więzień już przez to, że został przytrzymanym, wydaje się winowajcą i począwszy od pierwszej chwili aresztowania, jest karany, choć nie przekonany o istotę czynu...

Lenora znalazła się w niej, przejechawszy nieprzytomnie ulice Warszawy, sama nie wiedząc, jak ją do niej wepchnięto. Chrząst ryglów, które za nią spuszczano, obudził ją z odrętwienia... Obejrzała się... Choć biały dzień był jeszcze i rano, przez zapyłone szyby niewielkiego okna, na pół zabitego deskami, mało się przeciskało światła. We framudze pod nim, maleńki brudny stoliczek, tapczan z desek, niczym nie okryty, jeden stołek prosty, piec polepiony świeżo... ubierały stosownie tę celę... grobową.

W powietrzu brak było tego, co życie daje, oddychając nim, czuło się, że ono zabija, nie karmi... Woń trupa i mdła, i wilgotna, zmieszana z tysiącami wycieków murów i ludzi, pleśni, wilgoci, w zamknięciu szczelnym stała się jakąś atmosferą zabijającą. Chłód przenikliwy dał się raz pierwszy uczuć dziewczęciu, które po rozgorączkowaniu rannym uczuło dreszcze, przebiegające jak zwiastuny choroby... Chciała płakać i nie mogła; zdało się jej, jakby coś łzy trzymało wez-

91

brane... usiadła na twardym tapczaniku, podparła się o stół chwiejący i tak pozostała, zobojętniała na wszystko... Pragnęła umrzeć... ale w cierpieniu pragnienie to jest znakiem, że życia ma człowiek wiele... pomyślała, że mogłaby się może głodem zamorzyć... potem, jakby na urągowisko, przyszła jej na pamięć kochana matka przybrana, która ją tak pieściła, dnie wesela... szczęścia... pieśni, swobody, młodości.

Szukała w duchu, czym by zawiniła, że ją Bóg karał tak srodze: nie mogła zrozumieć cierpienia bez winy; odpowiedziała sobie - iż w Piśmie stoi słowo niezmasowane o cierpieniu dzieci za ojców winy do pokoleń wielu... -Jestem dzieckiem wyklętego plemienia, może ojca winowajcy? Bóg chce ekspiacji, i poddać się jej potrzeba. Ale dłączegóż ranek życia tak mi się wdzięcznie uśmiechał? Któż zrozumie swe przeznaczenie??

Dreszcze zaczęły się zwiększać... otuliła się chustką...jakiś półsen nią owładnął... Iza precisnęła się przez powieki powoli, a za nią popłynęły strumienie długo tłumione...Oparła się o mur... straciła przytomność i ciemności, wśród których jakieś niewyraźne snuły się kształty... szumiały głosy... otoczyły ją dokoła.

Z równym oburzeniem temu, które wywołała wiadomość o uwięzieniu Lenory, przyjęto artykuł gazety, opisujący złośliwie przygody zagadkowej istoty, podrzutka „przez znakomitą damę, a na umyśle skutkiem lat podeszłych osłabioną”, przybranego niemal za dziecko, zespsutego pieścotami itd... Nadesłany ten artykuł, z komentarzami różnymi rozchodząc się po mieście i po prowincji, obudzał ciekawość, jak każda sprawa taje-micza. Opowiadano sobie obok tego, co on mieścił, szczegóły pochwycone nie^ wiedzieć skąd, a raczej zmyślone po prostu. Kamerdyner Franciszek z Muranowa, wezwany do Warszawy, odprawiony potem

na powrót na wieś, gdyż służby u hrabiny przyjąć nie chciał, powiózł go tam, gdzie wspomnienie Lenory żywe jeszcze obudzało szacunek dla niej i wdzięczność. Franciszek chodził z tym numerem, czytał go i płakał...

Drugiego dnia po przybyciu jego, gdy się wieść o uwięzieniu rozeszła... chłopak przybiegł od księdza proboszcza, wzywając go, aby się koniecznie pofatygował natychmiast i przyniósł z sobą ową warszawską gazetę.

Franciszek pośpieszył na wezwanie i zastał proboszcza niespokojnie przechadzającego się po pokoju plebanii.-Był to mąż lat niepodeszłych jeszcze, w sile wieku, energiczny, małomówny, ale znany z prawości

92

charakteru. Za życia wojewodziny codzienny gość we dworze, zyskał był przyjaźń i zaufanie, od jej śmierci czuł się tak osierocony jak inni...

- Mój panie Franciszku - począł spiesznie występując naprzeciw niego, jakby mu pilno było niezmiernie coś się od niego dowiedzieć - mówże mi, co się tam stało! Uszom nie wierzę!

Czyż może być, aby pannę Lenorę aresztowano...

- A! księżu proboszczu, najprawdziwsza prawda... Choć to rodzona siostra tej świętej naszej pani, ale... a? niech jej Bóg przebaczy...

- Za co? Za co aresztowano? - podchwycił proboszcz...

- Któż to zrozumie? Mówią o jakichś klejnotach familijnych, które bez wieści znikły. Pan Alfred znalazł od nich pudełko w pokoju panny Lenory.

- Cóż to były za klejnoty? - zawołał proboszcz... - mów!

- Ja nic nie wiem... Musiały być bardzo drogie... Ale cierpiąc pani żyła długo, przeżyła rewolucję 1830 r., wiemy, że wiele dawała wszystkim... mogła sprzedać, mogła darować... czy pierwszemu, czy drugiemu mężowi.

Ksiądz chodził niespokojny...

- Ale jakże mógł kto posądzić nawet tę złą pannę naszą! - zawołał -ją, co gdyby była tylko chciała, mogłaby wszystko sobie zagarnąć; ją, co się wypraszała od darów i serce wojewodziny, dla rodziny ostygłe, nakłonić się ku niej starała... Gdyby nie ona, grosza by po nieboszczce nie wzięli.

Kamerdyner ramionami ruszył.

- I to, proszę jegomości - odezwał się - jak złodziejkę w biały dzień policja zabrała wobec całego miasta... Przetrzęśli dom... rozgłoszono, rozbębiono...

- A! to już niepoczciwa zemsta - zawołał ksiądz oburzony. - Stałem dotąd na uboczu, nie mieszając się do niczego, ale z powołania mego i obowiązku... muszę przyjść ze świadectwem prawdzie... tym bardziej -dodał - że mam od nieboszczki zlecone czuwanie nad sierotami.

Ksiądz się zadumał.

- Mówili zawsze na wojewodzinę, że była słabomyślną - rzekł - myśleli, że nic nie widzi i ludziom się daje łatwo oszukać; ale wiercie mi, panie Franciszku, ta święta niewiasta miała przecucia; znała dobrze swoich, widziała jasno, co się stać może... Nie dowierzała ona do ostatka ani siostrze, ani narzeczonemu niby Alfredowi, i potrafiła obwarować na

93

brane... usiadła na twardym tapczaniku, podparła się o stół chwiejący i tak pozostała, zobojętniała na wszystko... Pragnęła umrzeć... ale w cierpieniu pragnienie to jest znakiem, że życia ma człowiek wiele... pomyślała, że mogłaby się może głodem zamorzyć... potem, jakby na urągowisko, przyszła jej na pamięć kochana matka przybrana, która ją tak pieściła, dni wesela... szczęścia... pieśni, swobody, młodości.

Szukała w duchu, czym by zawiniła, że ją Bóg karał tak srodze: nie mogła zrozumieć cierpienia bez winy; odpowiedziała sobie - iż w Piśmie stoi słowo niezmasane o cierpieniu dzieci za ojców winy do pokoleń wielu... - Jestem dzieckiem wyklętego plemienia, może ojca

winowajcy? Bóg chce ekspiacji, i poddać się jej potrzeba. Ale dlaczegoż ranek życia tak mi się wdzięcznie uśmiechał? Któż zrozumie swe przeznaczenie??

Dreszcze zaczęły się zwiększać... otuliła się chustką...jakiś półsen nią owładnął... Iza precisięła się przez powieki powoli, a za nią popłynęły strumienie długo tłumione...Oparła się o mur... straciła przytomność i ciemności, wśród których jakieś niewyraźne snuły się kształty... szumiały głosy... otoczyły ją dokoła.

Z równym oburzeniem temu, które wywołała wiadomość o uwięzieniu Lenory, przyjęto artykuł gazety, opisujący złośliwie przygody zagadkowej istoty, podrzutka „przez znakomitą damę, a na umyśle skutkiem lat podeszłych osłabioną”, przybranego niemal za dziecko, zespsutego pieścizotami itd... Nadesłany ten artykuł, z komentarzami różnymi rozchodząc się po mieście i po prowincji, obudzał ciekawość, jak każda sprawa taje-micza. Opowiadano sobie obok tego, co on mieścił, szczegóły pochwycone nie^wiedzieć skąd, a raczej zmyślone po prostu. Kamerdyner Franciszek z Muranowa, wezwany do Warszawy, odprawiony potem na powrót na wieś, gdyż służby u hrabiny przyjąć nie chciał, powiózł go tam, gdzie wspomnienie Lenory żywe jeszcze obudzało szacunek dla niej i wdzięczność. Franciszek chodził z tym numerem, czytał go i płakał...

Drugiego dnia po przybyciu jego, gdy się wieść o uwięzieniu rozeszła... chłopak przybiegł od księdza proboszcza, wzywając go, aby się koniecznie pofatygował natychmiast i przyniósł z sobą ową warszawską gazetę.

Franciszek pośpieszył na wezwanie i zastał proboszcza niespokojnie przechadzającego się po pokoju plebanii.-Był to mąż lat niepodeszłych jeszcze, w sile wieku, energiczny, małomówny, ale znany z prawości

harakteru. Za życia wojewodziny codzienny gość we dworze, zyskał był przyjaźń i zaufanie, od jej śmierci czuł się tak osierocony jak inni...

- Mój panie Franciszku - począł spieszenie występując naprzeciw niego, jakby mu pilno było niezmiernie coś się od niego dowiedzieć - mówże mi, co się tam stało! Uszom nie wierzę!

Czyż może być, aby pannę Lenorę aresztowano...

- A! księżę proboszczu, najprawdziwsza prawda... Choć to rodzona siostra tej świętej naszej pani, ale... a? niech jej Bóg przebaczy...

- Za co? Za co aresztowano? - podchwycił proboszcz...

- Któż to zrozumie? Mówią o jakichś klejnotach familijnych, które bez wieści znikły. Pan Alfred znalazł od nich pudełko w pokoju panny Lenory.

- Cóż to były za klejnoty? - zawołał proboszcz... - mów!

- Ja nic nie wiem... Musiały być bardzo drogie... Ale cierpiąc pani żyła długo, przeżyła rewolucję 1830 r., wiemy, że wiele dawała wszystkim... mogła sprzedać, mogła darować... czy pierwszemu, czy drugiemu mężowi.

Ksiądz chodził niespokojny...

- Ale jakże mógł kto posądzić nawet tę zacną pannę naszą! - zawołał -ja, co gdyby była tylko chciała, mogłaby wszystko sobie zagarnąć; ja, co się wypraszała od darów i serce wojewodziny, dla rodziny ostygłe, nakłonić się ku niej starała... Gdyby nie ona, grosza by po nieboszczce nie wzięli.

Kamerdyner ramionami ruszył.

- I to, proszę jegomości - odezwał się - jak złodziejkę w biały dzień policja zabrała wobec całego miasta... Przetrzęśli dom... rozgłoszono, rozbębiono...

- A! to już niepoczciwa zemsta - zawołał ksiądz oburzony. - Stałem dotąd na uboczu, nie mieszając się do niczego, ale z powołania mego i obowiązku... muszę przyjść ze świadectwem prawdzie... tym bardziej -dodał - że mam od nieboszczki zlecone czuwanie nad sierotami.

Ksiądz się zadumał.

- Mówili zawsze na wojewodzinę, że była słabomyślną - rzekł - myśleli, że nic nie widzi i ludziom się daje łatwo oszukać; ale wiercie mi, panie Franciszku, ta święta niewiasta miała przecucia; znała dobrze swoich, widziała jasno, co się stać może... Nie dowierzała ona do ostatka ani siostrze, ani narzeczonemu niby Alfredowi, i potrafiła obwarować na

92

93

wypadek tego, co się właśnie stało, sierotę, której losem się zajęła... To cud łaski Bożej.

- Ale co, księżu proboszczu? - zapytał Franciszek ciekawie... co?!

- To, co ja wiem i mam w kieszeni... ale cicho... nie trzeba nic mówić... Ja jutro do Warszawy jechać muszę... Godzina wybiła, nie ma co dłużej czekać. Nie dosyć, że jej wszystko wydarli... jeszcze potwarz i więzienie!

Franciszkowi aż się oczy stare zapaliły.

-Jak to! ojcze! dobrodzieju kochany! wy byście na to mieli jaki ratunek? wy... doprawdy?

- Tak jak mnie żywego widzisz - rzekł ksiądz spokojnie. - Wolą Bożą było, aby cnota pohańbioną została i upadła tak nisko... dla jej tym świetniejszego tryumfu... Zmuszono mnie do tego kroku... Jutro jadę do Warszawy...

Franciszek w rękę go pocałował... Z jego radości ksiądz posądził, że wypaplać może. Położył palec na ustach:

- Tylko ani słowa... proszę!... ze złymi trzeba ostrożnie, aby środków nie szukali nowych do uciemienienia...

- Przecież, ojcze... dobrodzieju - obrażony odparł Franciszek - znałeś mnie i za życia nieboszczki... że język umiałem trzymać za zębami.

- Teraz jeszcze bardziej! motus! Jeśli będę mówił o wyjeździe moim, powiecie, że po oleje pojechał... Nie skłamiecie, bo i tych zabrakło... Tak! po oleje... A jaka tam droga?

- Zła! mój ojcze... na stare kości.

- A! no, jak trzeba, to trzeba... Czy asindziej masz tu jakie obowiązki?-zapytał proboszcz.

- Żadnych! Hrabina chciała mnie wziąć do siebie; odmówiłem, bom stary i u nich służyć!! u nich! za nic... dali mi tedy abszyt...

- To jedź ze mną - rzekł proboszcz... Dla bezpieczeństwa... Powiozę z i sobą papiery ważne, o złych ludzi nietrudno, a drogi nie znam. We dwóch będzie różniej, biorę cię na mój koszt.

- Ale jak tylko to dla panienki, pojedę swoim - ofuknął się Franciszek ja bym dla niej na kraj świata poszedł piechcą...

- No... i tak zacną, pocziwą... do więzienia jak złodziejkę! - zawołał ksiądz, łamiąc ręce. - Nie jestże to dopust Boży, aby ten diament się w ogniu i Izach wypróbował!!

Fiat voluntas tua! Jeszcze szczęście, że się o tym w porę dowiedział! Jutro o świcie w drogę, nie trzeba czasu tracić...

94

- Jam gotów dziś - rzekł Franciszek.

- A ja nie! - dodał proboszcz... i mów asindziej, że po oleje... Uradowany stary sługa, choć niezupełnie wierzył w skuteczność interwencji proboszcza - pobiegł zaraz wszystko do podróży sposobieć.

Nazajutrz wózek, trzema konikami zaprzężony, wytoczył się z dziedzińca plebanii i posunął gościńcem ku stolicy.

- Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus - odezwał się głos we drzwiach mieszkania doktora, który podniósł głowę ciekawie, bo oprócz księdza Bonifratra ze skarbonką, rzadko kto tym dawnym obyczajem witał się przychodząc. Nieznajoma postać w ubiorze duchownego, widocznie z prowincji (co krój staroświecki sutanny dowodził), ukazała się w progu.

- Przepraszam konsyliarza, czy mogę go na chwilę trudzić?

- Jestem na usługi, mam jeszcze z pół godziny wolnej - odpowiedział

doktor.

- Naprzód się przypomnieć muszę, bo widzę, żeś mnie konsyliarz nie poznał. Jestem proboszczem w Muranowie, dobrach niegdyś śp. wojewo-
dziny.

- A! przepraszam. Siadajcie, księżo proboszczu, możecie być na rękę
ieraz... mamy tu...

- Ale wiem i umyślnie dla tego smutnego wypadku wybrałem się do Warszawy - odezwał się
proboszcz z westchnieniem. - Mówicie o naszej poczciwej Czarnej Perle! W więzieniu! o
mój Boże! gdyby jej przybrana matka z grobu powstała!! w więzieniu! ale wyroki Boże
niezbadane... Prosto przystępuję do rzeczy. Wiem, jakie zaufanie miała pani wojewo-
dzina w was, szanowny panie, ja też z ufnością do niego przychodzę...

Posłuchajcie mnie:

Święta dobrodziejka nasza, choć usiłowała tej familii, którą obdarzała, natchnąć miłość dla
swej drogiej pupili, do ostatka nie dowierzała jednakże, przeczuwała złe i starała się ochronić
nieszczęśliwą od niedostatku... Zapisła jej dwakroć, zdawało się, że ją zaręczyła na łożu
śmierci z panem Alfredem, a jednak snadź zawsze miała obawę i wątpliwość... bo...
potajemnie się zastrzegła od złej woli tych państwa... a moich, na nieszczęście, terażniejszych
kolatorów.

- W jaki sposób? - spytał doktor ciekawie.

- Na lat dwa czy półtrzecia przed śmiercią przysłała raz po mnie, czując
95

się niedobrze, i wynurzywszy obawy swoje, złożyła w moich rękach opieczętowane i
zarejestrowane familijne owe klejnoty, z najformalniejszym dokumentem notarialnym,
przeznaczającym je sierocie, jeśliby ona wy. żutą została z zapisów jej poczynionych. W razie
zaś gdyby hrabina i pan Alfred dotrzymali wszystkiego i obeszlą się z nią, jak byli powinni,
klejnoty miały być oddane pani Alfredowej dla jej dzieci. Akt i klejnoty opieczce, towane
przyniosłem...

Doktor zerwał się z krzesła, by księdza uściskać, rozpromieniony, szczęśliwy.

- A! otóż i palec Boży! - zawołał - ale czekajcie, sierota cierpiała na sławie, na sercu, na
zdrowiu, w tej chwili musiano ją przenieść do szpitala... należy się, by sprawa była słuszną i
sprawiedliwą tak jawna, jak była krzywda. Co tu robić?

- No, to hie moja rzecz, ja pytam was, co tu robić - odparł ksiądz, dobywając z szerokiej
kieszeni sutanny ogromny pakiet opieczętowany -oto jest ów corpus delicti, a oto dokument...
Zdaje mi się, że z prezentacją przed sądem ani chwili dłużej czekać nie potrzeba.

- Siadaj ze mną, jedziemy do sądu... - rzekł doktor. Zadzwoił i kazał konie podać...

W kilka minut siedzieli w karetce doktora, w kwadrans zameldowali się u sędziego.

Musieli, jak zwykle, poczekać nieco w kancelarii, ale nareszcie wpuszczono ich do
przybytku. Wprzód jeszcze sędzia był zawiadomionym, w jakiej sprawie życzyli się z nim
widzieć, i wzięwszy księdza za prostego świadka, przyjął go zimno, niemal szydersko... A
gdy proboszcz objawił, o co chodziło, gdy notarialny akt złożył w ręce sędziego, bezstronny
ów stróż prawa zmienił ton i fizjonomię, stał się grzecznym, i oświadczył, że natychmiast
uwięzioną uwolnić każe, a stronę przeciwną zawezwiał do odczytania aktu, który najmniejszej
już wątpliwości nie zostawiał.

Doktor coś na końcu poszeptał sędziemu i skutkiem jego żądania poszło wezwanie urzędowe
do hrabiny i pana Alfreda, aby dla przesłuchania ważnego aktu, sprawę rozstrzygającego,
niezwłocznie osobiście się stawili do sądu.

To wezwanie dla dumnej Pyzy równało się prawie upokorzeniem publicznemu aresztowaniu
Lenory. Hrabina nie mogła przypuścić nawet, aby osobę tak dostojną, jak ona, śmiał sąd
wezwać do osobistego stawienia się. Sędziowie i notariusze zwykle sami z księgami do niej
jeździli - a w kryminalnym procesie być wezwaną, było dla pani tej obelgą. Toteż,

odebrawszy pismo, w największym gniewie kazała jechać Alfredowi i złać sąd, jak śmiał ją! ją wzywać przed siebie... Była wzburzoną do tego stopnia, iż mało nie zachorowała. Alfred przelękniony poleciał w czwał do sądu, wpadł jak burza, począł od grubiaństwa i rozgniewał urzędnika, który mu z najzimniejszą krwią odpowiedział:

- Pani hrabina jest oskarżycielką, nie pan, i ona stawić się musi dla wysłuchania konkluzji.
- Jest wyrok i jaki? - zapytał Alfred.
- O tym się pani hrabina dowie, gdy przyjedzie...

Rzekłszy te słowa, sędzia wyszedł do drugiego pokoju, a Alfreda porzucił osłupiałego. Wiedział on, że powróciwszy do matki z taką odprawą, będzie miał uroczyście zmytą głowę... i nic nie zrobi. Nie pojmował, jaki mógł zejść wyrok, czym spowodowany... Kanceliści, patrząc na jego zakłopotanie, śmieli się i szydzili po cichu... nie było co robić, trzeba się było wynosić. Ze strachem ukazał się w progu matki, która piła proszki sodowe.

- No, wyłajałeś tego gburę sędziego! - zawołała. - Cóż to za śmiałość tych biuralistów, żeby osoby wysoko urodzone śmieć ciągnąć do sądu! Ja się będę skarżyła, ja mu tego nie daruję... Alfred milczał.

- No, cóż zrobiłeś?

- Nic nie mogłem zrobić - odparł syn - pokłóciłem się tylko. Zdaje się, że jakaś formalność wymaga osobistego stawienia się.

- To niech się oni, ci panowie, co są za to płatni, stawią do mnie!

- Zdaje się, że to nie może być...

- Ja udam się do wyższej władzy!

- Ale to nic nie pomoże... niech mama się uspokoi... Cóż tam tak strasznego, na pół kwadrans stanąć przed sądem i na pięć minut zejść do kancelarii.

- Co ty oszalałaś, czy co? Ja! ja! co jak żyję, w takim miejscu nie byłam...

- Ale, moja mamó, wyzwaliśmy sami proces kryminalny, mama jest stroną w nim... to są konsekwencje...

- Przecież nie może być wyroku, bo się nic nie znalazło i nic nie skończyło.

- Ja nie wiem, co zaszło, bo mnie sędzia, pokłóciwszy się, nic powiedzieć nie chciał, ale coś stanowczego zejść musiało.

- Może ona w szpitalu umarła?! - zawołała hrabina.

97

się niedobrze, i wynurzywszy obawy swoje, złożyła w moich rękach opieczętowane i zarejestrowane familijne owe klejnoty, z najformalniejszym dokumentem notarialnym, przeznaczającym je sierocie, jeśliby ona wy. żutą została z zapisów jej poczynionych. W razie zaś gdyby hrabina i pan Alfred dotrzymali wszystkiego i obeszli się z nią, jak byli powinni, klejnoty miały być oddane pani Alfredowej dla jej dzieci. Akt i klejnoty opieczętowane przyniosłem...

Doktor zerwał się z krzesła, by księdza uściskać, rozpromieniony, szczęśliwy.

- A! otóż i palec Boży! - zawołał - ale czekajcie, sierota cierpiała na sławie, na sercu, na zdrowiu, w tej chwili musiano ją przenieść do szpitala... należy się, by sprawa była słuszną i sprawiedliwą tak jawna, jak była krzywda. Co tu robić?

- No, to hie moja rzecz, ja pytam was, co tu robić - odparł ksiądz, dobywając z szerokiej kieszeni sutanny ogromny pakiet opieczętowany - oto jest ów corpus delicti, a oto dokument... Zdaje mi się, że z prezentacją przed sądem ani chwili dłużej czekać nie potrzeba.

- Siadaj ze mną, jedziemy do sądu... - rzekł doktor. Zadzwoił i kazał konie podać... W kilka minut siedzieli w karetce doktora, w kwadrans zameldowali się u sędziego. Musieli, jak zwykle, poczekać nieco w kancelarii, ale nareszcie wpuszczono ich do przybytku. Wprzód jeszcze sędzia był zawiadomionym, w jakiej sprawie życzyli się z nim widzieć, i wzięwszy księdza za prostego świadka, przyjął go zimno, niemal szydersko... A gdy proboszcz objawił, o co chodziło, gdy notarialny akt złożył w ręce sędziego, bezstronny ów stróż prawa zmienił ton i fizjonomię, stał się grzecznym, i oświadczył, że natychmiast uwięzioną uwolnić każe, a stronę przeciwną zawezwie do odczytania aktu, który najmniejszej już wątpliwości nie zostawiał. Doktor coś na końcu poszeptał sędziemu i skutkiem jego żądania poszło wezwanie urzędowe do hrabiny i pana Alfreda, aby dla przesłuchania ważnego aktu, sprawę rozstrzygającego, niezwłocznie osobiście się stawili do sądu.

To wezwanie dla dumnej Pyzy równało się prawie upokorzeniem publicznemu aresztowaniu Lenory. Hrabina nie mogła przypuścić nawet, aby osobę tak dostojną, jak ona, śmiał sąd wezwać do osobistego stawienia się. Sędziowie i notariusze zwykle sami z księgami do niej jeździli - a w kryminalnym procesie być wezwaną, było dla pani tej obelgą. Toteż,

96

odebrawszy pismo, w największym gniewie kazała jechać Alfredowi i złajać sąd, jak śmiał ją! ją wzywać przed siebie... Była wzburzoną do tego stopnia, iż mało nie zachorowała. Alfred przełękły poleciał w cwał do sądu, wpadł jak burza, począł od grubiaństwa i rozgniewał urzędnika, który mu z najzimniejszą krwią odpowiedział:

- Pani hrabina jest oskarżycielką, nie pan, i ona stawić się musi dla wysłuchania konkluzji.

- Jest wyrok i jaki? - zapytał Alfred.

- O tym się pani hrabina dowie, gdy przyjedzie...

Rzekłszy te słowa, sędzia wyszedł do drugiego pokoju, a Alfreda porzucił osłupiałego.

Wiedział on, że powróciwszy do matki z taką odprawą, będzie miał uroczyście zmytą głowę... i nic nie zrobi. Nie pojmował, jaki mógł zająć wyrok, czym spowodowany... Kanceliści, patrząc na jego zakłopotanie, śmieli się i szydzili po cichu... nie było co robić, trzeba się było wynosić. Ze strachem ukazał się w progu matki, która piła proszki sodowe.

- No, wyłajałeś tego gbura sędziego! - zawołała. - Cóż to za śmiałość tych biuralistów, żeby osoby wysoko urodzone śmieć ciągnąć do sądu! Ja się będę skarżyła, ja mu tego nie daruję... Alfred milczał.

- No, cóż zrobiłeś?

- Nic nie mogłem zrobić - odparł syn - pokłóciłem się tylko. Zdaje się, że jakaś formalność wymaga osobistego stawienia się.

- To niech się oni, ci panowie, co są za to płatni, stawią do mnie!

- Zdaje się, że to nie może być...

- Ja udam się do wyższej władzy!

- Ale to nic nie pomoże... niech mama się uspokoi... Cóż tam tak straszego, na pół kwadransa stanąć przed sądem i na pięć minut zejść do kancelarii.

- Co ty oszalałeś, czy co? Ja! ja! co jak żyję, w takim miejscu nie byłam...

- Ale, moja mamó, wyzwaliśmy sami proces kryminalny, mama jest stroną w nim... to są konsekwencje...

- Przecież nie może być wyroku, bo się nic nie znalazło i nic nie skończyło.

- Ja nie wiem, co zaszło, bo mnie sędzia, pokłóciwszy się, nic powiedzieć nie chciał, ale coś stanowczego zająć musiało.

- Może ona w szpitalu umarła?! - zawołała hrabina.

97

- I to być może - rzekł Alfred.

- A! to już bym i do sądu pojechała, żeby raz być wolną od tej Cygan ki...
Syn zamilkł... Hrabina piła proszki i rzucała się, walcząc z tą myślą, jaij ona, ona! pojedzie stawić się przed sądem. Ale na ostatek rozbudzona ciekawość, domysł, że winowajczyni pod posądzeniem kradzieży umarła może, skłoniły ją do upokarzającej podróży. Wyprawiła tylko syna przodem, aby tak wszystko urządził, iżby, uchwaj Boże, czekać nie potrzebowała. Alfred posłuszny poleciał co prędzej. Za nim potoczyła się majestatycznie karetta hrabiny, przy której dwóch lokajów z tyłu, a kamerdyner na koźle. Powóz stanął przed sądem i natychmiast zgromadził się tłum gawiedzi dla podziwiania wspaniałości jego.

Dobry kwadrans, czerwieniąc się ze złości, jejmość, w głąb się zasunawszy, przeklinała niezręczność najukochańszego syna, który nareszcie zbiegł błady i pomieszany. Prowadząc matkę na schody, pełne różnych ludzi i wcale nie grzeszące wytwornością, miał tylko czas szepnąć na ucho hrabinie:

- Na miłość Boga, kochana mamó, bądź co bądź, przed sądem ani słowa! bo oni wszystko wpisują do protokołu...

- Ale co to jest?

- Niech się mama przygotuje... jest coś niedobrego, nie wiem co, ale... złe.

- Cóż może być?

- Nie mówią nic... widzę, że proboszcz z Muranowa siedzi także wezwany...

W tej chwili otworzyły się drzwi i hrabina weszła nimi majestatycznie.

Za stołem siedział sędzia, który nie powstając, głową lekko skłonił i natychmiast, wzięwszy papier ze stołu, czytać począł:

„Działo się w Warszawie... dnia...”

W miarę jak akt czytano, hrabina, której przez uszanowanie dla jej tuszy podano fotel zaledwie mogący ją pomieścić...stawała się na przemiany bladą, czerwoną i siną... Posłuszna jednak radzie syna, choć darła rękawiczki, nie odezwała się nic... trzęsła się cała...

Wysłuchawszy dokumentu, wezwana do podpisu, zrobiwszy dwa żydy, krzywo nakreśliła swe imię... i ze ściśnionych warg wyrwało się: - zobaczmy...

Sędzia się uklonił. Alfred wziął matkę pod rękę i wyprowadził ją... W

98

milczeniu przeszli schody, siedli do powozu i pojechali. W karecie hrabina zaczęła płakać z gniewu i upokorzenia. Alfred był czerwony, pałający... wściekły. Przybyli do domu... a jeszcze nie odezwała się ani matka do niego, ani on do niej...

- Moja mamó - rzekł na koniec - co się stało, odstać się nie może, narzekać i płakać na nic, trzeba myśleć, jak się dźwignąć z tego...

- A! tak, ja sama widzę, żem złą miała kalkulację - odezwała się hrabina - nie tak nam postąpić należało... ale po czasie teraz... po czasie. Cyganka zwyciężyła...

- I - dodał praktyczny Alfred - zdaje się, że w miejsce dwukroć stu tysięcy, weźmie za klejnoty ze dwa razy tyle.

- Ale to własność familii!

- W takim razie familia ich wartość opłacić będzie obowiązana.

- Niech ją i z klejnotami kaci porwą! - uderzając w stół pięścią, ozwała się matka.

- Pozwoli mama sobie powiedzieć... ludzie się żenią i z chłopkami, i z garderobianymi...

Cyganka czy nie, mogłem się ożenić, byłbym nie potrzebował płacić dwóchkroć, i klejnoty byłyby nasze, a potem mógłbym się też i rozwieść... i procesować, i nic nie dać.

- Ty zawsze do niej miałeś słabość, ale ja... ja myśli tej znieść nie mogę, aby krew nasza... senatorska!... a! nie mogę... duchy ojców! Cyganka...

Rozpłakało się nieszczęśliwe senatorskie dziecko. Gdy się to działo w żałobą okrytym domu hrabiny, proboszcz z doktorem poszli do osobnej izdebki w szpitalu zwiastować Lenorze jej oswobodzenie i uniewinnienie...

W pierwszych dniach niebezpieczną, ale energiczną przerwana kuracją, przecierpiawszy gorączkę, Lenora czuła się była lepiej. Staraniem przyjaciół dano jej w szpitalu osobną czystą izdebkę, a dozór siostr miłosierdzia uczynił pobyt w niej znośnym, w porównaniu zaś z pierwszym więzieniem, niemal wesołym... Pomiędzy obwinioną a dozorczynią jej, siostrą Felicją, zawiązała się przyjaźń najczulsza. Powołanie miłosierdzia dziwnie wyszlachetnia duszę; siostra Felicja była osobą bardzo mało wykształconą, ale pobożną i poświęconą bliźnim; dziesięć lat tej ofiary u łóżka chorych, z cierpiącymi, uczyniły ją aniołem cierpliwości, dobroci, poświęcenia skromnego i nadzwyczajnej przenikliwości umysłu. Lenora znajdowała u niej pociechę, z nią czuła się prawie uspokojoną, a widok tej ofiarnej niewiasty unosił ją aż do pożądanego poświęcenia się podobnego... Leżała jeszcze, ale zrezygnowana, ukojona na duchu, przejednana ze

99

światem i przebacząca krzywdę nieprzyjaciółom... Na białej kołderce, która ją okrywała, przez cały dzień spoczywało „Naśladowanie Chrystusa Pana”, które jej siostra przyniosła... Cała ubrana w bieli, ze swą ciemną, ale zbladłą twarzą, ognistymi oczyma, czarnymi rozpuszczonymi włosami, wydawała się uroczo piękna, bo mistrzyni boleść umie także do ideału rozpromieniać człowieka, jeśli dusza upokorzona przyjmie ją jak błogosławieństwo... W tym stanie ducha błogim, który wynagradza największe cierpienia ideą sprawiedliwości nadziemskiej, czuwającej nad człowiekiem - znalazł ją doktor i proboszcz muranowski. Gdy ich ujrzała we drzwiach, gdy ujrzała oblicze przyjazne, uśmiechnięte kapłana, do którego, jak do ojca duchownego, nawykła była od dzieciństwa, wyciągnęła ku niemu ręce z uśmiechem i okrzykiem:

- A! co za szczęście!

- Dziecko moje! - zawołał rozrzuwiony kapłan - dziecko moje! przynoszę ci i zwiastuję od progu uwolnienie, uniewinnienie, tryumf... Wszystko skończone.

- Byćże to może! w jaki sposób?

- Uspokój się pani - rzekł doktor - ksiądz proboszcz opowie jej wszystko. W każdej chwili możesz powrócić do domu; nie ma już ani cienia wątpliwości. Żli ludzie zawstydzeni zostali.

- O mój Boże! o mój Boże! - wołała Lenora, składając ręce - jam się już tego spodziewać nie śmiała. To chyba święty ten anioł, matusia moja droga, zstąpiła z niebios i dała świadectwo niewinności dziecieniu.

- Zaprawdę, odgadłaś! - rzekł proboszcz - jeśli nie ona, cień jej, głos jej, wola rozstrzygnęły. Staruszka pamiętała na wszystko, znała ludzi, a kochała cię jak córkę... Dała tego dowód, składając na ręce moje osobno spisany akt urzędowy, tycający się owych klejnotów, które są tobie przeznaczone... Dziś wszystko się wyjaśniło przed sądem... jesteś wolną i, Bóg dał, niezależną... Wartość tego daru przechodzi to, co ci było zapisane...

- Ja tego przyjąć nie mogę... - Odezwała się Lenora.

- Zaczekaj, oto jest akt i słowa nieboszczki: „Znając szlachetne usposobienie i bezinteresowność wychowawicy mojej i to przewidzieć mogę, że daru mojego przyjąć nie zechce - aleją zaklinam zza grobu w imię miłości, jaką dla mnie miała, ażeby go nie odrzucała, jeśli nie chce, bym bolała nad tym, że najgorętsza wola moja się nie spełni...

Rodzinie mej zostawiam

100

więcej niż wartość tych klejnotów, które były moją osobistą własnością". Lenora, słuchając, płakała, doktor i ksiądz milczeli.

- Są potrzebniejsi ode mnie - odezwała się po cichu - darem jej rozpo-żądę... w myśl jej... to później... alem ja niewinna i wolna!... Jam czysta...

- I najmocniej proszę - przerwał doktor - ani się bez mojego pozwolenia ruszać z łóżka, ja wieczorem przyjdę po was... nie wprzód...

Zostawiając proboszcza, któremu w pomoc przysła siostra Felicja, doktor odjechał. Zaczyna zakonnica na wieść o uniewinnieniu Lenory, do której się sercem całym przywiązała, wbiegła zapłakana z radości i rzuciła się jej na szyję.

- Błogosławione imię Pańskie! - zawołała - błogosławione imię Tego, który niewinnych dźwiga i podnosi.

- Cudem - dodał proboszcz. - Sławmy imię Jego...

I kapłan ukląkł, aby odmówić modlitwę dziękczynną, a Lenora ze złożonymi rękoma, siedząc w łóżku zapłakana, powtórzyła słowa modlitwy. Scena była rozczulająca...

Doktor nie bez przyczyny chciał, by Lenora wypoczęła jeszcze, nim ją do domu przeniosą. Choć radość leczy, są wypadki, że jej znękanie serca znieść nie mogą. Chciał przy tam, ażeby tryumf sieroty uczynić tak głośnym i uroczystym, jak jawne i okrutne było prześladowanie. Pojechał do pani Laury, rozesłał do znajomych, dano znać lordowi, który nie przestał się interesować Lenora, Zbigniewowi i matce jego; postanowiono, aby jak najwięcej osób pojechało po chorą i odwiozło ją do dawnego mieszkania, okazując jej zasłużone współczucie.

Pan Alfred powracał wieczorem od prawnika, do którego wysłała go matka na naradę, czyby przeciwko aktowi śp. wojewodziny coś działać nie można- gdy w pobliżu pałacu Zamoyskich spotkał ten szereg powozów... odprowadzający Lenorę. Poznał ją siedzącą w karecie z doktorem, panią Laurę, lorda, kilku jego przyjaciół, i odgadł łatwo znaczenie tego rodzaju manifestacji. Zbladł, zagryzł usta, ale się w nim, zazwyczaj obłudnym, tak wszystko wzburzyło, iż powróciwszy do domu, pohamować się nie mógł. Wpadł do pokoju matki, rzucając o stół kapeluszem, z wyrazem takiego dzikiego gniewu na twarzy, iż się hrabina przeleżała.

- Co ci jest? Alfredzie? co ci jest?

- To są łajdaki! to niepoczciwi ludzie... to szuje! to demagogi... gałgany!

101

6 - Czarna Perełka

- Ale kto?

- Ta niepoczciwa Laura, ten doktor intrygant, głupi lord...

- Cóż znowu się stało?

- Wystaw sobie, mama! Cała ta czereda pojechała do więziennego szpitala po Cyganek i z paradą największą odwieźli ją do jej mieszkania ulicami głównymi, do bramy pałacu, w tryumfie! Brakło tylko chorągwi muzyki... Jutro po całym mieście trąbić będą... i nas potępiać...

Matka zamilkła, a po chwili:

- Dobrze! dobrze! - zawołała - niech się kręcą, niech się wiercą, jak chcą! ja o to nie dbam...

Naszemu domowi, imieniowi i znaczeniu nie potrafią nic zrobić. To jest zawiść nikczemna tych dorobkiewiczów... Ja się z tego śmieję! ja się z tego śmieję...

I w istocie dostała hrabina w tej chwili śmiechu, ale serdecznego, i natychmiast posłano po doktora, tylko już nie po starego S., który był do niecznych intrygantów zaliczony i od tego dnia stanowczo na ideksie...

Hrabina miała się w przekonaniu swoim za najniewinniejszą ofiarę demagogicznego spisku! I tym razem sienie, schody, korytarze pełne były widzów ciekawych w pałacu, a na czele ich zapłakana, rozogniona, umuszlinała stała Kasia, wołając:

- A co? nie mówiłam?! nie powiadałam, nie przysięgałam, że to-się tak skończy? A chwałaż Panu najwyższemu, że pocziwiego pognebić nie dał...

Gdy doktor wprowadzał na górę z siostrą Felicją biedną chorą, i pan Roman Junosza Zarybski, i pan Zygmunt Haraburda czatowali na schodach, i obje państwo Melchiorostwo, i mnóstwo osób nie znanych. Ta postać w bieli, wyanielona cierpieniem, promieniejąca szczęściem, przesunęła się jak zjawisko jakie nadziemskie... Wszystkim się teraz wydawało, że taką istotę, na obliczu niosącą swej niewinności dowody, występkiem nawet było posądzać. Stróż przeklinał prześladowców, choć ich imienia nie wiedział...

Lenora weszła do swych pokoików, przygotowanych na jej przyjęcie, ukwieconych, wyświeżonych od rana, i zapłakawszy, omdlała. Naówczas wszyscy, szanując to wzruszenie, po cichu odeszli, zostawiając przy niej tylko lekarza i siostrę Felicję...

102

Wstrząśnienie, wywołane wypadkami dnia tego, było za silne dla rekon-walescentki; mimo wszelkich zabiegów doktora, wieczorem objawiła się niepokojąca gorączka i zagroziła recydywą...

Noc spłynęła w błogim, ale gwałtownym delirium, wśród którego chora śpiewała piosenki dziecinne, rozmawiała z wojewodziną, miała widzenia straszne, płakała, śmiała się, zrywała do fortepianu, i dopiero nad ranem uspokajające lekarstwa sen głęboki wywołały...

Przy łożu sieroty została Felicja, a na posługach Kasia, u drzwi Zbigniew, obwinieyty w palto wytarte, na mrozie stróżował, czekając, czy gdzie posłać go nie będzie potrzeba... Noc całą nie zmrużyli oka przyjaciele Lenory - rano zastał ich strwożonych, doktor był ponury i milczący. Nazajutrz przybyła pani Laura, aby wyręczyć siostrę, przywiozła z sobą Stefcie, i tak mieniać się, cały dzień u łoża przebyli. Po gorączce nastąpił sen długi, który lekarz za dobry znak uważał i przerywać go nie dozwolił; przytomność zdawała się powracać, rozdrażnienie ustawać, chora budziła się, patrzyła, pytała, gdzie jest, poznawała przytomnych, uśmiechała się do nich i zmorzona znów potrzebą snu, padała na poduszki z ustami złożonymi jak do błogiego uśmiechu. Patrzący nie mogli się powstrzymać od łez... W tej ciszy i oczekiwaniu

przeszła i noc następująca.

Słabość się przeciągała, doktor znajdował, że nie była groźną, jednakże nie oznaczał jej kresu i nakazał spoczynek. W ciągu tygodnia chora odzyskała zupełną przytomność i zostało jej tylko osłabienie a znużenie wielkie i nie mniejszy smutek. Całe dnie spędzała na cichej rozmowie z siostrą Felicją lub czytaniu „Naśladowania”. Ale towarzyska jej, która nie spuszczała z oka chorej, uważała, że czytanie służyło tylko za pozór może do głębokiego rozmyślenia. Długo nie przewracała kartek, patrzyła w nie osłupiałymi oczyma, po cichu płacząc, potem przewróciła kilka, chwycić się zd*iała jakby losem jej rzucone wyrazy, i zadumywała się znów. Rozmowa, jeśli ją poczęła siostra Felicja, zwracała się od świata do zadań życia wyższych, do zawodów, smutków, do ciężkiej doli człowieka. Wypadki ostatnie odjęły jakby energię do walki z losem potrzebną, zdawała się pragnąć pokoju tylko, okupionego choćby ofiarą woli i nadziei przyszłości...

W ciągu słabości oznaki powszechnego współczucia odbierała Lenora nieustannie. Co odróżnia Warszawę od innych miast polskich, to zapał, z jakim ona w każdej sprawie, w której idea szlachetna jest pokrzywdzoną, bierze udział serdeczny; wszyscy się rozgorączkują dla uciśnionego

103

człowieka, dla heroizmu czynu stają w obronie sprawiedliwości i głośno poświadczają, że miłują prawdę i cnotę, nawet ci, dla których one są obojętne, posłuszni prądowi powszechnemu, wtórują masom, spieszą z głośnym współczuciem i datkiem. Na tak usposobioną społeczność wiele, wiele rachować można. Znajomi i nieznajomi zajęli się żywo

sprawą pokrzywdzonej Lenory, słano jej bukiety, wiersze, obrzucano podarkami, zapisywano u drzwi, ofiarowywano chętną pomoc... Oburzenie na hrabinę było tak wielkie, że się w pierwszych dniach nigdzie pokazać nie mogła. Alfred, znany ze swego posłuszeństwa pani matce, nie mniej był źle widzianym, unikano go, najlepsi przyjaciele nie życzyli sobie z nim pokazywać się publicznie, nikt w obronę ich wziąć nie chciał.

Dodać jednak trzeba, że mimo tak jawnej manifestacji opinii publicznej, pewna część tak zwanego wielkiego świata zachowała postawę zimną, wyczekującą, nieodgadzioną. Nie wzięła ona ani strony pokrzywdzonej, ani śmiała bronić postępków hrabiny, ale rada była może widzieć w tym wszystkim objaw kwestii społecznej w innej formie, wypadek starej walki arystokracji z demokracją. Hrabina nie była zbyt dobrze widzianą w tym świecie, ale doń należała bogactwy, imieniem i samą ekscentrycznością, z jaką praw tego pierworodztwa broniła przeciw młodszej braci. Obóz czuł, że do pewnego stopnia bronić jej był obowiazany, zdesperowane położenie tylko nie dozwalało mu wystąpić na razie.

Laura, doktor, siostra Felicja, u drzwi Zbigniew, niekiedy wśród dnia dosyć nudna matka jego, ze swymi na świat narzekaniami i deklamacją pro domo sua, składali zwykle towarzystwo Lenory, która ze swej apatii i zamyślenia rzadko się czym usposobieniem wyprowadzić dała.

Lord także przysyłał bukiety i dowiadywał się o zdrowie; ale ten miły dowód współczucia, z którego żartowała Laura, prześladowając nim sierotę, nie czynił na niej wielkiego wrażenia.

Bukiet wiało na stoliku, a ona czytała „Naśladowanie”.

Jednego przedwieczora, gdy była tak zadumaną nad ulubioną księgą, powoli rozwarły się drzwi i postać dziwna, straszna niemal wsunęła się nimi. Był to mężczyzna stary, olbrzymiego wzrostu, nieco przygarbiony, z włosami siwiejącymi, rozczochranymi, zarosła brodą podciętą, ubrany jak góralscy tatrzańscy, z siermięgą przewieszoną na ramieniu, z pasem, u którego wisiały noże i igły, z kijem w ręku - podobniejszy do włóczki i żebraka niż do kogokolwiek bądź innego. Twarz jego śniada, ogorzala, czarne oczy błyszczące, wargi szerokie i odęte, mimo woli zwykły typ cygański przypominały. Wszedł, począł się ponuro po pokoju rozglądać i

104

gdy wejrzenie jego padło na łóżko, powoli posuwać się zaczął ku niemu. Siostra Felicja przestraszona podbiegła, aby go zbyć jakim datkiem i wyprawić, gdy od łoża chorej dał się słyszeć wykrzyk... Ujrzała wyciągniętą rękę Lenory i usłyszała głos: - Proszę puścić! puście go...

Cygan z wolna, krok za krokiem, w milczeniu przybliżał się do łoża, nareszcie w pewnym oddaleniu od niego stanął, zapatrzył się na Lenorę, podparł na kiju i wryty tak pozostał...

Głowa jego z wolna spadała na piersi, kołysała się i zwisała... wzrok spadł z wolna na ziemię.

W twarzy Lenory malowały się razem przestraszanie, rozrzewnienie, oczekiwanie; patrzyła nań i powoli łzy z jej oczów pociekły.

Ta scena niema przedłużyła się z podziwieniem siostry Felicji w groźny sposób... jakby gotując wybuch, którego się można było domyśleć. Cygan podniósł powoli głowę, na Lenorę spoglądając, i poruszając nią,

litując się.

- Oj tak - rzekł łamanym jakimś językiem - wiedział ja dobrze, jak się to skończyć musi! I skończyło się tak, jak ja czułem i przeczuwałem! Wzięli moje dziecko spod płota, aby rzucić pod płot...

- Dżęga - przerwała cicho Lenora - niesprawiedliwym jesteś.

- Albo myślisz, że ja nie wiem o wszystkim - rzekł powoli - ja tu już dawno patrzę z daleka; a po com się miał zbliżać, żeby palcami wytykali Cygana i - Cyganę. Ale w końcu serce się ścisnęło. Myślałem, taki pójdę, taki zrobię, taki jej powiem, niech się nie bałamuci, niech nie

wierzy. Gdy kásają, to prawda, ale gdy się łászą - kłámstwo... Za úsmiechem złość siedzi... Ot by lepiej ci było z nami... ze mną. Ty dla nich nie stworzona...

Hej! hej! - mrucał dalej, postukując kijem. - W górach, w Tatrach, spokojniej... pusto... dziko, i kraj stworzony jak dla nas... Pędzą z Węgier, to się przierzucim na polską stronę, a gnają z polskiej, to na madziarską. W Tatrach nie ma nikogo, tylko orły, kilka kóz i nas kilkoro... Wiatr szumi i

bory jodłowe płaczą...

Lenora słuchała i lzy jej z powiek ciekły... Stary obejrzał się na siostrę Felicję, jakby się lękał, żeby go nie wygnała, a widząc ją, stojącą spokojnie z załamanymi rękami, bladą, wsłuchaną w jego mowę dziwnie szorstkiego, bolesnego dźwięku, powoli jakimś niemal zwierzęcym ruchem zgiął się i

na ziemię przysiadł u łóža. - Pozwólcie mi posiedzieć - rzekł, obracając się do siostry - ona mnie

zna, ona powie, kto ja... toć dziecko moje.

105

L

Felicja milczała...

- Ty chora - mówił po chwili - o ja wiem, oni ciebie prześladują. Ale bo dzikiej sokolicy w kurzym gnieździe nie siedzieć... oj! nie! Wypieścili sokolicę moją, aby ją potem żywą skubać...

Chciałem ja ciebie wziąć, bom wiedział, że ich dobrodziejstwa nieszczęście niosą, że nie przyswoją oni ciebie ani ty ich pokochać możesz... Co to za ludzie, to kukły postrojone, i już zapomnieli, jak ich pradziadowie bładzili po lasach, drąc się z niedźwiedziami... Co nam z nimi? my innej krwi i innego serca, a oni do nas, jak kraska do wrony niepodobni... komu Bóg wroną i krukiem być kazał, darmo cudze pióra brać - darmo. Napisano na twarzy - czarne przekleństwo...

I tyje nosisz... dziecko... choć ci je białe ręce ścierały...

Zamilkł chwilę.

- Gdzieżeś bywał, Dżęga? - ozwała się słabym głosem Lenora, patrząc na niego.

Starzec ręką zawalaną przesunął po twarzy i uśmiechał się szydersko, zważając, że unikała go nazywać ojcem, i odparł:

- Ty, panuńku, nie wierzysz sobie, że stary Dżęga i stara Marana twymi rodzicami! nieprawdaż! czemu mi nie powiesz - ojcze?! Mieć w sercu miło by posłyszeć było, że dziecko się do mnie przyznało, choć ono w cienkich szatach, a ja w grubych... Ale tak! gdy kukułka jaje złoży w gnieździe cudzym... ani ta, co je wysiedziała, ani ta, co zniosła, do niego się nie przyznają; tobie kukułką być... bez gniazda...

- A! powiedzże mi! - przerwała gwałtownie Lenora, wyciągając ręce ku niemu. - Ty przecie wierzysz w tego Boga, co nas przeklął, i modlisz się w jedną noc księżycową do niego, choć wiesz, że cię nie wysłucha... Powiedz mi, na imię wielkiego Ducha, zaklinam... jesteś ty ojcem moim?...

Cygan białymi zębami się roześmiał.

- A co by mi było za cudzym chodzić dzieckiem? Czy myślisz, żem ja grosza żądny?... Nie... Dobył z zanadza wór skórzany i na podołek koszuli wysypał parę garści dukatów świecących...

-Jam nie ubogi... Zabiliśmy na węgierskiej granicy kupca... pożywiło się nas trzech na długo, a żyjemy niczym... wiatrem... dymem... i podpłomykiem...

Na te słowa: zabiliśmy! Lenora twarz zakryła.

- Co tobie, dziecko! - śmiejąc się, rzekł Cygan, który złoto przesypał do worka. -Cóż to złego zabić jednego z nich, kiedy oni nas secinami bili! Oni

106

mają wszystko! zapanowali nad światem, nad ziemią, każde drzewo ich, każdy kamień naznaczony, każda kropla wody policzona, a my na ziemi żyć musimy i nie mamy nic. My w wojnie - a gdy na wojnie spotka się żołnierz z żołnierzem, który silniejszy zabije i obedrze... Zabijać oni mnie!

Widząc, że Lenora płakała rzewnie, stary Cygan począł ją po swojemu uspokajać.

-Daj ty pokój tym łzom, ja jego sam nie mordowałem, ino patrzyłem... to mi się część dostała. Ja nie lubię krwi. Zjadłszy jej, jak czosnek człowiek nosi w sobie... ani się zbyć.

- Więc ty... jesteś ojcem moim! - zawołała we łzach. Siostra Felicja podbiegła ku niej, podtrzymując i pocieszając.

- A na cóż by mi było kłamać! - rzekł stary. - Nie wierzysz! ale się w tobie cygańskie odezwie serce... prędzej, później zatęsknisz za stepem, pustynią i włóczęgą... Co wielki Duch kazał, to się spełni... Niech oni kropią wodą swoją, nie zmyją skóry czarnej ani czarnego przekleństwa. Westchnął.

- Pójdiesz i ty w świat! - dodał.

A boby ci nie lepiej było... tu nad tobą królują, tam my sami sobie pany... Ja nie mogę żyć bez gór, jak zejść zimą w dolinę, powędruję po zakopconych mieściskach i nie mogę oddychać ich powietrzem... ale od puchu odwyknąć trzeba, od białego chleba i od wszystkich kajdan ludzkich... my nie ludzie... my Cygany...

Lenora milczała; oczy jej schły spieczone; słuchała tej mowy przerywanej, niewyraźnej, która się w nasze słowa ująć nie daje, dorozumiewała się jej raczej, niż rozumiała...

W duszy biednej istoty rodziła się coraz gwałtowniejsza żądza nawrócenia tego człowieka, zdziecałego wśród cywilizowanego świata, dźwigającego resztki barbarzyństwa odwiecznego, jakiejś innej pierwotnej, niepojętej epoki.

Ojciec i dziecię stali od siebie przedzielnymi latami... ona cierpiała i umysł jej się błakał, gdy spojrzała na tego starca skurczonego na ziemi, który czarne oczy iskrzące topił w niej badające.

- Oni ciebie ubijają - rzekł po chwili - ja widział nieraz chowane niedźwiedzie i wilki... dopóki to młode i koziołki wywraca... to ich bawi, a potem w łeb i na gałąź... Tak i z nami...

Lenora coraz boleśniej cierpiała, męczarnia ta malowała się na jej twarzy; siostra Felicja, litością zdjętą, spojrzała znacząco na Cygana. Ale ten

107

jakby nie rozumiał... iść mu się precz nie chciało od dziecka... patrzył na nie i napatrzeć się nie mógł.

- Ja bym ją i wśród tysiąca poznał - mruzczał - choćby ją nie wiem jak? przebrali. Marana taka była za młodu... i taka, i inna, ale nie wybielili jej tak w zamkniętej izbie... Te same oczy, te same usta... tylko śmielszy wzrok i krzyk. Ciebie nauczyli trwożno patrzeć i połowę bólu chować w sobie... Tamte zabili łotry... Jak się mścić nie mam. Ojca... powiesili... żonę zatłukli... dziad z ran umarł... brat zasieczony... a ja! i mnieć to czeka... i ją.

Siostra błagająco spojrzała...

- My dzieci nie pieścimy - z pogardą odparł Cygan - matka w dymie jej! wędzi i w śniegu kąpie, ojciec ćwiczy... aby się nauczyły cierpieć... U was sztuka wypieścić, aby potem muchy ukąszenie bolało jak rana! Alboż to wy znacie, co życie?

Począł głową kiwać i mruzczył już coraz niewyraźniej.

- Mój ojciec - odezwała się Lenora - jeśli wy mnie cokolwiek kochacie, coś byście dla mnie zrobić powinni.

- Czyja was kocham? Zara! Alboż to ja wiem, czyja kocham was? A za) co bym ja cię kochał? żeś przyłgnęła do tych, co nas smagają? Mnie miło popatrzeć na twarzyczkę twoją i Maranę przypomnieć!

- Nie, nie! - dodał - nie gniewaj się, dziecko, stary się broni, żeby nie kochał, ale kocha... A miłowałby sto razy tyle, żebyś zrzuciła do ostatniego łachmana i poszła z nim...

Lenora przerażona spojrzała na niego.

- Nie! Nie! - rzekł - to już za późno! chyba cię było im z rąk wyrwać, kiedyś była mała - teraz... darmo!

- Jeżeli wy mnie cokolwiek kochacie dla matki... porzućcie tę włóczęgę... bądźcie przy mnie. Cygan zaczął się rzucać, śmiejąc się i na oba przychyłając boki.

- Daj ty mi pokój - cicho! co ci w głowie... ptaka w klatkę posadzić, żeby prędzej zdechł? Wolę pod płotem jak matka, a swobodny... Nie, nie...

- Zostań ze mną... Dżęga głową trząśł.

- Nie, nie!... Przyjdę może; ale sięść! nie! nie! Ani ty mnie, ani ja ciebie nie rozumiem... Ty myślisz: dziki zwierz, ja myślę: wyszana dusza... Nie, nie - ty płaczesz nade mną, ja ciebie żałuję, mnie na uwięzi nie strzy-masz...

Westchnął... zaczął myśleć, podniósł głowę powoli i mówił cicho.

108

- Wejść do miasta, jak w kocioł wrzątku... ludzie kipią... latają, oszukują się, okłamują, a jeden czatuje na drugiego... jak w górach. Tylko tam coś gada do duszy od gór, od chmur, od strumieni, od skał, a ja tu nic nie rozumiem... Ja się wsłucham w borowy szum... długo, zdaje się moim mówi językiem... mój brat... jak po deszczu z iglic polecą potoki z kamieniami... a poczną druzgotać drzewa i wywracać chaty... aż się serce raduje... a tu? ja i mowy nie chwytam. Obwinięta w złote powijacze, kości nie widać...

- Ale by ci spocząć czas, ojciec - odparła Lenora - i byłbyś przy mnie i ze mną, i odtęskniłbyś się za górami, a nawykł tu.

- Oj! nigdy! nigdy! - rzekł Cygan - mnie tu piecze...

I jakby się zląkł, żeby go tu nie zatrzymano gwałtem, potoczył wzrokiem, zerwał się z podłogi, kij wziął, siermięgę na koszulę zarzucił.

- Czas iść! - rzekł - dosyć tego gadania, ty za mną nie chcesz, jaz tobą nie mogę... bywajże zdrowa, dziecino!

- Nie - stanowczo, wyciągając ręce ku niemu zawołała Lenora - nie, ja ciebie nie puszczę, musimy mówić jeszcze... kto wie, co wielki Duch natchnie... Cygan ruszył ramionami.

- On się nie przebłaga, to darmo... - on białe dzieci lubi.

- Przyjdziecie? - natarczywie podchwyciła Lenora.

Stary się zawahał.

- Przyjdę - rzekł - ale mnie tu długo żyć duszno... - Głową skinął i powoli tym samym krokiem, jak wszedł, powłókł się na powrót do drzwi. Lenora jak przykuta pozostała na łożu, płacząc razem z siostrą Felicją.

Cicho powtarzała tylko jakby sama do siebie - ojciec! ojciec!

Po niejakiem czasie otarła oczy i z wolna zapragnęła wstać z łóżka, nie mogąc wytrwać w nieruchomości. Widać było, że ją myśl jakaś gniotła i miotała nią, że z nią walczyła na próżno. Siostra namawiała do spoczynku i skłonić doń nie mogła. Było coś z chorobliwej gorączki w tym ruchu gwałtownym a zdradzającym chwilowo bezsilność.

Po godzinnym prawie bieganiu po pokoju Lenora uklękła się modlić -zanurzyła twarz w dłoniach i pozostała tak długo, ukorzona, płacząca znów. Siostrze Felicji nie pozostawało nic oprócz troskliwego nadzoru nad znękaną...

Gdy wstała, była uśmiechniętą już i spokojniejszą...

- Prawda, siostrzyczko - rzekła łagodnie - że dzieci mają względem rodziców obowiązki, równie jak rodzice dla dzieci?... prawda, że poświę-

109

^

jakby nie rozumiał... iść mu się precz nie chciało od dziecka... patrzył na nie i napatrzeć się nie mógł.

- Ja bym ją i wśród tysiąca poznał - mrucał - choćby ją nie wiem ja! przebrali. Marana taka była za młodu... i taka, i inna, ale nie wybielili je tak w zamkniętej izbie... Te same oczy, te same usta... tylko śmielsz[^] wzrok i krzyk. Ciebie nauczyli trwożno patrzeć i połowę bólu chować sobie... Tamte zabili łotry... Jak się mścić nie mam. Ojca... powiesili... żonę zatłukli... dziad z ran umarł... brat zasieczony... a ja! i mnieć to czeka... i ją.

Siostra błagająco spojrzała...

- My dzieci nie pieścim - z pogardą odparł Cygan - matka w dymie je wędzi i w śniegu kąpie, ojciec ćwiczy... aby się nauczyły cierpieć... U wa sztuka wypieścić, aby potem muchy ukąszenie bolało jak rana! Alboż te wy znacie, co życie?

Począł głową kiwać i mrużyć już coraz niewyraźniej.

- Mój ojciec - odezwała się Lenora - jeśli wy mnie cokolwiek kochacie, coś byście dla mnie zrobić powinni.

- Czyja was kocham? Zara! Alboż to ja wiem, czyja kocham was? A zajj co bym ja cię kochał? żeś przylgnęła do tych, co nas smagają? Mnie miłoj popatrzeć na twarzyczkę twoją i Maranę przypomnieć!

- Nie, nie! - dodał - nie gniewaj się, dziecko, stary się broni, żeby niej kochał, ale kocha... A miłowałby sto razy tyle, żebyś zrzuciła do ostatniego łachmana i poszła z nim...

Lenora przerażona spojrzała na niego.

- Nie! Nie! - rzekł - to już za późno! chyba cię było im z rąk wyrwać, kiedyś była mała - teraz... darmo!

- Jeżeli wy mnie cokolwiek kochacie dla matki... porzućcie tę włóczęgę... bądźcie przy mnie. Cygan począł się rzucać, śmiejąc się i na oba przychyłając boki.

- Daj ty mi pokój - cicho! co ci w głowie... ptaka w klatkę posadzić, żeby prędzej zdechł?

Wolę pod płotem jak matka, a swobodny... Nie, nie...

- Zostań ze mną... Dźęga głową trząśł.

- Nie, nie!... Przyjdę może; ale sięść! nie! nie! Ani ty mnie, ani ja ciebie nie rozumiem... Ty myślisz: dziki zwierz, ja myślę: wyssana dusza... Nie, nie - ty płaczesz nade mną, ja ciebie żałuję, mnie na uwięzi nie strzy-masz...

Westchnął... począł myśleć, podniósł głowę powoli i mówił cicho.

108

nic me

mówi językiem... moj ma... j-^ - wywracać chaty... az się serce raau-KLS^ ObWiniCta W ZIOtL P0WijaCZC' k°ŚC1"

- odparła Lenora - i byłbyś przy mnie i ze je widać...

ci spocząć czas, ojciec-(

mogę... bywajże zdrowa, ^lecmu-

Lenora _ ^ ja

_ Nie-stanowczo, wyciągając ręce ku memu

^ ^^

ciebie nie puszczę, musimy mowie jeszcze... natchnie... Cygan n

powoli tym samym **|»L* Lenorajak W. *«2

razem z siostrą Felicją. - ojciec! ojciec!

łóżka, nie

wlwnym a zdradzającym P,, godzinnym prawie b, eg

wsta,a, by,a -^

109

cenie dla nich przede wszystkim iść musi przed szczęściem, spokojem... i osobistymi marzeniami nadziei?... prawda, siostrzyczko moja, że...

Zamilkła nagle, jakby się zlekła, ażeby jej nie odgadnięto... zamyśliła się, zapłonila, pocałowała Felicję i spytała po chwili:

- Wszak ja już jestem zdrową i silną?...

- Jesteś, kochana Lenoro, na drodze do wyzdrowienia i z pomocą Bożą siłą odzyskasz, ale dziś jeszcze należy się szanować, nie poruszać zbyt mocno ani sercem, ani ciałem... i czekać łaski Bożej...

- Nie poruszać! - zawołała zadumana - a! jak ta rada serdeczna brzmi dziwnie, siostrzyczko moja; nie poruszać się ciałem, to zależy od człowieka - ale sercem?... jestże to w mocy ludzkiej?

- Po trosze - odpowiedziała siostra łagodnie - modlitwa daje ducha
spokój...

- Módlmy się więc, siostrzo moja - rzekła Lenora - moja prośba nie wzięci pewnie ku niebu... ale twoja na skrzydłach zasług i świętości dojdzie tam pewniej; wesprzyj mnie...

Uściskały się ze łzami...

Noc potem spędziła chora we śnie, przerywanym jeszcze przypomnieniami modlitwy.

Nazajutrz pragnienie zdrowia dodało jej siły... wstała rzeświejszą, prawie weselszą a około południa tak krążyła chciwie przy fortepianie swym, iż uzyskała pozwolenie doktora zagrania na nim trochę. W tęsknych jakichś tonach, jakby wspomnieniach śpiewów ludowych... rozlała się dusza spragniona, ze łzami na oczach grała i zakończyła płaczem.

Siostra Felicja znajdowała, że ta gra zbyt mocno na nerwy działała, zamknęła fortepian i schowała kluczyk do kieszeni, Lenora była posłuszna, poszła na łóżko z „Naśladowaniem Chrystusa”, po godzinie wstała do ręcznej roboty, a ku wieczorowi polepszenie zdrowia było widocznym. Z choroby została tylko jakaś gorączkowa żywość i niepokój...

Z polepszenia, o którym się u drzwi od Kasi dowiedział, skorzystał zaraz Zbigniew, który czatował dawno, domagając się, aby go wpuszczono, i wszedł nieśmiały a trwożny. Z dala go zobaczywszy, Lenora podała mu rączkę z uśmiechem.

- Widzisz, mój dobry panie Zbigniewie, że jestem więcej niż konwales-centką, bo prawie zupełnie zdrową - zawołała - to siostra Felicja tylko utrzymuje, iż jeszcze mi coś brak... ale ja się czuję zupełnie dobrze...

I wstała, chwiejąc się nieco na nogach.

110

- No, mów pan, co się z wami dzieje! czy posłuchałeś doktora? czy rozpocząłeś studia?

- Ja? - spytał Zbigniew - ale miałem ja cokolwiek bądź rozpoczynać, o czymkolwiek myśleć, widząc panią cierpiącą i chorą?...

Lenora spojrzała nań z rodzajem współczucia aż do politowania zbliżonym.

- Panie Zbigniewie - rzekła - rozumiem twe dobre serce... ale masz inne i daleko większe a świętsze niż względem mnie obowiązki. Ja dla was jestem cieniem siostry przybranej, a matka!

- Pani - zawołał Zbigniew - pani dla mnie jesteś nie cieniem siostry, ale ideałem dobra, cnoty prześladowanej i piękności.

- Ideałem! - powtórzyła smutnie Lenora - a! kochany panie Zbigniewie, ja już jestem na tym życia szczeblu, z którego ideału nie widać. Są słabe ziemskie istoty... stąpające omackiem z mniej więcej dobrą wolą... nie marz pan o ideałach... myśl o rzeczywistości...

- Możnaż nią wyżyć? - spytał cicho, zbliżając się, Zbigniew - powiedz pani sama, byłoby życie możliwym bez promieni ideału? Kto się może napaść do syta rzeczywistością i położyć

spać... nie jest jeszcze człowiekiem'. Iskierka Boża zdradza się w czci czegoś większego, niżeli świat dać może...

- Ale nie trzeba tej iskry oblekać w znikome ciało - odparła surowo Lenora. - Upokarzasz mnie, strojąc w tę szatę, której ja jestem niewarta...

I rozplakała się cicho.

- A potem - dodała, podnosząc nieco głos - ideał wcieliwszy w człowieka, kiedy się złudzenie rozprysnie, traci się wiarę w ideały same. Dlatego trzeba je zostawić na gwiazdach...

Zbigniew stał milczący, słuchał a patrzył, i dosyć mu było. Z tych ust odebrać chłosty jeszcze się szczęściem zdawało rozgorzałemu chłopcu...

Nagle wstała z łoża Lenora... | - Czy prędko będzie wiosna? - spytała - powiedz mi pan, czy prędko

wiosna będzie?

- Jesteśmy wśród samej najsrozszej zimy - odparł Zbigniew - ale dla czegoż pani mnie pytasz o to?

- Pragnę zieloności, wiosny, ciepła... jestem dziwaczką - odpowiedziała Lenora.

Zbigniew uważał zwrot ten rozmowy za umyślne odciągnięcie jej od

111

pierwszego przedmiotu, a że bałwochwalczo pragnął zastosować się do woli swej pani, milczał, nie wiedząc, co mówić.

Siostra Felicja, świadek tej rozmowy, siedziała w kątku z książką, niekiedy ciekawie spoglądając to na chłopaka, którego cała postawa wyrażała uszanowanie i cześć, to na Lenorę, której twarz uśmiechała się współczuciem czystym, siostrzanym.

Zbigniew począł potem opowiadać o ogólnym usposobieniu umysłów, o życiu ogólnym, o rozkwitających nadziejach... Rozmowa zwróciła się z tego na prześladowania Lenory i głos opinii publicznej w tej sprawie... Ile razy Zbigniew czuła ją i więcej osobistą chciał uczynić, Lenora, przeczuwając ten kierunek, wprowadzała go znów na obojętniejsze jakieś opowiadanie...

Gdy się nieco późno zrobiło... nie uspokojony wcale, nie nasycony... młody chłopak musiał wreszcie odejść, chociaż i widzenie ideału, i posłyszenie dźwięku jej głosu już dlań było szczęściem wielkim; Lenora odprowadziła go do drzwi z życzliwością i uśmiechem weselszym, niż było usposobienie jej duszy - dała mu dobranoc, kazała się kłaniać matce i powróciła do siostry Felicji zamyślona. Już miały po klasztornej i wedle obyczajów szpitala zacząć modlitwy wieczorne, gdy pani Laura, dla której wieczór świata wielkiego dopiero się rozpoczynał, wpadła wystrojona i pachnąca, jadąc na jakiś raut, aby swą protegowaną po drodze ucisnąć. Widząc Lenorę ubraną, stojącą przy łóżku, uderzyła w dłonie i głośno zawołała:

- A! to ślicznie, Lencia zdrowa!... a jak tylko wyzdrowieje tak, że doktor pozwoli wychodzić.,, daję wieczór. Lord się o to doprasza, wszyscy przyjaciele znajomi i nieznajomi błagają... Lencia będzie miała sukces... kolosalny!! >

- Droga pani - całując ją w ramię, odpowiedziała Cyganka - twe dobi serce może go dla mnie pragnąć; ale gdy sobie pomyślisz trochę... uwolnisz mnie biedną od tej teatralnej ekshibicji nieszczęśliwej ofiary prześladowania. Zebrać współczucia, oklasków, obchodzić tryumfy... a! daruj, nie potrafię.

Laura ruszyła ramionami.

- No, no! o tym potem, jeszcze nerwy poruszone... apeluję do uspokojonych, ale się nie wyrzekam... Ciekawość powszechna podbudzona... niesłuchanie... każdy widzieć cię, mówić, zbliżyć się pragnie...

- Pani droga! jak niegdyś pierwszą żyrafę - dodała Lenora - tacy są

ludzie! Pierwszy lepszy Rappo lub Pastrana lepiej ode mnie zaspokoiliby ciekawość.

- No, więc nie mówmy o tym. Przybyłam tylko mego kochanego kotka pocałować, zobaczyć, co się dzieje, uściskać dobrą siostrę Felicję... spytać, czy czego nie potrzeba... oddać ukłon pełen poszanowania od lorda (między nawiasami wszyscy ci go zazdroszcza) i... uciekam... Na wspomnienie lorda zarumieniła się Lenora; a pani Laura to spostrzegła natychmiast i zanotowała po cichu - ale nie dała poznać po sobie.

Pożegnały się. Przyjaciółka siadła do powozu, zaintrygowana rumieńcem i zamyślona dziwnie.

Że mu się mogła podobać! - myślała - to nic dziwnego, każdemu potrafi głowę zawrócić, niewiele jest kobiet podobnych... ale z tego nic być nie może! Lord się z nią przecie nie ożeni... chyba morgantycznie; cóż by powiedziała rodzina, spokrewniona z tyłu królami! Ona ani żoną morga-natyczną, ani kochanką jego nie będzie, nadto jest dumną... a zdaje się, że lord głowę stracił i ona serce stracić gotowa... Pomagać do tego nie godzi się... biednej dziewczyny spokój i przyszłość zawisły od jej znalezienia się... Już i tak gadają...

Ach! i ten biedny blady kochanek w niewatowanym paltocie, który sypiał pod jej drzwiami... biedaczysko! Szczęście, że się zaczyna uczyć medycyny... mówią, że to miłosne zapały ostudza...

Pani Laura, zanadto już długo poświęciwszy się jednemu przedmiotowi, w tej chwili myślą wybiegła w inną stronę i zapomniała o Lenorze, lordzie, Zbigniewie... i niedawnych odwiedzinach. Nieszczęśliwa istota; tyle miała na tej biednej głowie!!

Zima zbliżała się ku końcowi. Lenora przychodziła do zdrowia. Siostra Felicja powróciła do klasztoru... Pani Laura usiłowała na próżno wciągnąć protegowaną w świat wielki...

Wszystkie jej namowy, prośby, gniewy nawet, rozbiły się o wolę niezłomną sieroty, która stanowczo oświadczyła, że znajomości swe chce w małym bardzo kółku ograniczyć. Nie dziwacząc i nie dzicząc się bezpotrzebnie - bywała wprawdzie u pani Laury, ale nie inaczej, jak otrzymawszy od niej najuroczystsze zapewnienie, iż nikt przyjętym nie będzie nad tych, na których się obie wprzódę zgodziły.

Zwykła liczba tych wybranych bardzo była ograniczona; należeli do niej

czcigodny doktor, prawo obywatelstwa mający od niedawna Zbigniew, który się nawet o frak czarny postarał... a niekiedy tak zwany lord... dopraszający się zbyt natrętnie tego szczęścia, zbyt poważnie i na pozór chłodno, aby mu w obawie następstw jakichś pani Laura wzbronić go mogła. Co się tyczy Lenory, ta nie mówiła nic przeciw, ale w zachowaniu się swym z nim była coraz zimniejszą i stosunek ten trzymała z wielkim taktem prawie na tym stopniu, na jakim pierwszego stanął wieczoru. Lord zrozumiał ją snadź dobrze, bo poszanował wolę jej i poufalszego zbliżenia nie zdawał się żądać. Resztę czasu spędzała Lenora u siebie w domu, w kościele, na przechadzce, doskonalać się w muzyce, czytając wiele, myśląc więcej jeszcze. Kasia tylko, która po kwartale pożegnawszy państwo Melchiorostwo, przeszła w usługi pokochanej swej pani, dziwiła się nadzwyczajnie i gorszyła tym niepomaha, iż osoba tak przyzwoita, tak wielkiego świata (jak jej się zdawało niebodze), mogła niemal co kilka dni przyjmować u siebie odartego, brudnego, dzikiego Cygana... który całymi godzinami siedział u niej na ziemi i albo słuchał grającej, albo coś mrucał lub cierpliwie dosyć dawał sobie coś mówić i czytać.

Pocziwa Kasia, szanując tę tajemnicę swej pani, o której nigdy nikomu ani szepnąć nie śmiała, nie pytała jej, co znaczy ten Cygan... przerażający ją... a nie przypuszczała, ażeby mógł być ojcem istoty tak pięknej, tak rozumnej, tak - jak ona mówiła, delikatnej. Słyszała o

tym od Lenory, która się nie wypierała wcale ojca, ale wzięła to za niezrozumiałą fikcję jakąś, nie dającą się rozumem garderobianej wytłumaczyć.

- Jak to może być jej ojciec? - mówiła sobie - rychtyk jakby ktoś powiedział na mnie, że ja hrabianka; kto by temu uwierzył?

Pomimo kilkakrotnych pożegnań Dżęgi, który się ciągle w świat wybierał, Lenora cudem jakimś wstrzymać go potrafiła. Z troskliwością macierzyńską chodziła około tej duszy zdziżalej, najeżonej niezrozumiałymi przesady i tradycjami dziwnymi... milkła, gdy stary zapuścił się w swe szaty i przekleństwa, słuchała go cierpliwie, potem z wolna zwracała rozmowę i wciskała w nią jakąś inną myśl, jakieś pojęcie łagodniejsze, promienistsze, aby z nim starca oswoić. Dżęga nie rozumiał, ilekroć przyszło mówić o człowieku, jakim go nasze społeczeństwo Chrystusową myślą, niedołącznie, ale na wzór wielkiego prototypu stworzyło; słuchał, śmiał się, szydził... wszakże Lenora spodziewała się zawsze, że jakiś prawdy odłamek utkwi w nim, jakieś ziarno padnie w duszy zakątek i wyrośnie.

Po życiu spędzonym na włóczędze i walce z całym światem, sprzysiężonym przeciwko sobie, Cygan pojąć nie mógł obowiązku i możliwości pojednania... Wreszcie wędrowne życie stało się dlań nałogiem, potrzebą, niebezpieczeństwem upajającym wysokim, bez którego się obejść nie mógł... niecierpliwił się spętany niewolą i bezczynnością. A jednak córka zatrzymać go potrafiła. Sam on dziwił się temu. Dniem włóczył się na końskie targi, ku Pradze, mieszał się w tłum, szukał swoich i czasem ich znajdował, siedział w szynkach, słuchając gwaru cizby i lubując w bitwie karczemnej, a wieczorem zachodził do swej Żary, siadał na podłodze i kazał sobie grać lub wyzywał do mówienia.

Bolesna to była rozmowa, bo ją Dżęga przerywał niekiedy tak cynicznymi uwagami, że lice dziewczęcia płonęło. Nie raz, ale niemal co dzień jej powtarzał:

- Co to ty żyjesz jak mniszka? czemu ty chłopców nie bałamucisz i nie obdzierasz? Toż to twoje lata, miałabyś od nich, co byś chciała... bo ładne liczko nie na to ci dała matka, żebyś je zakrywała!... Co ty masz ich żałować!... -1 śmiał się stary... a Lenora spuszczała twarz zapłonioną.

Trudno nawet było od najpospolitszych rzeczy zwrócić Dżęgę do poważniejszej jakiej mowy... Gdy córki, powoli usiłującej go uczyć, słuchał, ziewał, i w końcu czuć było, że myśl uciekała gdzie indziej... a po chwili rwał się wychodzić. Na próżno szukała tej szpary, którą by do jaskini promień słoneczny mógł się wcisnąć. Po wyjściu Dżęgi klękała modlić się i płakać. Ten wysiłek miłości dziecinnej nużył ją, bezskuteczność jego przyprowadzała do rozpacz... ale wytrwać było potrzeba. Cudem niemal nazwać się mogło to, że potrafiła od dnia do dnia najrozmaitszymi prośby, namowami, pochlebstwy, datkami starego przy sobie powstrzymać. Być może, iż zima ostra po części się też do tego przyczyniła; być może, iż porobione w Warszawie znajomości także na to wpływały - dosyć, że Dżęga dotrwał do końca kwietnia. Ale gdy liście poczęły się pokazywać na drzewach, powietrze ocieplało... skowronek zaśpiewał, niebo pojaśniało... lody przeleciały i reszty śniegu stopniały, Cygan już za kij pochwyił i począł rwać się do drogi...

O stosunku córki do ojca, o jego częstych odwiedzinach, oprócz Kasi, nikt prawie nie wiedział. Chociaż Lenora nie byłaby się taila z nimi, wypadek więcej niż rachuba sprawił, iż nigdy nikt nie nadszedł na to, gdy Dżęga poufale na posadzce siadłszy, podparty gawędził z córką, śmiał się z niej, półuchem słuchał, swoje prawił i godziny całe spędzał, ucząc ją

115

114

cygańskich pieśni, które nucił półgłosem, a ona mu potem grała je ułożor misternie.

Dżęga lubił muzykę tę i nią kupić sobie mogła Lenora trochę uwag łaskawsze ucho, gdy potem powoli, z niewyczerpaną cierpliwością nawracać go poczęła...

Jednego wieczoru Kasia postrzegła swą panią niespokojną wielce..^ modliła się długo ze łzami, siadała potem pisać, rozkazawszy jej iść spać..| co dziewczę spełniło z ochotą... Nie wiedziała nawet, kiedy pani świecę zgasiła... ale gdy rano obudziła się, spiesząc do zwykłych zatrudnień, przetrach ją nadzwyczajny ogarnął - pani nie było w pokoju... Dwa listy leżały tylko na stoliku. Kasia umiała czytać, wysylabizowała adres jeden do doktora, drugi do Laury i przerażona, zapłakana, poleciała z nimi... Doktor, odczytawszy list, załamał ręce, stał zadumany, poszedł natychmiast do mieszkania Lenory, aby je wziąć w opiekę, ale Kasia się nic od niego dowiedzieć nie mogła. Gwałtowniejszy skutek wywarło drugie pismo do pani Laury, która płacząc i lamentując, biegła z nim po całym domu... i tu wszakże pocziwa sługa na próżno o kochaną panią pytała, nie odpowiedziano jej nic. Doktor kazał wprawdzie do pewnego czasu pozostać przy mieszkaniu i rzeczach dla nadzoru, ale na nalegania dziewczyny, kiedy jej pani powróci, dlaczego tak ukradkiem wyrwała się z Warszawy, nic odpowiadać nie chciał...

W parę dni dopiero po tym zagadkowym zniknięciu Lenory, które jej przyjaciele trzymali w najgłębszej tajemnicy, nadszedł nieszczęśliwy Zbigniew... Sługa miała sobie za obowiązek nie wyjawiać nic przed nim; powiedziała mu, że pani wyjechała i że się chyba od doktora dowie coś więcej. Poleciał Zbigniew do niego, ale na pierwsze naglące pytanie odebrał tylko suchą odpowiedź, że panna Lenora dla pilnych interesów opuściła Warszawę. Chłopak znał nadto dobrze jej położenie, interesa, myśli, aby go takim ogólnikiem zbyć można. Zdziwiło go to, że wyjazd dla niego był tajemnicą. Wiedział o ojcu, domyślał się dawno i dobażał, że Lenora czuła się w obowiązku wyrwać go z zatracenia; mimowolnie wbił więc sobie w głowę, że gotowa była pójść za niepoprawnym włóczęgą, aby go bronić od jego własnych zachceń i powolnie na inną starać się wywieść drogę.

Ta myśl utkwiała w nim, pozbyć się jej nie mógł; przeraziła go ona przypuszczeniem wszelkich niebezpieczeństw, na jakie Lenora narażoną być mogła... oszalał... W tej chwili obowiązki względem matki, rozpoczęta nauka, niepewność i nieświadomość zupełna miejsca pobytu Lenory,

znikły mu z oczów, serce mu biło natarczywą jedną myślą: Iść za nią, dronić jej! ratować! Z załamanymi rękami, blady, zbliżył się błagając do doktora, przypadając prawie przed nim na kolana.

- Dobroczyńco mój - zawołał - wiem, że opuszczając Warszawę, pisała do ciebie, zaklinam cię, proszę, powiedz mi, gdzie ona jest! Jeśli jej grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, jeśli ja mogę się przydać na co! pozwól mi... spełnić najświętszy z obowiązków...

- Ale ja panu powiadam najuroczyściej, że nie wiem, gdzie jest panna Lenora - rzekł doktor...

- Przecież się ona wytłumaczyła przed panem, w którym miała zaufanie, z tego odjazdu tak nagłego!

- Wytłumaczyła! nie! - odparł doktor - to krok, który nie daje się niczym wytłumaczyć, prócz nadto dobrego serca, a bardzo obalamuconej głowy jakąś dziwną egzaltacją!

- Ona poszła za ojcem!!

Doktor spojrział na niego bacznie i zamilkł.

- Widzisz pan - odparł Zbigniew - że ja potrafiłem odgadnąć jej bohaterstwo! jestem pewien, że przyczynę tę przeczuję, zrozumiał... Nic mi nie pozostaje, tylko iść za nią?

- Dokądże? dokąd? - zapytał doktor, ruszając ramionami.

- Albo ja wiem! dokądkolwiek bądź! szukać jej...

- Wiatru w polu! - przerwał stary - to się nie zdało na nic! Matkę waćpan opuścisz, naukę przewiesz, ucierpisz, zmęczysz się i nic nie zrobisz...

-Matce oddam, co mam... polecę ją... uspokoję, naukę muszę odłożyć... a ratować ją powinienem i tego dopełnię.

- Kochany panie Zbigniewie, jest to na pozór heroizm, ale w istocie bałamuctwo... Młody, oszalałeś za dziewczyną, i nie uczucie obowiązku, ale cię miłość prowadzi...

Zbigniew się zarumienił cały.

- Panie - zawołał gorąco, uderzając się w piersi - ja sam nigdy myśli tej przed sobą wypowiedzieć nie śmiałem! Byłoby zuchwalstwem, abym ja... ja, biedny, ubogi, niegodzien patrzeć na nią, śmiał inaczej kochać tę istotę... tylko jak promieniste bóstwo...

Jeśli ona poświęcić się chciała dla ojca, o czym nie wątpię - to ja obowiązany jestem wszystko rzucić dla niej i lecieć na ratunek... Ona była dla mnie opiekunką, nauczycielką, przewodniczką, wszystkim... byłbym niewdzięcznym, gdybym tu pozostał spokojnie...
Pójdę...

116

117

cygańskich pieśni, które nucił półgłosem, a ona mu potem grała je ułożone misternie. Dżęga lubił muzykę tę i nią kupić sobie mogła Lenora trochę uwagij łaskawsze ucho, gdy potem powoli, z niewyczerpaną cierpliwością, nawracać go poczęła...

Jednego wieczoru Kasia postrzegła swą panią niespokojną wielce.... modliła się długo ze łzami, siadała potem pisać, rozkazawszy jej iść spać... co dziewczę spełniło z ochotą... Nie wiedziała nawet, kiedy pani świecę zgasła... ale gdy rano obudziła się, spiesząc do zwykłych zatrudnień, przestraszył ją nadzwyczajny ogarnął - pani nie było w pokoju... Dwa listy leżały tylko na stoliku. Kasia umiała czytać, wysylabizowała adres jeden do doktora, drugi do Laury i przerażona, zapłakana, poleciała z nimi... Doktor, odczytawszy list, załamał ręce, stał zadumany, poszedł natychmiast do mieszkania Lenory, aby je wziąć w opiekę, ale Kasia się nic od niego dowiedzieć nie mogła. Gwałtowniejszy skutek wywarło drugie pismo do pani Laury, która płacząc i lamentując, biegła z nim po całym domu... i tu wszakże pocziwa służa na próżno o kochaną panią pytała, nie odpowiedziano jej nic. Doktor kazał wprawdzie do pewnego czasu pozostać przy mieszkaniu i rzeczach dla nadzoru, ale na nalegania dziewczyny, kiedy jej pani powróci, dlaczego tak ukradkiem wyrwała się z Warszawy, nie odpowiadać nie chciał...

W parę dni dopiero po tym zagadkowym zniknięciu Lenory, które jej przyjaciele trzymali w najgłębszej tajemnicy, nadszedł nieszczęśliwy Zbigniew... Służa miała sobie za obowiązek nie wyjawiać nic przed nim; powiedziała mu, że pani wyjechała i że się chyba od doktora dowie coś więcej. Poleciał Zbigniew do niego, ale na pierwsze naglące pytanie odebrał tylko suchą odpowiedź, że panna Lenora dla pilnych interesów opuściła Warszawę. Chłopak znał nadto dobrze jej położenie, interesa, myśli, aby go takim ogólnikiem zbyć można. Zdziwiło go to, że wyjazd dla niego był tajemnicą. Wiedział o ojcu, domyślał się dawno i dobażał, że Lenora czuła się w obowiązku wyrwać go z zatrącenia; mimowolnie wbił więc sobie w głowę, że gotowa była pójść za niepoprawnym włóczęgą, aby go bronić od jego własnych zachceń i powolnie na inną starać się wywieść drogę.

Ta myśl utkwiała w nim, pozbyć się jej nie mógł; przeraziła go ona przypuszczeniem wszelkich niebezpieczeństw, na jakie Lenora narażoną być mogła... oszalał... W tej chwili obowiązek względem matki, rozpoczęta nauka, niepewność i nieświadomość zupełna miejsca pobytu Lenory,

116

znikły mu z oczów, serce mu biło natarczywą jedną myślą: Iść za nią, oronić jej! ratować!
Z załamanymi rękami, blady, zbliżył się błagając do doktora, przypadając prawie przed nim na kolana.

- Dobroczyńco mój - zawołał - wiem, że opuszczając Warszawę, pisała do ciebie, zaklinam cię, proszę, powiedz mi, gdzie ona jest! Jeśli jej grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, jeśli ja mogę się przydać na co! pozwól mi... spełnić najświętszy z obowiązków...

- Ale ja panu powiadam najuroczyściej, że nie wiem, gdzie jest panna Lenora - rzekł doktor...

- Przecież się ona wytłumaczyła przed panem, w którym miała zaufanie, z tego odjazdu tak nagłego!

- Wy tłumaczyła! nie! - odparł doktor - to krok, który nie daje się niczym wytłumaczyć, prócz nadto dobrego serca, a bardzo obalamuconej głowy jakąś dziwną egzaltacją!

- Ona poszła za ojcem!!

Doktor spojrział na niego bacznie i zamilkł.

- Widzisz pan - odparł Zbigniew - że ja potrafiłem odgadnąć jej bohaterstwo! jestem pewien, że przyczynę tę przeczuł, zrozumiał... Nic mi nie pozostaje, tylko iść za nią?

- Dokądże? dokąd? - zapytał doktor, ruszając ramionami.

- Albo ja wiem! dokądkolwiek bądź! szukać jej...

- Wiatru w polu! - przerwał stary - to się nie zdało na nic! Matkę waćpan opuścisz, naukę przerwiesz, ucierpisz, zmęczysz się i nic nie zrobisz...

- Matce oddam, co mam... polecę ją... uspokoję, naukę muszę odłożyć... a ratować ją powinienem i tego dopełnię.

- Kochany panie Zbigniewie, jest to na pozór heroizm, ale w istocie bałamuctwo... Młody, oszalałeś za dziewczyną, i nie uczucie obowiązku, ale cię miłość prowadzi...

Zbigniew się zarumienił cały.

- Panie - zawołał gorąco, uderzając się w piersi - ja sam nigdy myśli tej przed sobą wypowiedzieć nie śmiałem! Byłoby zuchwalstwem, abym ja... ja, biedny, ubogi, niegodzien patrzeć na nią, śmiał inaczej kochać tę istotę... tylko jak promieniste bóstwo...

Jeśli ona poświęcić się chciała dla ojca, o czym nie wątpię - to ja obowiązany jestem wszystko rzucić dla niej i lecieć na ratunek... Ona była dla mnie opiekunką, nauczycielką, przewodniczką, wszystkim... byłbym niewdzięcznym, gdybym tu pozostał spokojnie...

Pójdę...

117

Stary doktor popatrzył nań, poszedł do szuflady biurka, dobył z niego list i milcząc, dał mu go do czytania.

Pismo było następującej treści:

„Szanowny panie, ty, coś mi dał tyle dowodów swej przyjaźni, nie potępiaj mnie za krok, który świat nazwie dziwactwem, jeśli weń uwierzy, lub szukać w nim będzie innych pobudek nad te, co mnie do niego skłoniły. Na ziemi całej mam tylko jednego - ojca, nieszczęśliwego tułacza, którego niedola długa zwichnęła; jestem obowiązana wszystko dlań poświęcić. Idę z nim, za nim, dopóki go skłonić nie potrafię do odmiany życia i nie pociągnę za sobą tak, jak dziś on mnie ciągnie uczuciem obowiązku. Czyż wiem, jak, kiedy, a nawet czy powrócę? Weź w opiekę mienie moje i racz je zachować, a jeśliby mi przeznaczonym było - nie zobaczyć was więcej, nie wrócić nigdy, rozporządź tym, co znajdziesz, na rzecz sierot i ubogich, takim losem jak ja dotkniętych. W tym podziale nie zapomnisz poczciwego Zbigniewa i jego matki, Z uczuciem ściskam zacząć dłoń twoją - w Bożych rękach losy nasze - przyszłość ciemna, a co każe sumienie, bądź co bądź, spełnić potrzeba. Żegnaj mi, zacny panie"...

Zbigniew odczytał list cały żywo, szybko, a przekonawszy się, że go nie omyliło przecucie, obawiając się, aby doktor nie odwodził go od postanowienia, które powziął gonić za Lenorą - położył tylko pismo drżącą ręką na stole i skłonił się wzruszony chcąc odchodzić.

- Czekaj pan - zawołał doktor - cóż myślisz? bądź otwartym, naradzmy się.

- Dziś, natychmiast puszczam się w pogoń...

- Nie tak jestem temu przeciwny, jak może sądzisz - rzekł doktor - nie namawiam, bo czuję, że to nie twoja rzecz... Gdyby kto inny... nie mówię. Ale jeśli się już uparł, to powiedz przynajmniej, co myślisz robić? Gonić! nie sztuka wybiec w świat; ależ potrzeba planu, trzeba śladów jakichś... wskazówek...

- Pan mnie nie uznajesz do tego zdolnym? - zapytał Zbigniew.

- Właśnie dlatego, że przedsięwzięsz z gorączką, co należy czynić z rozważą chłodną...

Zbigniewowi oczy zabłyśły żywiej niż zwykle, uderzył się w pierś.

- Znajdę środki... odszukam ślady... wierz mi pan... Chciał już odejść.

- Czekaj jeszcze - przerwał doktor - nie masz grosza przy duszy, matki bez zapasu zostawić niepodobna... pożyczę ci, ile potrzeba.

Młody chłopak się zarumienił, ale na ten raz jako pożyczkę musiał przyjąć ofiarowaną pomoc, która mu przychodziła jak przez Opatrzność zesłana... Doktor wcisnął w rękę papiery dobyte żywo z pugilaesu, a w chwilę potem Zbigniew już biegł ulicą ku Dziekance. Matce nie sposób było się przyznać do zamierzonej pogoni, musiał ją

przed nią utaić; powiedział, że go wysłał doktor za swoim interesem, zostawił część pieniędzy, odebrał paszport i mimo spóźnionej pory, byłby tego samego dnia wyruszył, gdyby miał jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, dokąd mu jechać należało. Toż samo przeczcucie, które mówiło, iż Lenora poszła za ojcem, wskazywało mu Karpaty, jako okolice, w której najprędzej Dżęga się mógł schronić i córkę za sobą pociągnąć. Wieczór jednak poświęcił wywiadywaniu się dość trudnemu i poszukiwaniu śladów Cygana. Pomógł mu do tego towarzysz niegdyś szkolny, zajmujący teraz jakąś maleńką posadę w ratuszu i lepiej nad niego obeznany z ruchem ludności i stosunkami Warszawy.

Przez niego mógł się Zbigniew dowiedzieć o Cyganie jakimś na Pradze, zastępującym miejsce uczeńszego weterynarza, o którym nie wątpił, że z Dżęgą w czasie jego pobytu w Warszawie musiał być znajomy. Cygan, acz przebywający prawie ciągle i kręcący się około końskich targów, i tu wiódł życie koczujące... Nie miał on stałej siedziby, nocowywał po szynkach, we dnie się włóczył, widywano go czasem codziennie w jednym miejscu, potem tygodniami znikał. Na ten raz znalazł się wszakże, zajęty bardzo jakimś podejrzanymi naradami ze starozakonnymi faktorami i handlarzami koni. Był to słynny podrabiacz zębów, odmładzający szkapy cudownie i z bezrejestrowych, starych koni umiejący tworzyć sześćioletnie

i rumaki.

Mały, gruby, czarny Cygan Hurda palił fajeczkę węgierską i wzięwszy się w boki, szeptał to jednemu, to drugiemu izraelicie coś do ucha, przymrużając na przemian oczy, gdy Zbigniew go odciągnął na bok, naprzód ułagodził go miodem, co obudziło w Cyganie podejrzenie, potem przystąpił do rzeczy i zapytał, czy zna Dżęgę?... Hurda mierzył go nieufnymi oczyma, fajkę cmokał, odpowiadać nie chciał, mruzczał, ale gdy się chłopak wygadał, że mu nie o Cygana, a o córkę jego chodziło, upewniwszy się, że to sprawa kobieca, przyznał się, że Dżęgę widywał.

Długo się potrzeba było targować, nim Cygan zdradził Cygana za ów nieszczęsny biały grosz judaszowski, co tak ludzkie psuje serca. Schowawszy do kalety podarek, Hurda napomknął, iż najpewniej udać się musiał ku Galicji i Węgrom, bo on tam szczególnie przebywać nawykł i znał dobrze oba Tatrów stoki... dowodząc garstkem Cyganów, włóczących się

119

118

po jednej i drugiej stronie na przemiany. Radził więc Zbigniewowi udać się do Krakowa, a stamtąd najbliższą drogą ku Tatrom, dopytując się po gospodach, w których Lenora nie mogła przejść nie postrzeżoną, acz -jak domyślał się Hurda, mrugając oczyma - przebrać się pewnie musiała, idąc za ojcem...

Wskazówka niewielkiej była wartości, Cygan dawszy ją, uśmiechał się i siedział, jak gdyby jeszcze co miał na sprzedaż... Wyciągnął jeszcze białego, jak zwał rubla, z kieszeni Zbigniewa, i dopiero wypiwszy miodu, przyznał się szczerze, że Dżęgę idącego z córką widział na Pradze...

-Hej! Ładna to Cyganka! - śmiejąc się, dodał stary-ja bym się sam z nią ożenił... ja jej to mówiłem, ale harda, ani przystępu... a tobie, paniczyku, chyba że głowa świerzbi na karku... inaczej za nimi bym iść nie życzył... Cygany jej nie puszcza, kiedy ojciec odebrał ją, musi pójść za naszego chłopca... i wy jej już mieć nie będziecie...

Wzdrygnął się na tę myśl Zbigniew i nic nie odpowiedziawszy, wstał z za stołu. Którędy poszli - nie chciał czy nie umiał mu powiedzieć Hurda, zapewniał tylko, iż konia i wóz kupić mieli i że Dżęga starą Cyganicę wziął do posługi i twardej roboty, aby córki nie męczyć. Klapnął go po ramieniu napity Cygan na odchodnym, popatrzył w oczy i dodał:

- Darmo, paneńku, buty zedrzą, ja wam mówię, darmo... stary Dżęga mądrzejszy od was... Albo on ją swojemu zaślubi, albo... na Węgry zawiezie i jakiemu grafowi sprzeda, wszak to jego krew... A co jej złego będzie, jak bogaty pan weźmie ją na zamek i ojcu dobrze za nią zapłaci? - Machnął ręką. - Żebym ja taką córkę miał, dalipan bym nie zrobił co innego... Dla Cygana to już za delikatne, bo jakby raz i drugi kijem wyłomotał, toby kości połamał; dziecka na plecach nie dźwignie, zimna nie zniesie, zdechłego mięsa nie będzie jeść... a to u nas wszystko się trafia...

Jeżeli masz dużo, dużo pieniędzy... to jeszcze... a jak mało co... to ty jej nie dostaniesz... darmo się nie puszcza... Ojciec chytry! ja go znam, on raz mając taką lalkę, za lada co nie odda... a ona mu się nie wyprosi ani wy nie wymodlicie... A! no - jak wola!!

Dojeżdżając ku Zakopanemu, gdy w pogodny dzień łańcuch gór oświetlony słońcem zachodu ukaże się przed oczyma podróżnego w całym

swoim majestacie, ze śnieżystymi głowy, z poszarpanymi boki, z iglastymi szczyty, z czarnymi pasami lasów jodłowych, wyglądających jak podarta, opadająca do stóp szata ciemna - mimowolnie uroczysty jakiś smutek duszę ogarnia... Im bliżej ku tej bliźnie po tysiącletniej ranie zadanej ziemi - tym kraj staje się dzikszy, puściejszy, cichszy.

Gdzieniedzie łoże strumienia zasiane kamieniami a wyschłe, i choć wyschłe - groźne, rozdarta ziemia, którą sączy się górski potok, mogący wezbrać co chwila i rozlać na pola, ponad nim obnażone głązy, kupki jodeł, chaty ciemne... zagrody ubogie i gdzieniedzie z gromadki drzew ciemna kościółka wieżyczka wygląda. Czuć, że tu już ludzie dotarli do granicy mieszkalnej, że dalej poza wieś u podnóża Tatrów człowiek wdrapać się tylko może na chwilę i chronić musi przed siłami, które tym światem władną, a których on nie zmoże. Dalej pustyne doliny, cisza... szumią bory, wiatr szekspirowskie odgrywa dramaty, wody mruczą złowrogo... i ledwie postrzeżesz zwierzę... Świat czarów, nie zawładnięty przez człowieka, do którego się on skrada i ucieka; tu leżą legendy, tu mieszka bajka, tu chronią się duchy... tu stare wygnane pieśni drzemią na gałęziach jodłowych...

A mimo tego smutku, który krainę obwiewa - jest ona cudownie piękna, swą wdowią żalobą po życiu, którego nie dopuszczają... kraina to pustelnicza, która chce być martwą... i musi być niegościnną, boby nie była gniazdem natchnień, pieśni, snów i legend czarownych. Broni się ona oblężona przez człowieka - króluje jej tylko Bóg...

U stóp jej wieś zdają się pokornie leżeć, jak u nóg królowej, i z przestrachem patrzeć na nią... Stamtąd lecą burze, leją się wody, spadają skały... dziś świeci się gór onych sznur jak korale krasnych... jutro sino i żalobno na niebie szarzeje... i obwiały go mgły, i porwały chmury, utopił się w obłokach - znikł. Co tam się dzieje z tymi szczyty, w tych dolinach, gdy się one zakryją przed oczyma człowieka, Bóg jeden wie. Czasem nie widać ich długo, aż jednego poranku ów całun porwą wichry, i wstają Tatry obmyte, jasne, wesołe... jakby z wędrówki do niebios wróciły.

W jednej z tych podtatrzańskich wiosek, które żyją nie z ziemi ostygłej, ale z przemysłu różnego i wędrowniej pracy, nad gościńcem, wijącym się obok wyschłego łożyska potoku, który powyrywał pokłady skał jakichś szarych, jakby ręką ruchów w mur regularny poukładanych, stał na wzgó-reczku drewniany kościółek, zbyt może na tę osadę obszerny, ale też kilku sąsiednim służący za parafię... Obok widać było plebanię z ogródkiem, a nad samą

drogą, naprzeciw murowanej figury, w której wyźłobieniu stał posąg Zbawiciela, wznosił się wedle odwiecznego obyczaju szpital... dla

121

120

dziadów i babek kościelnych. Odznaczał go wielki krzyż drewniany u drzwi, a w prawo i w lewo dwa przedwieczne także obrazy wyblakłe... Na jednym z nich artysta wystawił Łazarza na pół nagiego ze związaną głową, któremu rany psy litościwie lizały; na drugim świętego Rocha w pielgrzym-skim stroju, u którego stóp coś na kształt nieboszczyka żółtego niegdyś musiało istnieć, teraz została tylko plama form nieoznaczonych. Szpital zresztą wyglądał wcale porządnie, miał przytykający doń ogródek warzywny i dzielił się sienią na przestrzał otwartą na dwie połowy: męską i żeńską.

Nigdy mu nie zbywało na mieszkańcach, bo gdy jeden dziad zmarł lub babka skończyła życie, natychmiast zjawiali się kandydaci do zajęcia posady, przez fundację któregoś z kolatorów domowych nader korzystnie uposażonej. Wiadomo było powszechnie, iż tu czterem szczęśliwym wybranym działo się dobrze, mieli ordynarię i ogród, chleb, a że przy kościółku bywały odpusty i w kruchcie zajmowali miejsca uprzywilejowane, roboty zaś koło kościoła i posługi było niewiele - trafiało się, iż po zmarłych szpital brał w spadku aż do kilku złotych...

Nieszczęściem, ten dobry byt fatalnie wpływał na charakter mieszkańców szpitala, który dawny proboszcz przezwany był „Gospodą Utrapienia” - z powodu kłótni nieustannych i bijatyki nawet częściej pomiędzy babami i dziadami. Nie było dnia bez hałasu i swaru. Spory sądził organista, sądził proboszcz, czasem arendarz, a nigdy ich radykalnie odsądzić nie było podobna. Skończone wieczorem, odradzały się rano z nową gwałtownością i zawziętością wzrastającą. Wieś nawet brała udział w kłótniach, sympatyzując wedle usposobień z jednym lub z drugim stronnictwem. Proboszcz z tą gospodą utrapienia miał męczarnię nieustanną. Śmierć nawet nie mogła położyć tamy raz zaczepionemu duchowi rozterki, kandydat nowy po kilku dniach, poświęconych obeznaniu się z położeniem, podejmował po nieboszczyku pozostały spadek.

W chwili gdy nam zajrzeć wypada do „Gospody Utrapienia”, była ona zamieszkała przez liczbę zwykłą ubogich. Dwie baby i dwóch dziadów -Dominikowa i Basia składały armię amazonek; niepoczciwie przezwany Hycel i Strzemeczny - drugą. Cała ta ludność szpitalna, mimo nieudolności do pracy i różnych dolegliwości, z których się wylegitymować musiała dla przyjęcia, wyglądała wcale nieźle. Dominikowa podobna była do beczki z otyłością, a do pieczonego jabłka cerą i kolorytem twarzy. Basia była chuda niezmiernie, skóra i kości, ale krzyczała za wszystkich, gdy w pasję wpadła. W pasję zaś wpadała kilka razy na dzień.

Mężczyzna,

122

zwany niefortunnie Hyclem, a w przyzwoitszy sposób Kulasem, chodził o jednej kuli, miał nogę skrzywioną, a mimo to zręczny był i zwinny niezmiernie. Strzemeczny, bodaj czy nie stary żołnierz, który latem i zimą chodził w kozuchu, milczał, nie odzywał się nigdy, ale przyparty do niecierpliwości, bił bez miłosierdzia.

Ze wszystkich on może był najlepszym i jemu też było poruczone moralne zwierzchnictwo nad tą rzecząpospolitą... Dawał rady Kulasowi, babom nigdy... Nienawidziły go, bały się, skarżyły nań bezustannie... i raz mu nawet jakichś grzybów nagotowały niezdrowych; ale Strzemeczny miał swoje sposoby, przechorował się i nie umarł. Od tej pory obudzał jeszcze większy szacunek w płci niewieściej. Miano go za człowieka, który coś zna - za czarownika.

Mieszkańcy wioski, przechodzący tego wieczora przed szpitalem, mogli być wielce zdziwieni fenomenem tak niezwykłym, iżby mu zaledwie wiarę dać można. Przed progiem bowiem

tej „Gospody Utrapienia” stali w jedną kupkę zbici, szepcząc coś po cichu, wszyscy mieszkańcy jej... Dominikowa w chustce białej na głowie, Basia z fartuchem do twarzy podniesionym, Kulas zażywający tabakę z rożka, i nawet Strzemeczny z pochyloną jak do pilnego przysłuchiwania się głową. Rozmowa toczyła się po cichu, tajemniczo...

- Jakby doktor był albo cyrulik - mówiła Basia - może by jego jeszcze oddechali... ale my jemu rady nie damy... Gdzie do Zakopanego po cyrulika! Ksiądz nie ma, pojechał do drugiej wsi z panem Bogiem... organista na łące... a choć my niejedno ziele znamy... ale skąd go tak prędko wziąć... On taki dojdzie... i f,ylko bieda z nieboszczykiem... pochowają...

- Ja bym go była z gościńca nie brała do szpitala... - odparła Dominikowa - a co nam do tego!

- Ta! - rzekł Kulas - a jakby się ksiądz dowiedział... co by było!

- A co by miało być? toć by nie zjadł.

- I kto go wie, co to za jeden - paplała Basia... koszula na nim cienka... bawelniana... twarz biała... odzież miejska...

- Czy co gadał?

- Nie, ino jęczał... Pobity był strasznie... sińców a krwi więcej niż zdrowego ciała... a głować, miły Boże, jakby ją z mózdzierza wyjął...

- Nie chybi to te Cygany, co się tu włóczyły!

- Ano, pewnieć nie kto.

- I musieli go odrzec?

123

- Kulas patrzył przy nim, nawet kaletki nie znalazł...

- Co by mu teraz po kaletce, kiedy lada chwila Bogu ducha odda... Rozmowa, podsycana przedmiotem, dostarczającym obfitego materiału do uwag i domysłów, byłaby pewnie się przeciągnęła długo, gdyby m gościńcu wózek nie zaturkotał.

- Otóż nie chybi, Jegomość jedzie!

- On pewnie...

- Niechże Strzemeczny pójdzie mu odraportuje zaraz, żeby jeszcze biedy nie było - rzekła rozumna Basia - choćby go wydysponował na śmierć.

Milczący Strzemeczny nie lubił, ażeby mu coś radzono lub nakazywano; znajdował, że na własny użytek ma dosyć rozumu, na ten raz jednak zgodził się ze zdaniem Basi i pociągnął ku plebanii, przed którą w istocie wózek się zatrzymał.

Kulas, Dominikowa i Basia pozostali przed szpitalem w oczekiwaniu dalszych wypadków, gdy po krótkiej chwili ksiądz, złożywszy z siebie komżę i stułę, nadszedł niespokojny, prowadził go Strzemeczny już znów po swojemu milczący... Proboszcz był młody jeszcze człowiek, zdrow i silny, o energicznie wyrzeźbionej twarzy i, jak przystało na ojca duchownego górskiej okolicy, zahartowany; pominął kupkę szpitalną, która go pozdrowiła, i co najprędzej wszedł do izby...

Tu na tapczanie, podesłanym słomą i narzuconym grubym prześcieradłem, leżał człowiek - czy trup człowieka, okrwawiony, potłuczony, bezwładny. Zbliżywszy się dopiero, dostrzec było można, iż w piersi tej, okrytej poszarpaną jakby w gwałtownej walce odzieżą, było jeszcze serce... Krew, w części już poprzysychana, okrywała ręce, skronie, broczyła suknie. Twarz była młoda, przystojna, ale znekana, blada i wycieńczona... 2 sukni domyślać się należało, że nieszczęśliwy ów, jeśli nie należał do wyższych, jakże zowią, klas społeczeństwa, nie pochodził też i z ludu. Ręce miał niezapracowane, płeć nie tak ogorzałą, rysy wyszlachetnione prace ducha i spadkiem pokoleń może oderwanych od trudu bezmyślnego... Widocznie nie był to chłopak zamożny, ale musiał, jak teraz się zowie, należeć do inteligencji. Proboszcz po trosze był lekarzem, a namiętnie oddawał się we wszystkich wypadkach obowiązkom miłosierdzia, miał więc pewną wprawę i doświadczenie. Nieraz potłuczonego przywieziono mu górala lub po bójce nieszczęśliwej jaką ofiarę karczemnego

sporu... Kazał natychmiast przynieść ciepłej wody dla obmycia ran, posłał do plebanii po bandażę i szarpie, a sam, nie odchodząc już, z wolna badał

124

znaki życia... Tymczasem Kulas, który się przywłókt, powiedział mu, że kobiety, które chodziły po grzyby, pierwsze dostrzegły zbroczone ciało i dały znać do szpitala; że oni czuli się w obowiązku pobiec na niezbyt odległe miejsce, gdzie ono nad drogą w krzaki zaciągnięte leżało, że pobity człowiek ani słowa już odezwać się nie miał siły, gdy go znaleziono... i - na koniec, że widziano w okolicy włóczącą się bandę Cyganów węgierskich, która wedle wszelkiego podobieństwa musiała popełnić na nieznanym podróżnym morderstwo...

Proboszcz wysłuchał szczegółów z uwagą, pochwalił swoim podkomendnym ich gorliwość, a doczekawszy się wreszcie z plebanii przyborów i chłopaka, rozpoczął opatrywanie ran...

Wszystkie one pochodziły widocznie od tępych narzędzi, obuchów i kijów, parę tylko cięć zdawało się zadanych góralskim toporkiem... Głowa, ramiona, piersi, boki całe były w sińcach i krwawych stłuczeniach... a silne uderzenia w czaszkę musiały spowodować wstrząśnienie nerwów i tę bezwładność chorego. Strzemeczny, który, jako dawny żołnierz, z rannymi nieraz miał do czynienia, i chłopak przybyły pomagali proboszczowi do obmycia i obandażowania nieznanego, który zdawał się rozbudzać, jęczał i coraz wyraźniej dawał życia oznaki.

Proboszcz, troskliwy o pacjenta, kazał go z tapczanem ostrożnie przenieść na probostwo, a sam zaraz posłał po chirurga do Zakopanego. Zdawało mu się, że nim ten przybędzie, zwilżenie ust wodą, trochę ciepłego napoju nie mogło zaszkodzić, a przyczyniłoby się do rozbudzenia życia. Wlano więc w usta ściśnięte kilka łyżek wody, a potem rosołu. W istocie proste środki te zdawały się pomagać nieco tak, że symptomy życia coraz były wyraźniejsze, z czego proboszcz cieszył się niewymownie. Pobity jednak, jęknąwszy, wymówił kilka wyrazów, usypiał znowu. Nad wieczorem nadjechał chirurg, który tu w pustyni u stóp Giewontu zwał się już po prostu panem doktorem, a dla dawnych tradycji fizykiem. Był to człowiek niewielkiej nauki, ale ją zastępowało doświadczenie długie; jał się więc środków, których skuteczność była mu znana... Opatrywanie czaszki przekonało, iż kość nigdzie nie była uszkodzona, ale skóra poprzecinana i wstrząśnienie bardzo możliwe. Wiedział przybyły, po co go wieziono, zabrał więc ze sobą, co wedle wszelkiego podobieństwa posłużyć mu mogło, miał lekarstwa i spędził noc z proboszczem razem przy łóżu chorego.

Młodzieniec ów, w którym doświadczony czytelnik domyślił się już łatwo biednego Zbigniewa, obudzał we wszystkich litość i nadzwyczajne zajęcie; podróżni w tej porze roku wczesnej około Tatrów nie są zjawi-

125

skiem powszednim, nie umiano sobie wytłumaczyć, gdzie i po co zapuścił się biedak sam jeden, bez przewodnika. Gdy się wieść o nim rozniosła po osadach sąsiednich, Żyd arendarz z niedalekiej wioski przypomniał sobie, że młody podróżny, Polak, ale mówiący nie po krakowsku, był u niego przed paru dniami, odpoczywał, a co dziwna rozpytywał o Cyganów i o jakiegoś Dżęgę.

Ale co za stosunek mógł łączyć go z włóczęgami, trudno się było domyśleć. Dżęgę tego i po węgierskiej, i na polskiej stronie znano z dosyć złej strony, jako przywódcę łotrzyków, którzy po gościach dokuczali. Posądzano go o parę zasadzek na pustynnej drodze, wiodącej przez Koś-cielecką Dolinę. Nigdy mu wprawdzie nie dowiedziono niczego, ale obawiano się go powszechnie. Przez niejaki czas nie było go widać, teraz znów i on, i parę gromadek Cyganów zsunęło się z Węgier i koczowało u podnóża Tatrów... To, co dawniej nie zwracało zbyt wiele uwagi, teraz z innej widziane strony, zajmowało... Tu i ówdzie mówiono o Dżędze, przy którym miała być cudnej, nadzwyczajnej piękności cygańska dziewczyna, ubrana wedle ich obyczaju, ale bogato i wytwornie. Mówiono, że to była córka Dżęgi, gdzieś

na Węgrzech wychowana, za którą dwóch Węgrów majątnych latało, a kto ją zobaczył, szalał...

Te i tym podobne historie, z dodatkiem wszystkiego, co ludzka fantazja na najsłabszym rusztowaniu wieszać zwykła, krążyły po wsi, obijały się o probostwo, gdy w parę dni, za staraniem zacnego proboszcza i wprawnego chirurga, nieznajomy począł przychodzić do przytomności, odzyskiwać siły i mowę...

Lekarz zaręczył, że życie już zagrożonym nie jest, ale następstwa ran przewidzieć nie mógł. Umysł zdawał się cierpieć od jakiegoś uszkodzenia wewnętrznego mózgu - symptomata te jednakże z wolna samą siłą młodości zaabsorbowane zostały... Proboszcz nie był natrętnym w początkach i, jakkolwiek ciekaw wielce, wstrzymywał się od pytań; dopiero gdy Zbigniew podniósł się już, oprzytomniawszy zupełnie, łagodnie o stanowisko, stan i przygody badać począł. Wymagał tego porządek sam, bo występku nie można było bezkarnie puścić i należało choćby spróbować jakiegoś sądowego dochodzenia.

Gdy się o tym odezwał ksiądz, Zbigniew zarumienił się mocno i począł go zaklinać na wszystko w świecie, ażeby z tego wypadku nie wysnuwano żadnej sprawy. Pod pieczęcią największej tajemnicy wyznał on proboszczowi jeśli nie całą prawdę, to jakąś jej część, która przygodę mniej więcej tłumaczyć mogła. Przyznawał się, iż gonił za bandą Cyganów, ujęty

126

wdziękami córki starego Dżęgi, że to ściganie ich rozjątrzyło na niego, i ostatecznie po kłótni, do której on dał przyczynę... został tak okropnie pobity... Proboszczowi dało to wcale nieszczególne wyobrażenie o młodym człowieku, w takich stosunkach z Cyganami zostającym. Wiele rzeczy nie rozumiał, wiele znajdował ciemnymi, ale chorego, póki potrzebował spokoju, drażnić nie chciał.

Rzecz w istocie miała się wcale inaczej. Prawdą tylko było, że Zbigniew szedł w ślady Dżęgi, że parę razy się prawie z jego gromadką zetknął, ale Lenory ani starego nie widział. Cyganie mieli swych szpiegów i powody do tego, by ich śledzenie i pogoń nie niepokoiły...

Dowiedziawszy się o młodym człowieku, który włóczył się za nimi, dopytywał, śledził... domyślając się w nim pewno jakiegoś donosiciela, szpiega czy urzędnika, nasadzili nań kilku silnych drabów i wprowadzonego w pustą dolinę, niemal na śmierć pobili... za trupa już rzuciwszy, po odarciu z tego, co miał przy sobie. Zbigniew dlatego nie wyjawiał całej prawdy, iż się lękał ścigania Dżęgi i tym samym Lenory, która z nim razem w ręce sprawiedliwości wpaść mogła. Pomimo to posądzenie na bandę było powszechne, urząd natychmiast w ślad za nią wyprawił... ale się dowiedziano, że już przebrać się na Węgry potrafiła.

Owocem całej podróży Zbigniewa, który Lenorę pragnął ratować, było, że omal życia nie stracił. Wyszedłszy z niebezpieczeństwa jednak, musiał pozostać w gościnnej plebanii, gdyż podróż była dlań niepodobieństwem. Dla proboszcza opatrzniościowy to był i nad wyraz miły towarzysz.

W tym zakątku ciasnym człowiek więcej ukształcony, zmuszony z poczciwym, ale prostym ludem obcować, cały w sobie zamknąć się musi, i wszystkie myśli wznioślejsze go duszą, idee, z którymi się wynurzyć nie może, przygniatają. - Po długim takim milczeniu, rozmyślaniu, gdy się znajdzie ktoś, co zrozumie, z kim myśl i słowo wymienić można, jakie to wielkie szczęście i jaka rozkosz dla ducha! W tym położeniu będący proboszcz przywiązał się niezmiernie do poczciwego Zbigniewa, chociaż litując się nad nim, podejrzewał go z błędnych i niejasnych wnosząc tłumaczeń, o jakieś w życiu zboczenie; ale chrześcijańską miłością ludzkie usterki osłaniał, spodziewając się poprawy. Dziwiło go niezmiernie, iż Zbigniew, na którego padały domysły dziwne konszachtów z Cyganami, we wszystkim innym okazywał mu się najszlachetniejszym młodzieńcem... Ze wszech miar był on dla niego zagadką. Po węgierskiej Tatrów stronie, nie opodal od granicy i od drożyny,

która, mało komu znana, wiodła przesmykami, wąwozami, ponad łoż> skami potoków, krytymi chody, wśród jodłowych gąszczy, w maleńkiej dolinie, zewsząd osłonięcej spadzistymi gór stokami, zębato wystającymi ku niebu... rozbity był mały obóz cygański... Składało go zaledwie osób kilka... Stary Dżęga, który z fajką, oparty na łokciach, leżał na ziemi wyciągnięty, milczący, z dzikim twarzy wyrazem, stara, odarta, chuda, z rozpuszczonymi czarnymi włosy, płachtą obwinięta Cyganka, chłopak na pół nagi, w kuczki siedząc przy wygasłym ognisku, i opodal na kamieniu zamyślona... dziewczyna.

B {

W tej ostatniej najwprawniejsze oko nie byłoby poznało gwiazdy salonów warszawskich. Nowy całkiem strój na sposób cygański, chłód, powietrze, niewygody, niepokój, nie zgasiwszy nadzwyczajnej piękności tego oblicza, zmieniły je i przekształciły, z dosyć oryginalnego w salonie czyniąc zjawisko poetyczne jakieś, dziwne, urocze wdziękiem, który daje cierpienie nad siły, egzaltując do szału...

Tych czarnych oczu dwoje teraz świeciło nie jak dwa diamenty, ale jak dwie nocne pochodnie, które płoną ognia ostatkiem... W poruszeniu ust, zmarszczeniu czoła, znać było walkę żywota jakąś i czuwanie bez końca... Schudła, szerniała, wydawała się zmęczona, ale jak żołnierz w boju, rozgorączkowana zarazem. W tej chwili patrzyła na szczyty gór, na lasy, w dolinę, okiem obojętnym... znękanym... bezmyślnym, znać było, że dusza poszła gdzie indziej. Chłód wieczora dawał się czuć w osłoniętej dolinie... milczącej jak grób... Nawet lasy nie szumiały... Z dala potok jednostajnie, jak zegar pustyni, mrucał, biegnąc po kamieniach... Różowe skał porosty wiały tą dziwną wonią fiołków, która czasem odurza, jak jest silną... a czuć w niej jakby kruszcowego kwiatu zapachy... Mieszały się z nimi jodeł smolne wyziewy i zapach traw, i zgorzelizna ogniska, od którego dym przybity rozpościerał się po łące... Para koni, wyprężonych z wozu pasła się na łące i niekiedy prychnaniem przestraszała... Na niebiosach złościły się chmury od słońca, którego promienie z wolna ze szczytów znikwały. Szafir czystego nieba coraz ciemniał, wieczór nadchodził... Chłopak drzemał skurczony, stara Cyganka znosiła gałęzie, mrużąc... Dżęga zamyślony leżał...

Lenora, którą ojciec Zara nazywał, siedziała chłodem przejęta długo, poczuła dreszcze i wstawszy, poczęła się przechadzać około wozu po dolinie... Osłonięta szeroką pasiastą oponą, która w ciężkich fałdach spadała, strojąc jej postać wysmukłą, wydawała się wśród tych istot zdicza-

łych jak królowa... Ale na twarzy wypiętnowany był smutek niewoli... i doznanego zawodu... Nawykła do innego życia, na próżno z długich pieszczot, nałogów cywilizacji uwolnić się chciała... słabła - czuła się chorą. I teraz po krótkiej przechadzce nogi zdrząły, tak że się o wóz oprzeć musiała. Stała przy nim, zwiesiwszy głowę...

Wóz, który był składem mienia całej gromady, teraz rozproszony w górach i po osadach okolicznych, stał napakowany wszelkiego rodzaju jpem przemysłu cygańskiego. Oczy jej padły na te węzłki dziwne, idzieże podarte, sprzęty niezrozumiałe, żelastwo bez wartości, łachmany bez barwy... Wśród nich nagle zatrzymało się jej wejrzenie, brew zmarszczyła... przestrasz odmalował na twarzy... postrzegła wystający z zawi-i.ięcia okrwawiony, mały, znany sobie dobrze pugilares. Przed kilku laty ma sama dała go ubogiemu chłopcu, włożywszy weń zasilek na drogę dla ego matki. Nie mogła go nie poznać, a poznawszy, nie sięgnąć poń. Wie-iziała wszakże, iż ją stara Cyganka i młody chłopak szpieguje i ze zrzę-łością instynktowną, krwi swej właściwą, zarzucając oponę na ramiona, uchwyciła... z bijącym sercem... tę zagadkową jakąś, jakby przez Opatrzność przed nią rzuconą pamiątkę dni lepszych. Skąd się ona tu wziąć mogła? Zara gubiła się w domysłach - ale pugilares był niechybnie tym >amvm... Zsechł tylko i szerniał obroczoney jakby krwią, której się domy-

""wn eo. odstąpiła natychmiast i szerniał obroczuuy job.uj .

śliła na nim raczej, niż ją poznała... Porwawszy go, odstąpiła natychmiast

----» alft wieczór już coraz

u. _____ zej, niż ją poznała... rw>

od wozu, niecierpliwa była poznać, co zawiera... ale wieczór już coraz opadał na ziemię ciemniejszy, ogień był wygasł i przy nim czytać było niebezpiecznie, schowała więc do jutra... Całą prawie noc niespokojna żyła o pugilaresie, który na piersiach złożyła. Spała snem przerywało wriała się jej jak wiek długą... Osłoniła marzy

kilimek i usnął, cmupan. ^

stara, w kłębek zwinięta, chrapała.

mrzącego strumienia, owego zegara doliny...

Nareszcie gwiazdy pobladły... niebo z wolna zaczęło się rozjaśniać - chmury poróżwiały i przegnane wiatrem, poszły dalej... szczyty gór oblały promienie słońca... Zara mogła wstać... Dolina była oblana rosą ranną... na wyżynach mgły się plątały, czepiając po wierzchołkach lasów... a gdzie doszło słońce, dymiły opary białe... Wszystko spało jeszcze głębokim snem poranku... mogła więc odejść nieco i nie postrzeżona rozerwać pugilares... na którym po dniu czarna krew była widoczniejszą jeszcze... W środku, jakby na potwierdzenie strasznych domysłów, znalazła papiery

129

świadczące, że należał w istocie do Zbigniewa... Ale skąd mógł się dostać do Cyganów? Tę zagadkę wyjaśnił jej brulion listu, przed dniem kilku pisanego, nie dokończonego i włożonego do pugilaresu. List był doktora; uwiadamił go Zbigniew, iż na ostatek ślad gromady cygańskiej, w której Dżęga i Lenora być musieli, wynalazł, cieszył się swoim szczęściem, zbliżeniem do zbiegłej swej pani i nadzieją, że jej być może pomocą... Czytając list, Zara rozplakała się, chwyciła za rozpalone czoło, załamała ręce... i ledwie jęk rozpaczyny mogła na ustach powstrzymać. Ta krew, ten pugilares dowodziły jej aż nadto jawnie, że nieszczęśliwy Zbigniew pochwycony być musiał, odarty, zabity może, przez kogo? Przez tych opryszków bezdusznych, którymi jej ojciec dowodził.

Nogi zdrząły pod nią, zsunęła się na ziemię... Myśl ta, że Zbigniew padł ofiarą dla niej, że matkę opuścił i osierocił, piekła ją jak żelazem rozpalonym... kochała go jak brata... przywykła doń była, jak do istoty wypielegnowanej przez się... Była to dla Lenory największa strata, najboleśniejczy cios, jaki ją mógł dotknąć - a padł z ręki, jeśli nie ojca (i tego pewną być nie mogła) - to przynajmniej jego towarzyszy i za wiedzą wodza, bez którego nic się nie działo...

W osłupieniu łzawym, schowawszy papier i książkę nieszczęsną, pozostała tak zdrętwiała. Co począć było, co począć?!

Siedziała długo w osłupieniu... słońce przez wąwóz między górami wdarło się na dolinę i długą smugą światła błysnęło, oblewając ją... Ogrzana jakby tym promieniem, rozbudziła się ze łzami w oczach... Ten ranek taki pogodny, ta wiosna otaczająca przypomniały jej dawne ranki wiosny przeżyte i życie całe, kołysane dłońmi najserdeczniejszej z matek... pieśczęty losu w dzieciństwie, jakby dlatego dane, aby po nich terazniejszy dramat wydał się straszniejszym jeszcze.

Pusta dolina była obrazem jej życia, wśród którego stał ów obóz cygański o białym dniu, odarty z uroku poezji, z łachmanów okrwawionych i ubogiego wozu złożony... z postacią ojca, do którego stwardniałego serca, duszy skostniałej, nawet pieśczone słowo dziecięcia przemówić nie mogło... Zbigniew, broczący we krwi za to, że chciał jej przyjść w pomoc, zabity i odarty przez współników Dżęgi, jak widmo stał przed nią. Nie ocalała ojca, a winną była jego śmierci... Nie śmiała spytać o niego.

Wśród tego boleściwego zadumania, w którym czuła się ujętą jak w więzieniu, nie znajdując wyjścia nigdzie, rozbudził się Dżęga, i krzyk chłopaka, którego targnął za włosy, aby wstał,

oznajmił, że stary był na nogach. Posłyszała go Lenora i Cyganka śpiąca w wozie; zarżały nawet

•nie, poznając ten głos pański, którego słuchać były nawykły. Chłopak ioczał ogień rozpałać machinalnie. Dżęga obejrzał się, nie widząc córki, i ugo szukał jej oczyma, ale nie zawołał. Dostrzegł ją w dali i poszanował oże smutek, którego się domyślał.

Napił się wódki z flaszki, którą na powrót wetknął do woza, zapalił fajkę powoli począł iść ku Lenorze, która się z miejsca ruszyć nie mogła. Już z tła poznał na jej twarzy wzruszenie i boleść; patrzył na nią, idąc, na statek, zbliżywszy się, w słońcu legł na trawie, obrócił twarz ogorzałą ku

iej i rzekł:

- A co? żal biedaczce ciepłej izby, cienkich sukni i tamtego życia! Jam o vm wiedział, że tak będzie! Chciałaś pójść za ojcem, otóż masz, coś yskała, chłodne noce pod gołym niebem na twardej ziemi. A toć jeszcze eden z tych noclegów, który człowiekowi wspomnieć miło... nie było ani rzaskającego mrozu, ani ulewy, co by do ciała przemoczyła... Ty tego 'ycia nie wytrzymasz, i po co ci się to zdało... Ja to rozumiem... Tobie rzeba żyć, w pałacu, białym chlebem... i na starość zapracować... Ty pojedziesz z Sandorem Palmy...

Lenora spojrziała na ojca groźne..

- Ach! - dodał stary - przewrócona głowo; cóż, chcesz, żeby Sandor się wprzody z tobą ożenił? A na co ci to? czy go twoje oczy nie mocniej wiążą ad głupiej przysięgi, której z nich żaden nie dotrzymuje?... Ale z ciebie zrobili chęścijankę... że teraz nie wiedzieć, jak do rozumu przyprowa-

ić! Wszystko u ciebie grzechem! Śmiej się z tego! Sandor ładny chło-

; TMr,if> Hnhrze zapłaci, boć mi się

dzieć!

piec

zić! Wszystko u ciebie gtzcuciuui ^

iiec... dla ciebie gotów oddać koszulę... i mnie dobrze zapłaci, boć mi się coś za dziecko należy... i tobie u niego będzie dobrze... bylebyś rozum miała. A darmo ci ze mną na słowa się bić - ja nie dam się wziąć! Co ja powiem, musi być! Proszę się dziś ubrać jak najlepiej... bo Sandor przyjedzie, targu dobijemy... Chcesz czy nie chcesz... musisz z nim iść.

- Ojczy! - odparła Zara - czy u was, Cyganów, rodzice dziecko jak konia sprzedają?

- Nie jak konia, ale jak człowieka - zawołał Dżęga. - Niby to gdzie jest inaczej! - Roześmiał się. - Tak samo na tym świecie bogatym i mądrym... tylko to inaczej wygląda... sprzedaje ojciec, matka, krewni i sama dziewczyna siebie...

- A jak ja nie zechcę? - zapytała.

- Wsadzę cię związaną na wóz lub na konia i pojedziesz. Będziesz się złościć... ale ulec musisz, nawykniesz i będzie ci dobrze... Nie sprzedaję cię staremu trupowi. Sandor ładny chłopiec.

131

130

- Aleja nie chcę Sandora...

- Cóż to ja ci królewiczów mam szukać? - rzekł Cygan szyaersko. -Porzucisz go potem i będziesz sama sobie wybierała... ale kiedy cię mam w rękę, byłbym głupi, gdybym cię Cyganowi dał...

Lenora się wstrzęsła cała... postrzegł to ojciec.

- Słońce wysoko - zawołał - idź się ubieraj! idź! - podniósł rękę z nahajką dobytą zza pasa. - Sandor może nadjechać, pójdę sam po niego... nie chcę, by cię tak-żobaczył, jeszcze by mu ochota odeszła...

Z ogniem w oczach, ale z rezygnacją Lenora poszła z wolna ku wozowi... Dżęga, który ją śledził oczyma, nie mógł już odgadnąć, co myślała...

Od kilku godzin uczucie niemocy, rozpacz, żal po Zbigniewie, złamały tak biedną dziewczynę, iż postanowiła korzystać z nastęrczającej się zrzeczności do oswobodzenia. Sandor Palmy, o którym wspomniał Cygan, łatwiejszym był może, niż sądziła, do pokonania od ojca... W czasie pobytu na węgierskiej ziemi u podnóża Karpat spotkali, konno przejeżdżającego majątności swoje, Sandora. Był to młody magnat, wychowany we Francji, od niedawna władający majątkiem, mężczyzna piękny, zdający się wykształconym i mający w sobie coś rycerskiego. Piękna twarz i postawa Lenory zwróciły jego oko, po kilka razy przyjeżdżał do obozu, starał się zbliżyć do niej, ale w obawie, aby nie rozbudzić w nim zbyt żywej namiętności, ukazując mu się z idealniejszej strony, Lenora udawała przed nim prostą Cygankę. Dżęga, wiedząc o bogactwach Palmego, umyślnie go pociągał, powziąwszy myśl sprzedania mu córki. Według jego pojęć, był w najzupełniejszym prawie uczynić z nią, co mu się podobało.

Mimo milczącej i smutnej postawy Lenory, która unikała okiem nawet nań rzucić, Palmy po trzeciej czy czwartej bytności w obozie rozgorzał namiętnością do Cyganki. Chociaż Zara udawała dziką, prostą dziewczynę, zdradzało w niej inny obyczaj wychowanie, ruch, postawa, a nawet białe, delikatne ręce... które Sandor pożerał oczyma. Był on jednym z tych ludzi, co się w rękach kochają. Zakochał się w przypadkiem dojrzałej rączce Lenory. Przyłączyło się do tego młodzieńcze marzenie wychowania tej dzikiej istoty i stworzenia z niej tego ideału wszczepionej cywilizacji na latorośl młodą i silną, jakiej ona sama już nie wydaje. Sandor powiedział sobie, że ją zawiezie do Paryża, że weźmie nauczycieli, że ten diament czarny oszlifuje tak, iżby mógł zdobić królewską koronę. Nie wiedział, nie domyślał się wcale... czym w istocie była Lenora...

Milcząc i patrząc nań, choć dla niego najmniejszego nie powzięła uczu-

132

;ia, Cyganka poznała go instynktem jako szlachetniejszą istotę, zabłąkaną w marzenie...

Rachowała więc teraz na niego, iż odzywając się do serca i szlachetności... odzyska swobodę, którą przez miłość dziecięcia straciła... Posłuszna więc na oko ojcu, poszła ku wozowi, aby się przedziać. Stara

Cyganka pomagała jej skwapliwie, patrząc z rodzajem zazdrości na tę czarodziejską młodości postać... marząc może o jej przyszłości. Dżęga także przywdział kurtę i przybrał poważną minę kupca, który drogi towar ma na zbyciu...

Było już koło południa, gdy wprawne ucho Cygana usłyszało tętent koni i węgierskiego wózka na drożynie, przez wąwóz wiodącej w dolinę. Spojrzał na Lenorę, a spokojna, blada jej twarz snadź go upewniła w posłuszeństwie, bo się wpatrzył w szyję wąwozu i córce dał pokój. Echo gór coraz dobitniej przynosiło stukot kół po kamienistej drożynie, stąpanie koni i brzęk uprzęży. Tuman kurzu, pędzonego lekkim wiatrem, ukazał się w szyi między górami, potem rączce konie i wóz, i dwóch jeźdźców na tęgich wierzchowcach. Jeden z nich, wyjechawszy zaledwie z wąwozu, klasnął na konia i w cwał puścił się ku Cyganom, potem czarnego osadził w miejscu i zeskoczył, rzucając mu cugle na szyję. Był to Sandor Palmy. Młodzieniec był piękny, z oczyma ognistymi, czarnym włosiem, zbudowany jak Antinous, a strój opięty narodowy dodawał mu posągowego wdzięku. Na twarzy wszakże znać było może, iż ta gorąca natura Atyllo-wskiego prawnuka w osłabiającej łaźni stolic europejskich wyszana została; Paryż i Wiedeń zostawiły ślady na obliczu nieco zmęczonym... sarkazm prześliznął się po tych ustach, w oczach błyskało szyderstwo...

Dżęga, pokornie zdjawszy kapelusz, szedł z ręką spuszczoną ku niemu.

- No, a cóż stary? - spytał Sandor, zatrzymując się i patrząc w stronę, gdzie stała Lenora - a cóż dziewczyna się zgadza czy nie?

- Musi! - rzekł Dżęga.
- Ale ja nie chcę łez i płaczów! - przerwał Sandor - to nudne...
- Dżęga ruszył ramionami.
- Ej - rzekł - u nas w miłości łzy nie szkodzą, u was nie wiem!... Jak do ryby pieprzu, tak do miłości łez trzeba.
- Daj mi tam pokój, jeśli dziewczyna się będzie opierała... ja nie chcę...
- Myślę, że nie - zawołał Dżęga - powiem jej dwa słowa...

133

i - Czarna Perłka

- Aleja nie chcę Sandora...
- Cóż to ja ci królewiczów mam szukać? - rzekł Cygan szyaersJco. -Porzucisz go potem i będziesz sama sobie wybierała... aie kiedy cię mam w rękę, byłbym głupi, gdybym cię Cyganowi dał...
- Lenora się wstrzęsła cała... postrzegł to ojciec.
- Słońce wysoko - zawołał - idź się ubieraj! idź! - podniósł rękę z nahajką dobytą z za pasa. - Sandor może nadjechać, pójdę sam po niego... nie chcę, by cię tak-zobaczył, jeszcze by mu ochota odeszła...

Z ogniem w oczach, ale z rezygnacją Lenora poszła z wolna ku wozowi... Dżęga, który ją śledził oczyma, nie mógł już odgadnąć, co myślała...

Od kilku godzin uczucie niemocy, rozpacz, żal po Zbigniewie, złamały tak biedną dziewczynę, iż postanowiła korzystać z nastęrczającej się zrzeczności do oswobodzenia. Sandor Palmy, o którym wspomniał Cygan, łatwiejszym był może, niż sądziła, do pokonania od ojca... W czasie pobytu na węgierskiej ziemi u podnóża Karpat spotkali, konno przejeżdżającego majątności swoje, Sandora. Był to młody magnat, wychowany we Francji, od niedawna władający majątkiem, mężczyzna piękny, zdający się wykształconym i mający w sobie coś rycerskiego. Piękna twarz i postawa Lenory zwróciły jego oko, po kilka razy przyjeżdżał do obozu, starał się zbliżyć do niej, ale w obawie, aby nie rozbudzić w nim zbyt żywej namiętności, ukazując mu się z idealniejszej strony, Lenora udawała przed nim prostą Cygankę. Dżęga, wiedząc o bogactwach Palmego, umyślnie go pociągał, powziawszy myśl sprzedania mu córki. Według jego pojęć, był w najzupełniejszym prawie uczynić z nią, co mu się podobało.

Mimo milczącej i smutnej postawy Lenory, która unikała okiem nawet nań rzucić, Palmy po trzeciej czy czwartej bytności w obozie rozgorzał namiętnością do Cyganki. Chociaż Zara udawała dziką, prostą dziewczynę, zdradzało w niej inny obyczaj wychowanie, ruch, postawa, a nawet białe, delikatne ręce... które Sandor pożerał oczyma. Był on jednym z tych ludzi, co się w rękach kochają. Zakochał się w przypadkiem dojrzonej rączce Lenory. Przyłączyło się do tego młodzieńcze marzenie wychowania tej dzikiej istoty i stworzenia z niej tego ideału wszczepionej cywilizacji na latorośl młodą i silną, jakiej ona sama już nie wydaje. Sandor powiedział sobie, że ją zawiezie do Paryża, że weźmie nauczycieli, że ten diament czarny oszlifuje tak, iżby mógł zdobić królewską koronę. Nie wiedział, nie domyślał się wcale... czym w istocie była Lenora... Milcząc i patrząc nań, choć dla niego najmniejszego nie powzięła uczu-

132

ia, Cyganka poznała go instynktem jako szlachetniejszą istotę, zabłąkaną w marzenie... Rachowała więc teraz na niego, iż odzywając się do serca i szlachetności... odzyska swobodę, którą przez miłość dziecięcia straciła...

Posłuszna więc na oko ojcu, poszła ku wozowi, aby się przedziać. Stara Cyganka pomagała jej skwapliwie, patrząc z rodzajem zazdrości na tę czarodziejską młodości postać... marząc może o jej przyszłości.

Dżęga także przywdział kurtę i przybrał poważną minę kupca, który drogi towar ma na zbyciu...

Było już koło południa, gdy wprawne ucho Cygana usłyszało tętent koni i węgierskiego wózka na drożynie, przez wąwóz wiodącej w dolinę. Spojrzał na Lenorę, a spokojna, blada jej twarz snadź go upewniła w posłuszeństwie, bo się wpatrzył w szyję wężowca i córce dał pokój. Echo gór coraz dobitniej przynosiło stukot kół po kamienistej drożynie, stapanie koni i brzęk uprzęży. Tuman kurzu, pędzonego lekkim wiatrem, ukazał się w szyi między górami, potem ręce konie i wóz, i dwóch jeźdźców na tęgich wierzchowcach. Jeden z nich, wyjechawszy zaledwie z wąwozu, klasnął na konia i w czwał puścił się ku Cyganom, potem czarnego osadził w miejscu i zeskoczył, rzucając mu cugle na szyję. Był to Sandor Palmy. Młodzieniec był piękny, z oczyma ognistymi, czarnym włosom, zbudowany jak Antinous, a strój opięty narodowy dodawał mu posągowego wdzięku. Na twarzy wszakże znać było może, iż ta gorąca natura Atyllo-wskiego prawnika w osłabiającej łaźni stolic europejskich wyszana została; Paryż i Wiedeń zostawiły ślady na obliczu nieco zmęczonym... sarkazm prześliznął się po tych ustach, w oczach błyskało szyderstwo...

Dżęga, pokornie zdjąwszy kapelusz, szedł z ręką spuszczoną ku niemu.

- No, a cóż stary? - spytał Sandor, zatrzymując się i patrząc w stronę, gdzie stała Lenora - a cóż dziewczyna się zgadza czy nie?

- Musi! - rzekł Dżęga.

- Ale ja nie chcę łąz i płaczów! - przerwał Sandor - to nudne... Dżęga ruszył ramionami.

- Ej - rzekł - u nas w miłości łąz nie szkodzą, u was nie wiem!... Jak do ryby pieprzu, tak do miłości łąz trzeba.

- Daj mi tam pokój, jeśli dziewczyna się będzie opierała... ja nie chcę...

- Myślę, że nie - zawołał Dżęga - powiem jej dwa słowa...

7 - Czarna Perła

133

Palmy nie posunął się ani krokiem, dał odejść staremu, który pośpieszył do Lenory, groźnie przemówił do niej, nie otrzymał wprawdzie odpowiedzi, ale nie postyszał też i odmowy... i pospiesznie wrócił do Sandora, wskazując mu ręką córkę...

- Przecież idźcie do niej zagadać... dziewczyna rozmowna... a tylko umieć trzeba usta jej otworzyć...

Palmy korzystał pospiesznie z pozwolenia, poszedł żywo ku Lenorze i zawsze jeszcze sądząc ją Cyganką, powitał z pewnym rodzajem poufałości. Czekano go tu niespodzianie i niepojęte dlań zdziwienie.

W chwili, gdy się zbliżał do niej, miała oczy śmiało po raz pierwszy zwrócone na niego z wyrazem, którego w nich spotkać się nie spodziewał. W tych oczach podniesionych, śmiałych, mówiących nie dziką myślą dziecka pustyni, ale promieniem rozumu, Palmy ujrzał - poznał istotę jakby nową... Lenora, przebrana po cygańsku, wydała mu się Paryżanką... Jeszcze ust nie otwarta... osłupiał. Zdawało mu się, że inna od tamtej pierwszej dziewczyny nieśmiałej, z oczyma spuszczonej - zajęła jej miejsce. Stał...

Lenora miała już cały plan postępowania osnutą; korzystając z chwili zdumienia i zawahania, nim Sandor miał usta otworzyć, odezwała się śmiałym, dźwięcznym, ale powagi pełnym głosem, po francusku:

- Rachuję na uczucie honoru węgierskiego magnata, wszak się na nim nie zawiodę?

Na dźwięk tej mowy Sandor zbladł, strwożony, stanął jak wryty, nie wierzył uszom swoim.

Lenora mówiła dalej:

- Przybyłeś pan dogodzić jakiejś fantazji wielkiego pana, kupując córkę cygańską dla zabawy?... Mogę to panu przebaczyć, bo mnie ocalisz, gdy zechcesz.
Sandor jeszcze się nie zebrał na żadną odpowiedź, ale machinalnie sięgnął do czapeczki, zdjął ją z wielkim uszanowaniem i uklonił się.

- Posłuchaj mnie pan - poczęła Lenora. - O białym dniu, wśród dziewiętnastego wieku, wpadłeś w historię z Tysiąca nocy... Ale są rzeczy prawdziwe a nieprawdopodobne...

- Słucham pani - nieśmiało odparł Sandor.

- Tak, jestem córką Dżęgi - dzieckiem od piersi matki wziętą byłąm na wychowanie przez bezdzietną zasnę, świętą kobietę, która mnie jak własne dziecko ukochała i wychowała jak pańskie dziecię... Moja matka i opiekunka umarła... Ojciec przyszedł; widząc upadek tego człowieka, sama dobrowolnie poszłam za nim w nadziei, że go nawrócę... Oto w kilku słowach historia moja... Widzisz pan, że po jego czynie dzisiejszym musiałam wszelką utracić nadzieję. Nie mam teraz środka uwolnić się z rąk jego, tylko przechodząc w ręce wasze... ale wy bądźcie szlachetni...

- Pani! - zawołał, zapalając się Sandor - życie dam w twej obronie. Nie obwiniaj mnie... Sama piękność twoja mnie pociągnęła, teraz twój los czyni niewolnikiem... Zrobię, co zechcesz...

- Żadnej nie wymagam ofiary, oprócz tej, którą każdy szlachetny człowiek niesie nieszczęśliwej kobiecie. Ten okup, który dasz ojcu, ja ci go mogę powrócić i wrócić. Moja opiekunka zostawiła mi część swojego majątku.

Sandor się oburzył.

- Ale mój cały majątek, jeśli każesz, kładę ci pod stopy, zrobię, co zechcesz...

- Słowo uczciwego człowieka?...

- Słowo węgierskiego szlachcica...

- Jestem duszą i sercem Polką - dodała Cyganka. - Dwa narody te związały dzieje i sympatie, jesteśmy siostrą i bratem... Cyganką krwią, Polką jestem duchem... pomóż mi, zaklinam cię.
Sandor się zbliżył cały rozpromieniony. - Ale czyż pani wątpisz jeszcze, czyż wątpić możesz?...

- Wierzę - odparła Lenora. - Bóg nad nami. Mów z ojcem.

Sandor odwrócił się szybko. Cygan stał nieco opodał, rozmowa była mu niezrozumiała, ale usiłował ją odgadnąć z twarzy, z głosu, z ruchów, i nie rozumiał nic nad to, że jakaś zgoda nastąpić musiała pomiędzy córką a magnatem. Uśmiechał się radośnie, myśląc z zapału, jaki się na twarzy

Sandora malował, korzystać.

Palmy nadto też pośpiesznie, niecierpliwości ukryć nie umiając, zbliżył się ku niemu. Dżęga włożył rękę za pas, czekał.

- No, stary - zawołał Węgier - dobijemy targu.

- Dziewczyna się zgadza? tak! to dobrze. Ale wy, kochany paneńku, nadto z nią zaraz postąpiliście pokornie... Mnie do tego nic... a tak się nie prowadzą kobiety, siedzie wam na karku... Straszyc je trzeba, nie płaszczyc się przed nimi...

A po chwili dodał:

- Musicie dobrze zapłacić; dziewczę, jakiego w całym Peszcie ze świecą nie wyszukacie: gra, śpiewa, chodzi uczono, a gardło wam daję, że jej męska ręka nie dotknęła, bo to harde jak królowna... O! musicie dobrze zapłacić!

135

134

Sandor przez jakieś uczucie wstydu odprowadził w bok Cygana, aby nikczemny ów targ nie obił się o uszy nieszczęśliwej. Miarkując z rozognienia młodego człowieka, któremu pilno

było cudną przygodę doprowadzić do końca, Cygan się począł targować twardo. Sandor milczał ponuro, słuchał, myślał więcej pono o tym, co mu mówiła Lenora, niż o Cyganie, który stał przed nim, nie mogąc go wyrozumieć. Milczenie magnata posłużyło mu, bo Dżęga uląkł się go zrazić i nareszcie postawił żądanie, które jakkolwiek dosyć znaczną wynosiło sumę, mogło wszak być przyjęte. Jako dobry ojciec, Cygan zażądał przy tym, aby Sandor nie bił jego córki i łagodnie się z nią obchodził, nie folgując wszakże zbyt... Dodał, że w posagu jej odda wszystko, co z sobą ma, wychwalając suknie drogie i pokupowane fraszki...

Sandor słuchał ciągle jakby we śnie, rozgorączkowany, by prędzej skończyć, poprowadził do swego wózka Dżęgę i tam ostatecznie z nim wreszcie dobił nieszczęsnego targu.

- Nim ją zabierzesz - odezwał się nareszcie z dziwnym westchnieniem Dżęga - niech no ja z nią pomówię; dam jej jeszcze naukę na drogę...

- Jaka? - groźnie spytał magnat trochę wylękły - ona już należy do mnie, wara obrazić ją słowem nawet!

- O, nie bójciez się, muszę się z nią pożegnać - rzekł stary - to długo nie potrwa, dwa słowa.

Schowwał fajkę do kieszeni i skrobiąc się po siwych kudłach, powlókł powolnym krokiem ku córce, która stała jeszcze w tym miejscu, gdzie ją był Sandor porzucił.

- No - rzekł - wszystko skończone! Nie masz czego płakać. Lepszy cię los spotkał, niż się spodziewałem... Chłopak ładny i, zdaje się, powolny... Nie patrzże tak na mnie straszno, głupia dziewczyno - dodał gniewnie - powinnaś mi dziękować...

Lenora przystąpiła doń powoli.

- Bądź zdrow - rzekła - Bóg ci jak ja przebaczy - bo nie wiedziałeś, coś czynił, a on wiedział, jak mną rozrządzić... Nie lękaj się, wymówek ci czynić nie będę, ale uczyn mi łaskę przy rozstaniu...

-Wszystkie odzienie ci oddaję... bierz - zawołał Cygan, nie rozumiejąc dobrze, o co chodziło.

- Poszłam za tobą - odezwała się - w nadziei, że cię dla mojego Boga nawrócę... Bóg nie przyjął ofiary... ale on cuda czynić mocen; zrób to dla mnie - dodała, zdejmując z szyi krzyżyk złoty, na sznurku jedwabnym zawieszony - uczyn to dla mnie, pozwól, abym ci włożyła ten wizerunek

Boży poświęcony na szyję; to, czego ja nie dokonałam, On cudem uczynić może... przemówi do serca, znajdzie doń drogę, jakiej ja nie potrafiłam wyszukać...

Dżęga patrzył, śmiejąc się.

- Che! che! - zawołał - dobrze! dobrze... będę go nosił na szyi. Ty bo nie wiesz - dodał cicho - ja trzy razy byłem chrzczony! Za każdy raz mi

LeSZ - UUUai v

zapłacili! A co mnie to szkodzi!! Lenorze łzy stanęły w oczach, gdy się pożegnać zbliżyła. -

Dżęga ją po ramieniu uderzył.

- Tylko bez łez - szepnął - tym go nie ujmiesz! kto bierze dziewczynę, chce, by mu było wesoło. Śmiej się... otrzymasz, co zechcesz... Dalipan, chłopiec tęgi i ładny... księżniczka by się go nie powstydziała...

Milcząc już poszła Lenora do wozu pożegnać starą Cyganę, która coś mruknęła niezrozumiałego, śmiejąc się dziko... Sandor czekał na nią przy wózku... Podał jej rękę do wsiadania... chłopak rzucił węzełek z sukniami.

Palmy dosiadł karego.

- Dokąd jechać? - zapytał...

- Przez Kościelisko do Zakopanego! - zawołała, rumieniąc się, płacząca Lenora. Węgier nie spojrzał już nawet na Dżegę, który stał krzesząc spokojnie ognia do zgasłej fajki; konie ruszyły i wózek potoczył się kamienistą drogą między skały nad potokiem.

W chwilę potem Cyganka i chłopak, patrzący za odjeżdżającymi, nie widzieli nic, prócz tumanu białego pyłu, który wiatr gnał w dolinę... Dżega położył się na ziemi i wysypawszy złoto z kieszeni na chustę, począł je liczyć raz jeszcze...

W Dolinie Kościeliskiej, u rozwalin opustoszonych starej karczmy i jakichś budowli, zatrzymał się dopiero wózek... Przez cały czas drogi Palmy jechał to obok Lenory, to za nią, nie śmiąc rozpoczynać rozmowy, bo dziewczę płakało i mówić nie mogło. Czując, że jej strój cygański może zwracać oczy i budzić niepotrzebną ciekawość, Lenora sama poprosiła Sandora, aby pozwolił jej się przebrać. Zabrała węzełek z sukniami i, zakryta ścianą rozwalin, przemieniła ubranie na skromny zwyczajny strój, w którym w Warszawie wyszła z domu.

Gdy się ukazała, zdziwił się Węgier zmienionej zupełnie i jeszcze wy-szlachetnionej postaci.

W wózku jego były zapasy podrózne, ludzie rozpalili ogień pod skałą, Lenora siedła na kamieniu, a Palmy miał się za szczęśliwego, że jej mógł służyć. Trzeba przyznać, że szlachetne uczucie dawało jego obejściu z nią delikatność, na jaką by w jego położeniu mało

137

136

kto mógł się zdobyć. Słowem jednym nie obudził wspomnienia chwili tylko co minionej i przykrej, ani się tłumaczył ze swojego postępowania. Z troskliwością rycerską starał się posługiwać Lenorze i dowiedzieć, czego by po nim wymagała. Nie wątpił wszakże, iż takim postępowaniem serce sobie zaskarbić potrafi. Historia Lenory taka, jaką mu ona opowiedziała, po rozmyśle wydała mu się nadto romantyczną, aby być miała ściśle prawdziwą. Domyślał się w przeszłości innych jakichś przygód, ale to w oczach jego uroku Lenory nie zmniejszyło. Każde jej słowo, dowodzące znajomości świata, ludzi, literatury, sztuki wprawiało go w nowe podziwy i zachwyty. Odgadywał w końcu, że heroina musiała być pewnie artystką jakiegoś teatru... i niepospolitą. Historia wojewodziny nie zdawała mu się możliwą... ale umiejętnie wymyśloną.

- Ha! - mówił sobie w duchu - wszystko to przecie musi się wyjaśnić; to pewna, że nie opuszczę jej, dopóki prawdy nie dośledzę, a dośledziwszy -jak wypadnie postąpić - zobaczymy.

W czasie spoczynku wśród pięknej Doliny Kościeliskiej rozmowa była prawie obojętną. Dopełniając tego, co mu wprzód opowiedziała Lenora, dodała jeszcze słówko o Zbigniewie i pokazała pugilares skrwawiony, prosząc Sandora, aby się mogli dowiedzieć w Zakopanem, czyli tam co o zabitym młodzieńcu nie słyszano.

Sandor zgodził się na to chętnie, a że wieczór się zbliżał i cienie długie zasnuwały uroczą dolinę, wózek zaprzężono, aby dosiąć Zakopanego przed nocą. Ludzie Palmego znali dobrze drogę, zresztą dosyć już, minąwszy dolinę, utartą i niebiedną...

Tak w milczeniu znów dojechali do wioski... Sandor sam zsiadł z konia, aby nocleg przygotować, a że w Zakopanem przebywa zwykle latem dosyć ciekawych gości, łatwo mu było znaleźć chatę czystą i stajenkę dla koni. Wprowadziwszy Lenorę do izby czystościennej i świeżej, której gospodarze przyjęli podróżnych z gościnnością górali, Sandor, nie spoczawszy, poszedł na zwiady... Chociaż w tych wioseczkach podtatrzańskich mało na pozór jest życia i ruchu, wśród samotności i ciszy każda nowa wieść rozbrzmiewa łatwo. Ludzie idący do kościoła, spotykający się na gościńcach, rozpowiadają sobie najmniejszą przygodę, cóż dopiero, gdy się coś niezwykłego przytrafi. W Zakopanem wiedziano już o uratowanym nieznanym, który był w sąsiedniej wiosce na plebanii u księdza. Wprawdzie trudno było

domyśleć się, czy był to ten sam, o którym rozpowiadała mu Lenora, lecz zbliżenie dat czasu, miejsca, rozgłos, iż Cyganie byli sprawcami morderstwa, niezmiernie prawdopodobnym czyniły znalezie-

nie w uratowanym tego, którego ona za zabitego miała. Sandor, chociaż w nim domyślał się kochanka, rywala, choć był już zajęty swoją zdobyczą do szaleństwa, nadto był szlachetnym, żeby śmiało tać przed Lenora, co

posłyszał.

Pośpieszył więc do niej z wieścią pomyślną. Za późno już było dnia tego, by do sąsiedniej wioski pospieszyć. Lenora słabą też miała nadzieję, ażeby Zbigniew mógł być uratowany; dalszą więc podróż odłożono do jutra. Sandor pozostał na straży chaty, w której górale przyjęli na nocleg podróżnych, w podwórku rozłożono się obozem.

Zbigniew był nieco lepiej; starania plebana, młodość, niewykwintne leki wiejskie, które wiele przynajmniej zaszkodzić mu nie mogły, dozwoliły naturze oddziaływać przeciw ranom i stłuczeniom, a gdy raz siły jej działać zaczęły, czas tylko stanowił o wyzdrowieniu. Choć poobwiązywany, wybladły, okryty sińcami, chłopak mógł się w rzadkie dni ciepłe na wiosennym słońcu wygrzewać. Uspokajając matkę, napisał do Warszawy, nie wzmiankując wcale o nieszczęściu. Szerzej doniósł o nim doktorowi, będąc do tego zmuszony stratą papierów i ostatniego grosza. Nie wiedział, co dalej pocznie, chociaż straszliwy ów napad bynajmniej go nie odwiódł od myśli ścigania Lenory... Umysł jego nią tylko był zajęty. Dnia tego właśnie dozwolono mu około południa wyjść przed plebanie, której ganek zwrócony był ku słońcu; siedział na ławce, położywszy głowę na rękach, opartych na poręczu... i patrzył na dalekie pasmo gór, z których ostatnie obłoczki odlatywały, rozpuszczając się w powietrzu, gdy w bramie ukazała się Lenora, a za nią nieodstępny towarzysz, węgierski panicz, w swym malowniczym ubraniu.

Zrazu Zbigniew wziął to za jakiś sen oczów widoku jej spragnionych, ale gdy Lenora żywszym coraz postępując krokiem, ku gankowi zbliżyć się zaczęła i poznawszy już Zbigniewa, wyciągnęła ku niemu ręce - wstał na chwiejących się nogach, pobladł i padł na ławę bezsilny. Widok Lenory byłby może na nim tego nie sprawił wrażenia, ale tajemniczy ten towarzysz jej, w którym się domyślał - któż wie - męża? kochanka? - przybił biednego. Wielkimi oczyma patrzył, nie mogąc się słowem odezwać.

- Panie Zbigniewie, czyś mnie nie poznał?

- A! pani! - zawołał słabym głosem ranny - czyżby to być mogło? Ale!

139

138

kto mógł się zdobyć. Słowem jednym nie obudził wspomnienia chwili tylko co minionej i przykrej, ani się tłumaczył ze swojego postępowania. Z troskliwością rycerską starał się posługiwać Lenorze i dowiedzieć, czego by po nim wymagała. Nie wątpił wszakże, iż takim postępowaniem serce sobie zaskarbić potrafi. Historia Lenory taka, jaką mu ona opowiedziała, po rozmyśle wydała mu się nadto romantyczną, aby być miała ściśle prawdziwą. Domyślał się w przeszłości innych jakichś przygód, ale to w oczach jego uroku Lenory nie zmniejszyło. Każde jej słowo, dowodzące znajomości świata, ludzi, literatury, sztuki wprawiało go w nowe podziwy i zachwyty. Odgadywał w końcu, że heroina musiała być pewnie artystką jakiegoś teatru... i niepospolitą. Historia wojewodziny nie zdawała mu się możliwą... ale umiejętnie wymyśloną.

- Ha! - mówił sobie w duchu - wszystko to przecie musi się wyjaśnić; to pewna, że nie opuszczę jej, dopóki prawdy nie dośledzę, a dośledziwszy - jak wypadnie postąpić - zobaczymy.

W czasie spoczynku wśród pięknej Doliny Kościeliskiej rozmowa była prawie obojętną.

Dopełniając tego, co mu wprzód opowiedziała Lenora, dodała jeszcze słówko o Zbigniewie i

pokazała pugilares skrwawiony, prosząc Sandora, aby się mogli dowiedzieć w Zakopanem, czyli tam co o zabitym młodzieńcu nie słyszano.

Sandor zgodził się na to chętnie, a że wieczór się zbliżał i cienie długie zasnuwały uroczą dolinę, wózek zaprzężono, aby dosiąc Zakopanego przed nocą. Ludzie Palmego znali dobrze drogę, zresztą dosyć już, minawszy dolinę, utartą i niebłądną...

Tak w milczeniu znów dojechali do wioski... Sandor sam zsiadł z konia, aby nocleg przygotować, a że w Zakopanem przebywa zwykle latem dosyć ciekawych gości, łatwo mu było znaleźć chatę czystą i stajenkę dla koni. Wprowadziwszy Lenorę do izby czystościennej i świeżej, której gospodarze przyjęli podróżnych z gościnną górali, Sandor, nie spoczawszy, poszedł na zwiady... Chociaż w tych wioskach podtatrzańskich mało na pozór jest życia i ruchu, wśród samotności i ciszy każda nowa wieść rozbrzmiewa łatwo. Ludzie idący do kościoła, spotykający się na gościńcach, rozpowiadają sobie najmniejszą przygodę, cóż dopiero, gdy się coś niezwykłego przytrafi. W Zakopanem wiedzano już o uratowanym nieznanym, który był w sąsiedniej wiosce na plebanii u księdza. Wprawdzie trudno było domyśleć się, czy był to ten sam, o którym rozpowiadała mu Lenora, lecz zbliżenie dat czasu, miejsca, rozgłos, iż Cyganie byli sprawcami morderstwa, niezmiernie prawdopodobnym czyniły znalezie-

nie w uratowanym tego, którego ona za zabitego miała. Sandor, chociaż w nim domyślał się kochanka, rywala, choć był już zajęty swoją zdobyczą do szaleństwa, nadto był szlachetnym, żeby śmiało tać przed Lenorą, co postyszał.

Pospieszył więc do niej z wieścią pomyślną. Za późno już było dnia tego, by do sąsiedniej wioski pospieszyć. Lenora słabą też miała nadzieję, ażeby Zbigniew mógł być uratowany; dalszą więc podróż odłożono do jutra. Sandor pozostał na straży chaty, w której górale przyjęli na nocleg podróżnych, w podwórku rozłożono się obozem.

Zbigniew był nieco lepiej; starania plebana, młodość, niewykwintne leki wiejskie, które wiele przynajmniej zaszkodzić mu nie mogły, dozwoliły naturze oddziaływać przeciw ranom i stłuczeniom, a gdy raz siły jej działać zaczęły, czas tylko stanowił o wyzdrowieniu. Choć poobwiązywany, wybladły, okryty sińcami, chłopak mógł się w rzadkie dni ciepłe na wiosennym słońcu wygrzewać. Uspokajając matkę, napisał do Warszawy, nie wzmiankując wcale o nieszczęściu. Szerzej doniósł o nim doktorowi, będąc do tego zmuszony stratą papierów i ostatniego grosza. Nie wiedział, co dalej pocznie, chociaż straszliwy ów napad bynajmniej go nie odwiódł od myśli ścigania Lenory... Umysł jego nią tylko był zajęty. Dnia tego właśnie dozwolono mu około południa wyjść przed plebanie, której ganek zwrócony był ku słońcu; siedział na ławce, położywszy głowę na rękach, opartych na poręczach... i patrzył na dalekie pasmo gór, z których ostatnie obłoczki odlatywały, rozpuszczając się w powietrzu, gdy w bramie ukazała się Lenora, a za nią nieodstępny towarzysz, węgierski panicz, w swym malowniczym ubraniu.

Zrazu Zbigniew wziął to za jakiś sen oczów widoku jej spragnionych, ale gdy Lenora żywszym coraz postępując krokiem, ku gankowi zbliżyć się zaczęła i poznawszy już Zbigniewa, wyciągnęła ku niemu ręce - wstał na chwiejących się nogach, pobladł i padł na ławę bezsilny. Widok Lenory byłby może na nim tego nie sprawił wrażenia, ale tajemniczy ten towarzysz jej, w którym się domyślał - któż wie - męża? kochanka? - przybił biednego. Wielkimi oczyma patrzył, nie mogąc się słowem odezwać.

- Panie Zbigniewie, czyś mnie nie poznał?

- A! pani! - zawołał słabym głosem ranny - czyżby to być mogło? Ale!

139

:

się widzieć nie spodziewał... w oczach mi się zaćmiło, nie dowierzałem im...

Lenora, zapomniawszy o towarzyszu, weszła na ganek pospiesznie i poufale siadła przy nim na ławce, wpatrując się w tę twarz, na której malowało się tak dobitnie cierpienie - męczeństwo, które on przeniósł dla niej.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

- Zaczny, poczciwy, dobry przyjacielu mój! powinna bym ręce twe uca łować... tyś o mało życia nie postradał dla mnie - zawołała - ja wie wszystko... ja przyszedłam ci na kolanach podziękować...

Zbigniew się uśmiechnął nieco rozpromieniony, ale wejrzenie padło na urodziwego Węgra i spytał oczyma Lenory - kto by on był. Odgadła myśl jego i skinęła na niewolnika.

- Hrabio Sandor, podaj rękę temu bratu memu po niedoli, powinniście być przyjaciółmi, bo oba serca macie szlachetne. A ty, Zbigniewie, powiedz mu moją historię prawdziwą, całą, bom na czole jego wyczytała niedowiarstwa cień... a nie chcę, by mnie posądzał... Hrabio Sandor... pytaj go... Mnie pozwólcie wejść do plebanii i podziękować gospodarzowi...

Węgier zmierzył oczyma tego, którego za przeciwnika uważał...

- Mów pan - rzekł - nie jestem nieufny, ale żądny jestem wiedzieć dziwne przygody tej kobiety... którą miałem szczęście wydrzeć z rąk brudnych...

- Wszakże ona sama wszystko wam już opowiedzieć musiała - rzekł, podnosząc głowę Zbigniew - swe pochodzenie, przysposobienie przez świętą i złą niewiastę, osierocenie po jej śmierci, i to, co ucierpiała od krewnych, i swe poświęcenie dla ojca... cóż ja tu dodać mogę?

Sandor, zdziwiony wielce zgodnością dwóch powieści, milczał.

- Ale czego ona sama powiedzieć wam nie mogła - dodał Zbigniew - to przymiotów duszy, to skarbów serca, to swojego bohaterstwa, cierpliwości... i cierpienia... Jeśliście na chwilę ją posadzili, szanowny panie, grzech to, bo czystszej istoty nie ma i nie było na świecie.

- A czymże wy dla niej jesteście? - zapytał Palmy.

- Ja jestem robakiem, którego wychowała, ubogim chłopięciem, ratowanym przez nią, jej winienem wszystko i gotowym umrzeć dla niej.

- Ale cóż ją pobudzić mogło rzucić się w tę otchłań cygańską? - spytał Sandor.

- Poświęcenie dla ojca! chciała go nawrócić, sądziła to swym obowiązkiem.

- Cygana? Starego zatwardziałego zbója chcieć na ostatnie lata zrobić uczciwym człowiekiem! - roześmiał się Palmy.

Wierzę, iż taka piękna pani cudów dokazywać może, ale to przechodzi ludzkie siły... sam Bóg pono nie dokáže tego...

Ruszył ramionami, zamyślił się i zwrócił może umyślnie rozmowę.

- A wy co z sobą myślicie? - zapytał.

- Ja? - rzekł Zbigniew - naprzód trzeba, bym mógł myśleć... Do wczoraj jeszcze w potłuczonej głowie snuły mi się gorączkowe widma, nie myśli... a dziś budzę się dopiero do życia... Czy będę żył - któż wie... Cyganie chcieli widocznie, bym nie wstał więcej z tych zarośli, do których mnie, tłukąc, zawlekli... Czuję ciepłą krew, oblewającą mi oczy i twarz... i... potem -
nic...

- Wielu ich było? - spytał Sandor.

- Czterech... Zbliżyłem się śmiało, z zaufaniem szliśmy, prowadząc rozmowę, nie posadziłem o zasadzkę. Obiecywali mnie zaprowadzić do Dżęgi, gdy nagle, odszedłszy ścieżką do gościńca...

Na te słowa weszła Lenora z proboszczem. Węgier wstał na ich przyjęcie, a Zbigniew przestał mówić.

Z rozmowy z plebanem przekonała się Cyganka, że Zbigniewa, którego chciała zaraz zabrać stąd, aby go oddać w ręce biegleszych lekarzy, niepodobna było wieść jeszcze. Stan jego nie dozwalał o tym ani pomyśleć.

Doktor wielce powątpiewał o wyzdrowieniu, lękając się, by jaka choroba nie wywinęła się skutkiem ran i potłuczeń; w każdym razie spokój był dlań pierwszym warunkiem kuracji. Lenorze zaś potrzeba było natychmiast spieszyć do Warszawy, aby wykupić się z tego rodzaju niewoli Sandora, która jej ciążyła, i wyjść z fałszywego położenia.

Węgier, im bardziej się upewniał, że w powieści o przebranej za Cygankę czarodziejce nie było fałszu, tym mocniej ku niej się zapalał. Milczący stał na uboczu, ale w duchu powtarzał sobie, że na krok jej nie odstąpi... Szczęściem miał do tego pozór dobry, bo była samą i potrzebowała opieki... inaczej wstyd by mu było odgrywać rolę natrętnego wierzyciela. Pleban, człowiek surowych obyczajów, mimo pewnych już wiadomości o przygodach osób, które się pod jego dachem zebrały, wcale nierad był tej pannie Cygance, temu magnatowi węgierskiemu, łączącemu się z nią jakimś niesakramentalnym węzłem, Zbigniewowi nawet, który mu gości

140

141

się widzieć nie spodziewał... w oczach mi się zaćmiło, nie dowierzałem im...

Lenora, zapomniawszy o towarzyszu, weszła na ganek pospiesznie i poufale siadła przy nim na ławce, wpatrując się w tę twarz, na której malowało się tak dobitnie cierpienie - męczeństwo, które on przeniósł dla niej.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

- Zaczny, poczciwy, dobry przyjacielu mój! powinna bym ręce twe ucałować... tyś o mało życia nie postradał dla mnie - zawołała - ja wiem wszystko... ja przyszedłam ci na kolanach podziękować...

Zbigniew się uśmiechnął nieco rozpromieniony, ale wejrzenie padło na urodziwego Węgra i spytał oczyma Lenory - kto by on był. Odgadła myśl jego i skinęła na niewolnika.

- Hrabio Sandor, podaj rękę temu bratu memu po niedoli, powinniście być przyjaciółmi, bo oba serca macie szlachetne. A ty, Zbigniewie, powiedz mu moją historię prawdziwą, całą, bom na czole jego wyczytała niedowiarstwa cień... a nie chcę, by mnie posądzał... Hrabio Sandor... pytaj go... Mnie pozwólcie wejść do plebanii i podziękować gospodarzowi...

Węgier zmierzył oczyma tego, którego za przeciwnika uważał...

- Mów pan - rzekł - nie jestem nieufny, ale żądny jestem wiedzieć dziwne przygody tej kobiety... którą miałem szczęście wydrzeć z rąk brudnych...

- Wszakże ona sama wszystko wam już opowiedzieć musiała - rzekł, podnosząc głowę Zbigniew - swe pochodzenie, przysposobienie przez świętą i zasną niewiastę, osierocenie po jej śmierci, i to, co ucierpiała od krewnych, i swe poświęcenie dla ojca... cóż ja tu dodać mogę?

Sandor, zdziwiony wielce zgodnością dwóch powieści, milczał.

- Ale czego ona sama powiedzieć wam nie mogła - dodał Zbigniew - to przymiotów duszy, to skarbów serca, to swojego bohaterstwa, cierpliwości... i cierpienia... Jeśliście na chwilę ją posądzili, szanowny panie, grzech to, bo czystszej istoty nie ma i nie było na świecie.

- A czymże wy dla niej jesteście? - zapytał Palmy.

- Ja jestem robakiem, którego wychowała, ubogim chłopięciem, ratowanym przez nią, jej winieniem wszystko i gotowym umrzeć dla niej.

- Ale cóż ją pobudzić mogło rzucić się w tę otchłań cygańską? - spytał Sandor.

- Poświęcenie dla ojca! chciała go nawrócić, sądziła to swym obowiązkiem.

- Cygana? Starego zatwardziałego zbója chceć na ostatnie lata zrobić uczciwym człowiekiem! - roześmiał się Palmy.

Wierzę, iż taka piękna pani cudów dokazywać może, ale to przechodzi ludzkie siły... sam Bóg pono nie dokaże tego... Ruszył ramionami, zamyślił się i zwrócił może umyślnie rozmowę.

- A wy co z sobą myślicie? - zapytał.

- Ja? - rzekł Zbigniew - naprzód trzeba, bym mógł myśleć... Do wczoraj jeszcze w potłuczonej głowie snuły mi się gorączkowe widma, nie myśli... a dziś budzę się dopiero do życia... Czy będę żył - któż wie... Cyganie chcieli widocznie, bym nie wstał więcej z tych zarośli, do których mnie, tłukąc, zawlekli... Czulem ciepłą krew, oblewającą mi oczy i twarz... i... potem -
nic...

- Wielu ich było? - spytał Sandor.

- Czterech... Zbliżyłem się śmiało, z zaufaniem szliśmy, prowadząc rozmowę, nie posądziłem o zasadzkę. Obiecywali mnie zaprowadzić do Dżegi, gdy nagle, odszedłszy ścieżką do gościńca...

Na te słowa weszła Lenora z proboszczem. Węgier wstał na ich przyjęcie, a Zbigniew przestał mówić.

Z rozmowy z plebanem przekonała się Cyganka, że Zbigniewa, którego chciała zaraz zabrać stąd, aby go oddać w ręce bieglejszych lekarzy, niepodobna było wieść jeszcze. Stan jego nie dozwalał o tym ani pomyśleć.

Doktor wielce powątpiewał o wyzdrowieniu, lękając się, by jaka choroba nie wywinęła się skutkiem ran i potłuczeń; w każdym razie spokój był dlań pierwszym warunkiem kuracji.

Lenorze zaś potrzeba było natychmiast spieszyć do Warszawy, aby wykupić się z tego rodzaju niewoli Sandora, która jej ciążyła, i wyjść z fałszywego położenia.

Węgier, im bardziej się upewniał, że w powieści o przebranej za Cygankę czarodziejce nie było fałszu, tym mocniej ku niej się zapalał. Milczący stał na uboczu, ale w duchu powtarzał sobie, że na krok jej nie odstąpi... Szczęściem miał do tego pozór dobry, bo była samą i potrzebowała opieki... inaczej wstyd by mu było odgrywać rolę natrętnego wierzyciela.

Pleban, człowiek surowych obyczajów, mimo pewnych już wiadomości o przygodach osób, które się pod jego dachem zebrały, wcale nierad był tej pannie Cygance, temu magnatowi węgierskiemu, łączącemu się z nią jakimś niesakramentalnym węzłem, Zbigniewowi nawet, który mu gości

140

141

takich naprowadził. Na wytłumaczenie dlań tak drażliwych stosunków nie starczyła lada powiastka.

Panna, latająca po gościńcach z magnatem węgierskim, oboje piękni i młodzi... nie podobali mu się.

Widać było z jego twarzy posepnej, iż nierad był odwiedzinom na plebanii... Zbigniew, milczący, myślał tylko o tym, jak prędko przyjdzie mu stracić z oczów swój ideał i czy go już kiedy w życiu zobaczy...

Lenora szukała w sobie dosyć sił i odwagi, by coś postanowić.

- Mój ojciec - rzekła wreszcie, wstając z ławy -jakkolwiek przeniesienie dalsze chorego byłoby niemożliwe, zdaje mi się, że o kilkanaście kroków do chaty bez niebezpieczeństwa wziąć byśmy go mogli. W ten sposób uwolnilibyśmy ojca od tego zajazdu i odwiedzin natrętnych... Ja winnam zbyt wiele panu Zbigniewowi, bym go opuścić mogła... zostanę przy nim, ucząc się być siostrą miłosierdzia. Zacny hrabia Sandor nie odmówi mi z listem moim pojechać do Warszawy...

- Pojechać do Warszawy? - spytał Węgier - jakaż potrzeba tej podróży?

Lenora zarumieniła się...

- Potrzebuję dać wiedzieć o sobie moim przyjaciółom... a może, szlachetny hrabio, skłonicie doktora S., by tu do mnie przybyć raczył... Nareszcie... - Umilkła wstydzając się dokończyć.

- Nie wątp, pani, że pojedę, dokąd rozkażesz... ale jestże potrzeba tego istotna? List zrobi to, co ja... a stracisz pani stróża, który ci być może potrzebnym. - Uśmiechnął się.

-Jeśli zaś - dodał - bytność moja jest dla niej niewygodną, zbyt dużą... uciążliwą... wróć do Węgier...

Spojrzał na nią błagającymi oczyma, w których było tyle żalu, próśby i wymówki, iż Lenora się zarumieniła i podała mu rękę...

- Nie gniewaj się pan na mnie... Zrobisz, co uznasz właściwym, ufam panu. Najpierwszą jednak rzeczą jest, byśmy księdza proboszcza uwolnili od załogi... i postarali się o pomieszczenie dla mego obrońcy...

Proboszcz w istocie sam nie wiedział, co odpowiedzieć; do swego pacjenta wielce się przywiązał, a tolerować nie mógł przy nim panny, która nie była ani siostrą, ani krewną i w dodatku miała jeszcze z sobą towarzysza nie wylegitymowanego, a widocznie desperacko zakochanego, co mu aż nadto z oczu patrzyło. Wybierając z dwojga, wołał już ksiądz rzec się opieki nad chorym, niż to towarzystwo, przypominające mu w młodości czytanego Idziego Blasa z Santylany, przyjmować dobrodusznie

142

na probostwie. Milcząco więc przyjął przemówienie Lenory, skłonił się i nic nie powiedziawszy, znikł.

Lenora, pożegnawszy chwilowo Zbigniewa, sama pobiegła szukać dlań chaty wygodnej, a Sandor czuł się w obowiązku jej towarzyszyć...

Poczta z tego zakątka odchodziła raz na tydzień tylko; był więc czas przygotować listy do Warszawy do doktora z opowiedzeniem całej przygody i zaklęciem najsilniejszym, aby z powagą swego wieku i powołania na ratunek przyjeżdżał.

Z tego wszystkiego, co się działo, hrabia Palmy powoli przychodził do coraz mocniejszego przekonania, iż Lenora była w istocie tą istotą, jaką mu się w pierwszej chwili przedstawiła. Jej los, położenie, urok twarzy, umysłu, serca, co dzień czyniły na nim potężniejsze wrażenie. Nie wiedział jeszcze, jak wyjdzie z przygody, ale wcale nie pragnął, ażeby się skończyła... nie chciał się rozstać z powieścią fantastyczną, którą rozpoczął jako młody szaleniec, a kończył niemal jako poeta...

Zbigniewa na noszach powoli, przy dozorze Lenory, przeniesiono do przygotowanej izby, Sandor ofiarował się czuwać przy nim. Drugą obok zajęła dla siebie Zara... Chirurg zamówiony co dzień miał do opatrywania ran przyjeżdżać. Nie zbywało też na dozorze czułym, bo Lenora nie wahała się z odwagą czystego serca całe niemal dni przy chorym w towarzystwie nieodstępnego Sandora przepędzać.

Tu dopiero mógł się Sandor przekonać, że ta, której ukształcenie zdawało się może zrazu błyskotliwym pozorem, była w istocie jedną z tych rzadkich, wybranych niewiast, stworzonych na udreczenie człowieka, bo po nich inne wszystkie wydają się ułomnymi i niedołącznymi. Każdego dnia odkrywał w niej nowy promień, nową jasność, talent nowy lub cnotę.

Wszystko to wytryskało tak z samej natury jej, tak było nacechowane prawdą, że gdy najczęściej przedłużone obcowanie z innymi rozczarowało i ostudza, bo odkrywa, co było pożyczanym i fałszywym, tu każdy dzień uwielbienie powiększało. Z boleścią wyznać przed sobą musiał wychowaniec Wiednia i Paryża, że ani nauką, ani pracą nie dościgał jej... i często za nią dolecieć na wyżyny nie zdołał.

W dzień niedzielny, przy niesporach, choć z wielkim wstrętem i obawą księdza plebana, Lenora wprosiła się na chór do organu, który jakimś szczęściem, mimo skromnych rozmiarów, jeszcze był strojny...

Jakież było podziwienie i księdza, i organisty, i słuchaczy, gdy z tego umęczonego instrumentu, który pod ręką niewprawnego swego władcy

143

wydawał niesforne akordy, popłynęła rzeka tonów czystych, harmonijnych, słodczy pełnych i związanych tak umiejętnie, iż się zdawały splecionym wieńcem anielskich pieśni. Proboszcz nie miał tej muzyce nic do zarzucenia, prócz że pochłaniała ustną modlitwę, zjadała myśl i zmieniała ją w uczucie, pod tą postacią eteryczną niosąc ją przed tron Boży...

Sandor wyszedł z tych niesporów zadumany, poruszony, przejęty. Muzyka, która zwykle mówi do człowieka, o co on ją pyta, odpowiedziała mu, że nie był godnym tej, spod której rąk płynęła. Organista, upokorzony wielce, utrzymywał sam jeden, że to nie była kanoniczna i ortodoksyjna muzyka, ale świeckie madrygały, które Panu Bogu wstrętne być musia-

ty-
Tak upływały dnie w chacie góralskiej, przeistoczonej na gospodę. Nawet podejrzliwy proboszcz, bliżej się przypatrzywszy Lenorze, pomówiwszy z nią, poczynił uprzedzeń się swych pozbywać, chociaż mu Węgier ów i przyjaciel w jej towarzystwie zawsze byli nie do smaku. Jednego przynajmniej z nich rad był z nią ożenić, aby mieć głowę spokojną. Przed ludźmi nawet mówił, że to byli bliscy krewni, obawiając się zgorzenia w poczciwej swej gromadce.

- Sandor jednego z ludzi swych wysłał tymczasem na Węgry po rozmaite dla wygody potrzebne przedmioty, których w okolicy dostać nie było można. Przywieziono całe dwa wozy dywanów, krzesel, książek, kuchennych przyborów i zapasów, tak że owa chata zmieniła się w bardzo wygodne i ładne schronienie. Zbigniewowi jednak cała ta około niego troskliwość zdawała się nie iść ni na korzyść, ni na zdrowie. Smutny był, milczący i stan jego, zamiast się stopniowo polepszać, niemal pogarszać się zaczął. Najtkliwsze starania nie nie pomagały. Serce cierpiało, a boleść jego wstrzymywała to dzieło uzdrowienia, które tak szczęśliwie zdawało się poczętym. Po całych dniach, sparty na rękach, słuchał z pewnym wyrazem tęsknoty i trwożliwości rozmów, opowiadań, drobnych sporów pomiędzy Sandorem a Lenorą i nie mieszał się do niczego. Był przekonany coraz bardziej, że Węgier kochał się w niej i że być musiał kochanym. Chociaż nigdy nie miał nadziei, a przynajmniej nie przyznawał się do niej, nie mógł zwyciężyć smutku, jaki to w nim zrodziło.

Wśród tego dziwnego życia jednego ranka nadbiegła poczta i z wózka wysiadł doktor. Porzucił on swych chorych, życie, do którego był nawykł, i spieszył na zawołanie Lenory. Zobaczywszy go przez okno chaty, wybiegła naprzeciw niego właśnie w chwili, gdy warkocz czarnych włosów nie

144

spleciony jeszcze miała zgarnąć, cała oblana tymi kruczymi włosami, zarumieniona od radości, witając go jak zbawcę i ciągnąc do siebie.

Poczciwy przyjaciel uśmiechał się milczący i usiłował przybrać ton żartobliwy, aby rozrzewnienia, którego doznał, nie okazać.

- Niech się panna Lenora kończy ubierać, a mnie naprzód wykomen-deruje do chorego... Po to ja tu jestem, abym się na coś przydał. Kto wie, jak go mój kolega tutejszy leczył.

Lenora wskazała mu ręką na chatę, przed którą stał Sandor, wpatrzony w jej krucze warkocze i kibić dziewiczą... Węgier domyślił się doktora, o którym się wiele nasłuchał, i sam mu się przedstawił.

- Chodź pan - rzekł - chory jest tutaj, wszyscyśmy czekali z upragnieniem jego przybycia... Zbigniew o kuli dowlókl się do drzwi... ale spojrzenie nań nie pocieszyło gościa. Był to cień człowieka, w którym dogorywała młodość, niekiedy błyskając rumieńcem przedśmiertnym, to znów przygasając na dnie całe. Doktorowi dość było rzutu oka wprawnego, ażeby dostrzec, że uzdrowienia nadzieja była mała lub żadna. Potłuczone piersi, pogruchothane kości, wstrząśnienie ogólne, może niema rozpacz jakaś dobijała Zbigniewa. Uśmiechnął się podnosząc niebieskie oczy ku doktorowi, podał mu rękę wychudłą i ze spalonych warg ledwie mógł słaby głos wydobyć.

Po kilku wymienionych słowach doktor wziął się do opatrywania chorego; nie powiedział nic, ale znalazł go gorzej, niżby był być powinien.

- Panie Zbigniewie - rzekł - mógłbyś być zdrow, gdybyś chciał.

- Jak to, konsyliarzu?

- Musisz się czymś gryźć, musisz sobie czymś szkodzić; młodość już cię była powinna uleczyć... a ty mi cherlasz., jeszcze... Będę gderał...

- Czy mógłbym przejechać do Warszawy? Doktor głową potrząsł.

- Poczekawszy - rzekł - nie teraz...

W chwilę potem nadbiegła Lenora. Weszła, bo miała to przekonanie, że doktor był wszechmocnym; osmutniała jego twarz nic jej pocieszającego nie powiedziała. Wyszli z nim razem na ganek.

- Jak pan znajdujesz Zbigniewa? - spytała.

- Niedobrze - odparł doktor - rany. by go same nie zabiły, ale jest coś, co im pomaga.

Chłopiec się zagryzać musi, zazdrosny może... o Węgra... Nie wiem, czym zgadł, ale tak mi się to przedstawiło w pierwszej chwili, a ja wierzę w pierwsze wrażenie.

- Nie może być zazdrosny - odpowiedziała Lenora - bo tego uczucia, które zazdrość rodzi, nie było w nim... Staralam się o to, aby go nie obudzić, i ufam, że Zbigniew miał tylko dla mnie trochę wdzięczności i szacunku.

- A ja sądzę, że się od dawna kochał szalenie - przerwał doktor. - Bądź co bądź, trzeba na to coś radzić, bo chłopak jest bardzo źle, a szkoda by go było.

- Drogi przyjacielu! - zawołała Lenora - zrób, co jest w mocy ludzkiej... ja bym go nie przeżyła!

Stary spojrział na nią: była spokojną i twarz jej nie oblokła się nawet rumieńcem.

- Tak, kochany doktorze - dodała Lenora - z tego uczucia macierzyńskiego, siostrzanego, jakie mam dla niego, ani przed tobą, ani sama przed sobą wytłumaczyć się nie potrafię...

Kocham go jak brata, stworzyłam sobie w nim rodzinę, której mi brakło... On mi poświęcił życie... jeśli jest ratunek jaki...

- Jeden tylko - zawołał uśmiechając się doktor - jeden.

- Jaki?...

Stary się zawahał.

- Niech mu się szczęście uśmiechnie... któż wie, może go to ocalić. Lenorze łza zakręciła się w oku.

- Jest moim przyjacielem - rzekła - nie mam dla ciebie nic skrytego... chodź, oddalmy się, odłonię ci serce moje. Omyliłeś się, jeśliś sądził, że go kocham... To nie jest uczucie, które by miłością nazwać się mogło. Nie; Zbigniewa nawykłam prawie uważać za dziecię moje. Między nim a mną był stosunek, z którego nigdy czulsze się nie rodzi uczucie... Pamiętam go nieokrzesanym, biednym chłopięciem... czuję się silniejszą nadeń... a tam, gdzie niewiasta jest panią, nie ma dla niej i nie może być szczęścia. Nie wiem, czyś mnie zrozumiał.

- Najzupełniej - odpowiedział doktor - a mimo to powtarzam, jeśli chcesz życie jego ocalić, daj mu nadzieję szczęścia...

- Doktorze, to znaczy: skłam! - zawołała Lenora - to znaczy: powiedz, że kochasz, gdy serce twe chłodne... ja tego uczynić nie mogę.

Gość zamilkł. - Stanie się więc, co Bóg naznaczy - rzekł po chwili - nie mówmy o tym.

- Uważam cię za ojca - dodała Lenora - nie wymagaj spowiedzi, bo z uczuć spowiedź według mnie jest świętokradztwem; uczucia winny się kryć w poświęconej arce, w głębi przybytku... Powiem ci tylko... kocham innego...

To mówiąc, oddaliła się spieszenie ku chatce swojej, a doktor wszedł na powrót do pacjenta, który w oknie siedział milczący, osłupiały, z oczyma na góry sine skierowanymi bezmyślnie.

- Wiesz - począł z cicha do niego - że mi cię szczerze żal... Nawykłem patrzeć na cierpienie, na śmierć, na boleść... ale gdy w sile wieku młody daje się śmierci nie broniąc, złożony broń,

bez ochoty do życia... jak ty... panie Zbigniewie, któremu jeszcze cały świat stoi otworem... dziwi mnie to i smuci. To istne samobójstwo, które bądź co bądź, zawsze jest dowodem tchórzostwa, a w obliczu Boga i bliźnich zbrodnią wielką, nie do przebaczenia... Bo przecież nie dla siebie tylko żyjemy; każdy ma jakieś obowiązki do spełnienia, których porzucać mu nie wolno... a twoją matką, panie Zbigniewie? Zbigniew głowę odwrócił; rumieniec poczynął się rozlewać po bladej twarzy.

- Dać ci lekarstwo - mówił doktor - na co się to zda, kiedy ja czuję, że ty zobojeźniały, zastygły... chcesz umierać.

- Ja? doktorze...

- Ale tak jest! - mówił stary - chcesz umierać z niedorzecznej fantazji, gdy mógłbyś żyć chwalebnie i pożytecznie. Lękasz się cierpienia i chciałbyś uciec przed nim... zapewne to bardzo wygodne, ale wcale nie zaszczytnie. Cóż wart taki człowiek? Tyle co żołnierz, który ucieka z pola

bitwy. Zbigniew westchnął...

- Proszę kochanego konsyliarza - zawołał silniejszym nieco głosem -dlaczegoż mnie obwiniasz... gdy choroba moja jest skutkiem... przypadku?

- Tak, ale kuracji tego nieszczęsnego wypadku lepiej od lekarza mógłbyś dopomóc, gdybyś chciał żyć!

- Ale cóż doktorowi dało tę myśl, że ja żyć nie chcę!

- Ta myśl wryta jest na twoim czole - rzekł lekarz - nie możesz jej ukryć przede mną... Smuci mnie ona szczególnie dlatego, że miałem lepsze wyobrażenie o tobie, a teraz poznaję, że się omyliłem.

Doktor widocznie zamiast lekarstwa używał ambicji jako pobudzającego środka, bo wiedział on dobrze, iż w duszy młodego człowieka, gdy już nic rozgrzać nie potrafi, środek ten nieraz działa najskuteczniej. Mówił

dalej: - Nie chcę dobadywać się przyczyn, które tę apatię w tobie zrodziły,

147

panie Zbigniewie, chociaż mnie, staremu doktorowi, wolno by było odgadnąć je, odsłonić i po ojcowsku za nie połajać. Zbigniew się żywo poruszył... czuł się odgadniętym, wstyd mu było...

- Toż samo, co cię pchnęło w pogoń za panną Lenorą, co było przyczyną tych ran i wypadku, dzisiaj zrodziło zwątpienie i zobojeźnienie dla życia. Pozwól sobie powiedzieć, że pojmując miłość młodzieńczą, choć doktorem jestem, nigdy jej tak prozaicznie nie wyobrażałem sobie, ażeby pragnęła koniecznie być zaspokojoną brutalnie lub skazywała na śmierć. Miłość, jak ja ją stary rozumiem, choćby była bez nadziei, winna do życia budzić, a nie zniechęcać do niego. Nie jestże szczęściem widzieć istotę ukochaną, służyć jej z zaparciem się i z dala po cichu uwielbiać? Może to pojęcia mojego wieku... ale uczciwą miłość, w której nie ma egoizmu, taką sobie przedstawiam.

Zbigniew coraz bardziej był pomieszany.

- Szanowny konsyliarzu, budujesz przypuszczenia, do których ja, nie rozumiem prawdziwie, jak mogłem dać powód? czym?

- Doktor musi być jasnowidzącym...

- I może się mylić.

- Może, to prawda! Zobaczmy więc jutro, pojutrze, czy kochasz matkę szczerze, a pannę Lenorę tak, jak powinienes ją kochać... czystym sercem wdzięcznego wychowanka. Zresztą - dorzucił doktor, wstając - kto ma życie, ma wszystko. Dzieją się cuda... spodziewać się można zawsze... póki w piersi tchnienie... póki w sercu bicie.

Na tym przerwana została rozmowa... a że doktor po raz pierwszy oglądał podtatrzańską okolicę, wyszedł przysłuchiwać się łańcuchowi gór i studiować florę i fizjonomię kraju dla siebie nowego.

Nadto miał wszakże na myśli i sercu, ażeby z wielką uwagą badaniom się tym poddać; los Zbigniewa i ostatnie słowa Lenory zajmowały go najmocniej. To - kocham innego! - tkwiło mu w umyśle nierozwiązane dlań i niezrozumiałe. Byłże ktoś zupełnie nieznaną czy wreszcie ów wdzięczny i zręczny magnat węgierski, czy lord, o którego zajęciu się Lenorą w całej mówiono Warszawie. Odgadnąć było trudno, pytać niegrzecznie... a stary wszakże był ciekawym człowiekiem, który to serce mógł pozyskać.

Dumał tak chodząc po trawniku i przypatrując się uroczemu obrazowi łańcucha gór w oddaleniu, gdy Lenorą wyszła z chaty, ubrana całkiem czarno, tak jak wówczas chodzili wszyscy, z wyrazem twarzy poważnym, ale spokojnym. Zbliżyła się do herboryzującego, dotknęła jego ramienia i powitała go uśmiechem.

148

- Prawda - rzekła - że te Alpy nasze cudnie są piękne w swym majestacie grozy i milczenia, z mieniącym się licem, po którym przechodzą rumieńce i śmiertelna błądź. Gdybyś je mógł widzieć jak ja... w tajemniczych ich wnętrzach... jakżebyś ukochał tę naturę górską, ten skamieniały dramat, ten świat cudów smutnych... w których kontemplacji dusza się oczyszcza i podnosi. Widziane z dala te góry mogą zachwycić, poznane z bliska muszą obudzić miłość. Gdybyś poszedł do Strążysk, na Kościelisko, do Morskiego Oka, wdrapał się na szczyty, okiem przemierzył przepaście, dusza by ci się otwarła nowym zmysłem straconym, miłości natury... W mieście ten zmysł się traci.

- A raz stracony się nie odzyskuje - dodał doktor - dla mnie jeszcze miłość nauki byłaby przeszkodą do pochwycenia strony poetycznej Karpat... widziałbym w nich studium do analizy, nie obraz... Z twoją młodą duszą...

- Młodą - przerwała smutnie Lenorą - nie jest już ona młodą... cierpienie zmarszczki na niej wyrzyło... przekwitła młodość na zawsze... a kielich życia zamknięty...

- Dla ciebie - zawołał doktor - dla ciebie?

- Tak, dla mnie - odparła Zara - nie łudzę się wcale. To, co Pismo powiada, że dzieci noszą na sobie grzechy ojców, jest prawdą, jak wszystko, co ono głosi. Grzechów tych żadna nie zetrze pokuta... Jestem Cyganką, jestem córką włóczęgi, w którym niedola zatarła szlachetniejsze instynkta i powinnam pokutować za winy pokoleń mi nie znanych...

Fatalizm...

- Nie - odparł doktor - wiek nasz stał te piętna średniowieczne z wyklętych rodów.

- W teorii, ale w życiu są niezmasane... Dlatego - dodała Lenorą - postanowienie moje niezmiennie: usunąć się od czynnego w życiu udziału, wstać co najprędzej od biesiady żywota i... zniknąć...

- A miłość, o której wspomniałaś mi? - zagadnął poufnie doktor.

Lenorą się zarumieniła.

- Ona pójdzie ze mną! - szepnęła cicho - ale ani ten, co ją natchnął, ani nikt w świecie wiedzieć o niej nie będzie. Nie chcę nikomu przynieść do domu hańby mego pochodzenia, wstydu za krew moją, przekleństw, co ciąży nad tajemniczym ludem mych braci.

- Cicho! cicho! - przerwał stary - to są młode marzenia... o których ja mówić nie pozwalam. Zbigniewowi dałem dobrą naukę, która mu pewnie posłuży... albo... już

149

panie Zbigniewie, chociaż mnie, staremu doktorowi, wolno by było odgadnąć je, odsłonić i po ojcowsku za nie połajać. Zbigniew się żywo poruszył... czuł się odgadniętym, wstyd mu było...

- Toż samo, co cię pchnęło w pogoń za panną Lenorą, co było przyczyną tych ran i wypadku, dzisiaj zrodziło zwątpienie i zubożenie dla życia. Pozwól sobie powiedzieć, że pojmując miłość młodzieńczą, choć doktorem jestem, nigdy jej tak prozaicznie nie wyobrażałem sobie, ażeby pragnęła koniecznie być zaspokojoną brutalnie lub skazywała na śmierć. Miłość, jak ja ją stary rozumiem, choćby była bez nadziei, winna do życia budzić, a nie zniechęcać do niego. Nie jestże szczęściem widzieć istotę ukochaną, służyć jej z zaparciem się i z dala po cichu uwielbiać? Może to pojęcia mojego wieku... ale uczciwą miłość, w której nie ma egoizmu, taką sobie przedstawiam.

Zbigniew coraz bardziej był pomieszany.

- Szanowny konsyliarzu, budujesz przypuszczenia, do których ja, nie rozumiem prawdziwie, jak mogłem dać powód? czym?

- Doktor musi być jasnowidzącym...

- I może się mylić.

- Może, to prawda! Zobaczmy więc jutro, pojutrze, czy kochasz matkę szczerze, a pannę Lenorę tak, jak powinienes ją kochać... czystym sercem wdzięcznego wychowawca. Zresztą - dorzucił doktor, wstając - kto ma życie, ma wszystko. Dzieją się cuda... spodziewać się można zawsze... póki w piersi tchnienie... póki w sercu bicie.

Na tym przerwana została rozmowa... a że doktor po raz pierwszy oglądał podtatrzańską okolicę, wyszedł przypatrywać się łańcuchowi gór i studiować florę i fizjonomię kraju dla siebie nowego.

Nadto miał wszakże na myśli i sercu, ażeby z wielką uwagą badaniom się tym poddać; los Zbigniewa i ostatnie słowa Lenory zajmowały go najmocniej. To - kocham innego! - tkwiło mu w umyśle nierozwiązane dlań i niezrozumiałe. Byłże ktoś zupełnie nieznanym czy wreszcie ów wdzięczny i zręczny magnat węgierski, czy lord, o którego zajęciu się Lenorą w całej mówiono Warszawie. Odgadnąć było trudno, pytać niegrzecznie... a stary wszakże był ciekawym człowieka, który to serce mógł pozyskać.

Dumał tak chodząc po trawniku i przypatrując się uroczemu obrazowi łańcucha gór w oddaleniu, gdy Lenorą wyszła z chaty, ubrana całkiem czarno, tak jak wówczas chodzili wszyscy, z wyrazem twarzy poważnym, ale spokojnym. Zbliżyła się do herboryzującego, dotknęła jego ramienia i powitała go uśmiechem.

148

- Prawda - rzekła - że te Alpy nasze cudnie są piękne w swym majestacie grozy i milczenia, z mieniącym się licem, po którym przechodzą rumieńce i śmiertelna bledność. Gdybyś je mógł widzieć jak ja... w tajemniczych ich wnętrzach... jakżebyś ukochał tę naturę górską, ten skamieniały dramat, ten świat cudów smutnych... w których kontemplacji dusza się oczyszcza i podnosi. Widziane z dala te góry mogą zachwycić, poznane z bliska muszą obudzić miłość. Gdybyś poszedł do Strążysk, na Kościelisko, do Morskiego Oka, wdrapał się na szczyty, okiem przemierzył przepaście, dusza by ci się otwarła nowym zmysłem straconym, miłości natury... W mieście ten zmysł się traci.

- A raz stracony się nie odzyskuje - dodał doktor - dla mnie jeszcze miłość nauki byłaby przeszkodą do pochycenia strony poetycznej Karpat... widziałbym w nich studium do analizy, nie obraz... Z twoją młodą duszą...

- Młodą - przerwała smutnie Lenorą - nie jest już ona młodą... cierpienie zmarszczki na niej wyrzyło... przekwitła młodość na zawsze... a kielich życia zamknięty...

- Dla ciebie - zawołał doktor - dla ciebie?

- Tak, dla mnie - odparła Zara - nie łudzę się wcale. To, co Pismo powiada, że dzieci noszą na sobie grzechy ojców, jest prawdą, jak wszystko, co ono głosi. Grzechów tych żadna nie zetrze pokuta... Jestem Cyganką, jestem córką włóczęgi, w którym niedola zatarła szlachetniejsze instynkta i powinnam pokutować za winy pokoleń mi nie znanych...

Fatalizm...

- Nie - odparł doktor - wiek nasz starł te piętna średniowieczne z wyklętych rodów.

- W teorii, ale w życiu są niezmasowane... Dlatego - dodała Lenora - postanowienie moje niezmiennie: usunąć się od czynnego w życiu udziału, wstać co najprędzej od biesiady żywota i... zniknąć...

- A miłość, o której wspomniałaś mi? - zagadnął poufnie doktor.

Lenora się zarumieniła.

- Ona pójdzie ze mną! - szepnęła cicho - ale ani ten, co ją natchnął, ani nikt w świecie wiedzieć o niej nie będzie. Nie chcę nikomu przynieść do domu hańby mego pochodzenia, wstydu za krew moją, przekleństw, co ciężą nad tajemniczym ludem mych braci.

- Cicho! cicho! - przerwał stary - to są młode marzenia... o których ja mówić nie pozwałam. Zbigniewowi dałem dobrą naukę, która mu pewnie posłuży... albo... już 149

nie go wskrzesić nie potrafi. To się da widzieć wkrótce... Ja sądzę, że odżyje...

Teraz chodźmy do niego i bądźmy na upartego weseli... z musu. Nakazuję to, jako receptę... Pani Laura, która się ubierała przed zwierciadłem z tym staraniem, jakie niepiękne i niemłode panie poświęcają naprawie tego, co nieubłagany czas co dzień psuje i niszczy, oddaną była właśnie misternemu ułożeniu włosów tak, aby zmarszczki czoła i otoczenia oczów nieco pozakrywały, gdy służąca położyła list przed nią. List był wcale nie pożądanym, bo odrywał od zajęcia, które z pewną logiką się odbywało, którego przerywać się nie godziło; spojrzawszy okiem niechętnym Laura, bo niestety, co do ciekawości była córką Ewy nieodrodną, a spojrzawszy, krzyknęła i porwała się, zapominając o włosach i o zmarszczkach...

- Stefcu! Stefcu! - zawołała, rozrywając kopertę i chciwymi polykając oczyma maleńki bilecik - Stefcu, wszak to nasza Lenora, heroina, powróciła... Doktor ją przywiózł! Dziś jeszcze będziemy ją widziały... Nie, ja nie wytrzymam... ubiorę się naprędce... ubieraj się ty co żywo... pójdziemy do niej. Już z listów doktora wiem, że ta kochana moja... przeżyła niesłychane przygody... jedzie podobno za nią magnat węgierski... a tu mój lord wzdycha i chudnie, co dzień się dopytując... Słowem... że awantury... tysiąc nocy...

Stefcia! ja już jestem gotowa! Gdzie mój szal? szukaj rękawiczek! Ska-ranie Boże, iż zawsze wszystkiego szukać potrzeba... życie upływa na gubieniu i mozolnym znajdowaniu...

Flakonik? zobacz, gdzie flakonik... parasolik? patrzcie! nie ma już i parasolika...

Tak latając, krzątając się, gderząc, śmiejąc się, pani Laura ledwie poprawiwszy coś około twarzy, już pobiegła na schody, nie patrząc, czy Stefcia idzie za nią... śmiała się sama do siebie... śpiewała, a wyszedłszy na trotuar, rozpoczęła wojnę z przechodniemi, którzy posadzić mogli, widząc ją tak lecącą spiesznie, iż się gdzieś palić musi.

Paliło się istotnie w głowie pani Laury nieustannie... i wiek nawet ognia tego przygasić w niej nie mógł. W pałacu Zamoyskich, do którego dążyła, od wczorajszego dnia, wszystko było w nadzwyczajnym ruchu. Kasia biegła rozpromieniona... Pan Zygmunt Haraburda cieszył się z powrotu ideału, a nawet Roman Junosza przeglądał się w zwierciadle na intencję

150

pięknej panny. Od razu brzmiał Erard pod palcami spragnionej muzyki Cyganki, której z oczów lały się strumieniem łzy, pamięci dni szczęśliwszych poświęcone. Każda z tych melodii przywodziła jej wspomnienie jakiejś chwili, jakiegoś uczucia, straconej nadziei, przeżytego złudzenia...

Niech wam będzie na szczęście, ludzie kamienni, co nie miłujecie pieśni, śmiejecie się z poezji, wyszydzaście uczucie i wierzycie w rozum tylko; nikt z tych, co cierpią sercem, na waszą prozę się nie pomienia. A jeśli świat ma się przerobić wedle waszej formy i programu, błogo nam będzie umierać, abyśmy go nie widzieli.

Drzwi się otwały z trzaskiem, pani Laura wleciała, wpadła... rzuciła się w objęcia przyjaciółki, a tyle naraz chciała powiedzieć, że się zakrztusiła uczuć i wyrazów natłokiem.

- Siadaj! - zawołała, prowadząc Lenorę do kanapy - podnieś tę śliczną główkę, niech ci się przypatrzę, niech zobaczę, co z ciebie zrobiła ta romantyczna włóczęga.

A! strasznie się opaliła! - dodała po chwili.

- A! jak Cyganka! - śmiejąc się z rezygnacją przerwała Lenora - to było w naturze moich przeznaczeń. Jak tylko znalazłam się w tym żywiole, na powietrzu... musiałam odzyskać mego rodu cerę...

- Ale ci z tym ładnie, oryginalnie - rzekła Laura, poprawiając się - to nic nie szkodzi... A! napędziłaś nam też strachu tą eskapadą, heroino ty moja! - Pocałowała ją w czoło. - A co się za tobą lord natęsknił, jak mnie nudził pytaniami...

Laura mocno się zarumieniła.

- Przychodził do mnie dlatego tylko, że mu salon mój przypominał wieczorne wasze rozmowy... sam mi się do tego przyznał. Oczarowałaś go... Zmartwi się, gdy usłyszy, że z sobą przywiozłaś, a raczej za wozem okutego przy wlokłaś niewolnika... jakiegoś z Węgier magnata...

Lenora się uśmiechnęła.

- To mój wybawiciel.

- I zakochany szalenie? - cicho spytała Laura.

- I roztrzepany niezmiernie - odpowiedziała Zara. - Bawi go to... ale nie spodziewam się, ażeby w życiu co brał na serio... Dobry chłopak...

- Mówią, że ładny...

- I ładny chłopak... i miło wychowany... ale nic więcej.

- Rozumiem, nie kochasz go! No, a tenże ślamazarny trochę wycho-waniec, co się dał zabić dla asińdzki... żyje?

151

|

-Żyje, przywieźliśmy biednego do Warszawy, dzięki staraniom dokto zdaje się, że ocalenie jego zapewnione.

- Wszystko więc jak najszczęśliwiej się składa - przerwała Laura -dodam dla twojej wiadomości, że hrabina Pyza i szanowny jej synalek, napsuwszy sobie krwi, pojechali do wód ją naprawić. W ostatnich czasach tak się im nie wiodło, że niewdzięczną opuścić musieli ojczyznę. Byli przedmiotem powszechnej pogardy.

Panie obie zamilkły... ale Laura umiała cenić czas i pamiętała na krótkość ludzkiego życia, nie mogła więc długiego ścierpieć milczenia.

- Lord już dziś wiedzieć będzie o twoim powrocie... nie darowałby mi, gdybym cię nie uprosiła na wieczór. Musisz przyjść na herbatę...

- Daruj mi, droga pani - ściskając ją, szepnęła Lenora - to być nie może. Cenię twe serce dla mnie, gotową jestem na rozkazy, ale nie będę u mej pani, chyba gdy nikogo tam nie zastanę, gdy same pozostać będziemy mogły... Ze światem zerwałam na zawsze...

- No? a lord? - szepnęła Laura.

- Lord? ale czymże ja dla niego jestem, a on dla mnie? Dobrymi znajomymi, których się mile wspomina...

- On się szalenie kocha...

- We mnie! w Cygance! w córce włóczęgi? - potrząsała głową - a! nie, droga pani, to być nie może! Ta miłość byłaby obelgą dla mnie, bo wieczną i uprawnioną być nie może, a z mej strony ja jej ustępstw nie uczynię... Kochanką niczyją być nie chcę, niczyją żoną nie mogę, zostanę sama...

Laura popatrzyła na nią i znalazła ją cudnie piękną w tym zapale i ożywieniu, z czarnymi oczyma ognistymi i różowymi wargi półotwartymi, spod których perłowe, prawdziwie cygańskie, świeciły zębki.

- Sama! dziecko moje! - westchnęła Laura - tak mówi zuchwała młodość, czując w sobie siły do życia... ale przejdą lata... ostygniesz... zmienisz przekonania i przebłagać się dasz kiedyś... Niestety! patrz, aby to nie było za późno...

- Ja się nie zmienię... bo mój los zmienić się nie może - szepnęła Lenora - nie mówmy o rzeczach smutnych...

Laura, korzystając z wyrażonego życzenia, poczęła się trzpiotać, paplać, śmiać, opowiadać i tak przedłużyła rozmowę do ostateczności, bo gdy spojrzała na zegarek, była już godzina obiadowa. Wybiegła więc, biorąc dla pośpiechu dorożkę do domu, bo spalony i zepsuty obiad był dla niej wielką klęską... jedzenie i paplanie tylko ją już na świecie utrzymywało.

Ale w księdze przeznaczeń napisanym było, że tego dnia obiad będzie jadła przegotowany, pieczone spalone i leguminę opadłą... w domu bowiem, w chwili gdy wchodziła, nawinął się lord, który właśnie ze smutną twarzą, nie zastawszy jej, miał odejść. Nie prosić go na chwilę, byłoby niegrzecznością. Usiadła na kanapie w nadziei, iż niedługo zabawi, a że lord wszystko, co czynił, robił powoli, rozważnie, nie spiesząc się, obrachowanie, rozmowa poczęła się bez żadnego względu na porę obiadową.

- Zgaduję, czemu winnam odwiedziny hrabiego - zaśmiała się gospodyni - pewnie już wiecie o powrocie tej mojej heroiny, kochanej Lenorki, od której właśnie powracam... nieprawdaż?

- Przyznaję, że o tym słyszałem, i nie będę tał, że to przyspieszyło w istocie moją bytność u pani...

- Otóż to taką szczerą ja lubię - odparła Laura. - Prawda? ciekawi jesteście losu tej biedaczki? Wróciła zbiedzona, znękana, opalona trochę, ale piękniejsza, niż kiedykolwiek była... a duszą i sercem zachwycająca.

Lord nic nie odpowiedział, patrzył na dno kapelusza. Po chwili milczenia odezwał się spokojnie:

- Kiedyż będziemy mieli szczęście ją oglądać?

Laura westchnęła.

- A! mój drogi hrabio - rzekła - to właśnie najboleśniej, że ona ma mocne postanowienie całkiem się od świata usunąć... że chce... no! nie wiem właściwie, co z sobą pocznie, ale mi wręcz na zaprosiny odpowiedziała, iż bywać nigdzie nie myśli, że musi zerwać... Que voulez-vous, zna swe nieszczęśliwe położenie, ma swą dumkę i wie, że w świecie naszym nic ją nie czeka nad walkę i upokorzenie.

- Nie rozumiem tego - przerwał lord stanowczo - żyjemy w XIX w., dziś nikt o nic więcej oprócz wychowania nie pyta...

- A! tak, mój hrabio, trzeba przyznać, iż u nas zwłaszcza wiele się jeszcze zważa na pochodzenie, imię... antecedens... Juściż, kochany hrabio, Lenora przy całej swej wyższości, talentach, wdzięku, rozumie, nie może się spodziewać, aby się z nią kto godzien jej ożenił.

- Dlaczego? - spytał lord...

- Ale, mój Boże! na cóż to ukrywać, co wiedzą wszyscy? Lenora jest córką Cygana... włóczęgi. Ojciec jej żyje... Hrabia począł patrzeć w kapelusz...

- Tak, to prawda - rzekł - a pomimo to jednak panna Lenora jest tak

uroczą, że gdyby w kim miłość wzbudziła, może by na to wszystko nie zważał, jeśliby wiedział, że jej serce pozyskał...

Laura spojrzała na poważnego młodego człowieka, który z wolna dobył angielski chronometr z kieszeni, popatrzył nań, schował na powrót i rzekł powoli:

- Panna Lenora jest zachwycającą istotą!

- A qui le dites-vous? Ja to wiem najlepiej - poczęła żywo Laura - ja, co ją znam lepiej niż wszyscy, ja, co czytam w jej sercu... dla której ona nie ma tajemnic. A! tak, to istota zachwycająca!

- Niechże pani, co z nią jesteś tak blisko, stara się ją odwieść od rozpaczliwego kroku... od tego wyrzeczenia się przyszłości lub - ucieczki z kraju...

- Z pewnością starać się o to będę, ale ona ma charakteru wiele, a jeśli chcecie - uporu...

- Przyjaźń go przełamać powinna...

To mówiąc, lord jeszcze raz na zegarek spojrzeł. Laura myślała, że nareszcie zlituje się nad jej obiadem, ale snadź roztargniony patrzył na chronometr, nie widząc godziny, i znów, jakby się wahał z wypowiedzeniem myśli, siadł, dodając z wolna:

- Ja sądzę, że są to chwilowych wrażeń skutki, znużenie, zwątpienie... które przejść powinno, gdy przemówi głos przyjaźni...

- Zdaje mi się - przerwała Laura - że gdybyś, hrabio, przybył mi w pomoc, może byśmy zwyciężyli...

- Ja najchętniej - odezwał się hrabia - ale gdzież pannę Lenorę spotkać mogę? Pod wszystkimi względami nie wypada mi narzucać się jej z odwiedzinami... Czy mogę mieć nadzieję, że ją tu kiedy znajdę?

- Niestety! nie wiem... odmówiła mi - westchnęła Laura...

- Wiesz pani co? - rzekł po namyśle hrabia - nie trzeba zbyt gwałtownie opierać się jej zrazu... Musimy użyć podstępów... Powiedz jej pani, że wcale nie sprzeciwiasz się temu postanowieniu zerwania ze światem, ależ przecie raz, jeden raz, wieczorem u pani być może, aby swych dawnych znajomych i przyjaciół pożegnać. Ten jeden raz nie odmówi nam bytności swojej... Zbierzemy się w szczupłym gronie może, ale najżyczliwszych, a rachuję na wrażenie tego wieczoru, na serdeczne wyrazy, które usłyszy... że się w postanowieniu zachwieje.

Laura aż uderzyła w ręce z radości.

- Przecudowna myśl! - rzekła - ale mnie musisz, hrabio, autorstwo jej odstąpić, ja ją przysposobię za własną... i... spróbujemy...

154

Laura była pewną, że tym razem już lord jej da zjeść szczątki obiadu, ale on uśmiechnął się poważnie i odezwał:

- Uczyni pani z myślą moją, co się jej podoba, zredaguj ją genialnie, zmień w czyn... byle ona wpłynęła na zachowanie towarzystwu naszemu osoby, bez której ono osierocone zostanie... Będę oczekiwał na rozkazy pani i niecierpliwie wyglądał tego wieczoru, który o losach naszych rozstrzygnie.

To mówiąc, pożegnał nareszcie gospodynię. Stefcia czekała we drzwiach na skinienie, by kazać zupełnie podać... Obiad był zły... Laura nieszczęśliwa, ale pochwycona kosztem jego rozmowa pełna znaczenia, wyrazy lorda, pod którymi domyśleć się godziło mnóstwa rzeczy, pocieszała ją tak dalece, że nawet nie narzekała na swą niedolę. Chciała jak najprędzej powtórzyć Lenorze, co o niej mówił hrabia, i była pewną, że teraz musi ona zmienić postanowienie. Wedle niej bowiem, to, co, milczący hrabia wypowiedział, znaczyło prawie tyle, co formalne oświadczenie się o rękę sieroty...

Sama ta myśl, że tak wielkie a niespodziane szczęście spotkać mogło Cygankę, a że do dokonania tego cudu ona się przyczynić miała, paliła ją jak ogniem. Nie dokończywszy deseru, nie popłukawszy zębów, narzuciła szal... nie było chwili do stracenia... Niosła z sobą... szczęście! cud! niepojętego coś, niezrozumiałego, olbrzymiego, czuła, że jej wyrazów

braknąć będzie na wypowiedzenie... tej niesłychanej nowiny. Lenora, nie spodziewając się już wcale dnia tego drugich odwiedzin, niepomąłu była zdziwiona, gdy ją wśród jakiegoś pakowania czy rozpakowywania sukien i bielizny, napadła piorunowo zjawiająca się w progu Laura.

- A! kochanie moje! - zawołała - przynoszę z sobą... daj mi odetchnąć... ach! przychodzę z dziwnymi rzeczami... Zobaczysz...

Upadła na fotel... - Nie mogę mówić, ledwie dyszę, tak nieuważnie biegłam, żeby ci zwiastować niezmiernie ciekawą i ważną wieść... Ale zaraz, niech spocznę...

Cóż to... ty się, widzę pakujesz czy co?

- Ja? - zarumieniła się Lenora - nie... porządkuję...

- Ten tłumoczek...

- To... z drogi... - nieśmiało odpowiedziała gospodyni. - Ale cóż mi, kochana pani, przynosisz?

' - Czekaj, niech zbiorę myśli, ażebym się nie poplątała. Czasem, gdy się bardzo spieszę, zaczynam od końca... a chciałabym bardzo dokładnie ci opowiedzieć wszystko! Rzecz niezmiernie wagi! Mówię ci! coś cudownego!

155

uroczą, że gdyby w kim miłość wzbudziła, może by na to wszystko nie zważał, jeśliby wiedział, że jej serce pozyskał...

Laura spojrzała na poważnego młodego człowieka, który z wolna dobył angielski chronometr z kieszeni, popatrzył nań, schował na powrót i rzekł powoli:

- Panna Lenora jest zachwycającą istotą!

- A qui le dites-vous? Ja to wiem najlepiej - zaczęła żywo Laura - ja, co ją znam lepiej niż wszyscy, ja, co czytam w jej sercu... dla której ona nie ma tajemnic. A! tak, to istota zachwycająca!

- Niechże pani, co z nią jesteś tak blisko, stara się ją odwieść od rozpaczliwego kroku... od tego wyrzeczenia się przyszłości lub - ucieczki z kraju...

- Z pewnością starać się o to będę, ale ona ma charakteru wiele, a jeśli chcecie - uporę...

- Przyjaźń go przełamać powinna...

To mówiąc, lord jeszcze raz na zegarek spojrzeł. Laura myślała, że nareszcie zlituje się nad jej obiadem, ale snadź roztargniony patrzył na chronometr, nie widząc godziny, i znów, jakby się wahał z wypowiedzeniem myśli, siadł, dodając z wolna:

- Ja sądzę, że są to chwilowych wrażeń skutki, znużenie, zwątpienie... które przejść powinno, gdy przemówi głos przyjaźni...

- Zdaje mi się - przerwała Laura - że gdybyś, hrabio, przybył mi w pomoc, może byśmy zwyciężyli...

- Ja najchętniej - odezwał się hrabia - ale gdzież pannę Lenorę spotkać mogę? Pod wszystkimi względami nie wypada mi narzucać się jej z odwiedzinami... Czy mogę mieć nadzieję, że ją tu kiedy znajdę?

- Niestety! nie wiem... odmówiła mi - westchnęła Laura...

- Wiesz pani co? - rzekł po namyśle hrabia - nie trzeba zbyt gwałtownie opierać się jej zrazu...

Musimy użyć podstępów... Powiedz jej pani, że wcale nie sprzeciwiasz się temu postanowieniu zerwania ze światem, ależ przecie raz, jeden raz, wieczorem u pani być może, aby swych dawnych znajomych i przyjaciół pożegnać. Ten jeden raz nie odmówi nam bytności swojej... Zbierzemy się w szczupłym gronie może, ale najżyczliwszych, a rachuję na wrażenie tego wieczoru, na serdeczne wyrazy, które usłyszysz... że się w postanowieniu zachwieje.

Laura aż uderzyła w ręce z radości.

- Przecudowna myśl! - rzekła - ale mnie musisz, hrabio, autorstwo jej odstąpić, ja ją przysposobię za własną... i... spróbujemy...

Laura była pewną, że tym razem już lord jej da zjeść szczątki obiadu, ale on uśmiechnął się poważnie i odezwał:

- Uczyni pani z myślą moją, co się jej podoba, zredaguj ją genialnie, zmień w czyn... byle ona wpłynęła na zachowanie towarzystwu naszemu osoby, bez której ono osierocone zostanie... Będę oczekiwał na rozkazy pani i niecierpliwie wyglądał tego wieczoru, który o losach naszych rozstrzygnie.

To mówiąc, pożegnał nareszcie gospodynię. Stefcia czekała we drzwiach na skinienie, by kazać zupełną podać... Obiad był zły... Laura nieszczęśliwa, ale pochwycona kosztem jego rozmowa pełna znaczenia, wyrazy lorda, pod którymi domyśleć się godziło mnóstwa rzeczy, pocieszała ją tak dalece, że nawet nie narzekała na swą niedolę. Chciała jak najprędzej powtórzyć Lenorze, co o niej mówił hrabia, i była pewną, że teraz musi ona zmienić postanowienie. Wedle niej bowiem, to, co, milczący hrabia wypowiedział, znaczyło prawie tyle, co formalne oświadczenie się o rękę sieroty...

Sama ta myśl, że tak wielkie a niespodziane szczęście spotkać mogło Cygankę, a że do dokonania tego cudu ona się przyczynić miała, paliła ją jak ogniem. Nie dokończywszy deseru, nie popłukawszy zębów, narzuciła szal... nie było chwili do stracenia... Niosła z sobą... szczęście! cud! niepojętego coś, niezrozumiałego, olbrzymiego, czuła, że jej wyrazów braknąć będzie na wypowiedzenie... tej niesłychanej nowiny. Lenora, nie spodziewając się już wcale dnia tego drugich odwiedzin, niepomąłu była zdziwiona, gdy ją wśród jakiegoś pakowania czy rozpakowywania sukien i bielizny, napadła piorunowo zjawiająca się w progu Laura.

- A! kochanie moje! - zawołała - przynoszę z sobą... daj mi odetchnąć... ach! przychodzę z dziwnymi rzeczami... Zobacysz...

Upadła na fotel... - Nie mogę mówić, ledwie dyszę, tak nieuważnie biegłam, żeby ci zwiastować niezmiernie ciekawą i ważną wieść... Ale zaraz, niech spocznę...

Cóż to... ty się, widzę pakujesz czy co?

- Ja? - zarumieniła się Lenora - nie... porządkuję...

- Ten tłumoczek...

- To... z drogi... - nieśmiało odpowiedziała gospodyni. - Ale cóż mi, kochana pani, przynosisz?

* - Czekaj, niech zbiorę myśli, ażebym się nie poplątała. Czasem, gdy się bardzo spieszę, zaczynam od końca... a chciałabym bardzo dokładnie ci opowiedzieć wszystko! Rzecz niezmiernej wagi! Mówię ci! coś cudownego!

154

155

Miałam tylko co rozmowę z lordem. - Rumieniec wystąpił na twarz Lenory... i ręka, w której trzymała suknię, zadrżała.

- Wystaw sobie, ledwie się dowiedział, żeś powróciła, przyleciał do mnie. Przyznał mi się otwarcie, że go nie co innego sprowadzało... Pragnął zaraz cię widzieć u mnie. Naturalnie odpowiedziałam mu, że mało mam nadziei, abyś nas uszczęśliwiła swą bytnością, bo się chcesz od świata zupełnie usunąć. Jak to posłyszał, zaprotestował... Ja tedy myślę sobie, wybadam cię, kochanku. Zaczęłam mu tłumaczyć, że inaczej postąpić nie możesz, że czujesz swą wartość, a wiesz, iż cię w tym świecie dla głupich nie ocenią przesądów... Od słowa do słowa przyszło do tego, żeś powiedziała, iż koniec końcem, nikt się nie ożeni z Cyganką. Na to lord, uważaj tylko, moja droga, co to ma za znaczenie w ustach takiego człowieka, takiego jak on - na to lord... to są jego własne słowa... słuchaj!! na to lord -jak ciebie kocham, powiedział najwyraźniej - panna Lenora jest tak uroczą (c'est son expression), że gdyby w kim miłość wzbudziła, a mógł być pewien, że serce jej pozyskał... na nic by wówczas nie zważał... Rozumiesz, co to znaczy? - rzekła tryumfalnie Laura...

Lenora stała przed nią zarumieniona, lecz smutna.

- Droga pani, rozumiem! rozumiem! - odezwała się - to znaczy, że w chwili szału znalazłby się człowiek, który by dla dogodzenia namiętności zamknął oczy na następstwa, ale potem?... Gdy świat by mu począł rzucać szyderstwa w pierś ostygła, gdy dzieci jego zaczęto by po cichu zwać Cyganami, gdy w towarzystwie zazdrość jednych, obrażona duma drugich, poczęłyby dręczyć jego żonę... gdy on sam co chwila spotykałby po drodze ironię, dwuznaczne słowa... gdy tę miłość dla istoty odrzuconej przyszłoby mu opłacać codzienną męczarnią!... ileż by razy pożałował! Wystawcie sobie los tej kobiety, czującej, że jest kulą u nogi tego, któremu by szczęście przynieść chciała!... A! pani droga! tylko zaślepienie i egoizm mogłyby kobietę pchnąć w taką przepaść nieszczęścia... nieszczęścia tylu istot... drogich...

Zakryła oczy rękami...

Laura słuchała i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, czuła, że Lenora widziała jasno, że sądziła zdrowo... że zbić jej argumentów było niepodobna; zwróciła się więc zrećźnie tylko ku podanej sobie myśli ostatniego wieczoru pożegnania, i poczęła przypuszczać szturm, niezwłocznie przechodząc do tego przedmiotu.

- Wiesz co - rzekła - zrobisz, jak ci się podoba, ja w tej chwili, gdy ty jesteś podrażniona, zniechęcona, zboląła, nie będę z tobą się rozprawiała...

156

Nie chcesz nas?? bolejemy, ale cię zmusić nie możemy; ja proszę o jedno... o wieczór tylko pożegnania... o pokazanie się raz u mnie! Przecież to nie pociąga za sobą żadnych obowiązków; tyle razy ocierałaś się o nas i nic ci się nie stało... Daj nam jeden wieczór...

- Chcesz pani, bym boleśniej potem czuła rozstanie - spytała Lenora.

-Nie, chcę, byś się przekonała, że my ci dobrze życzymy i kochamy... a może kiedyś nawrócona, ostygła... wrócisz do nas jeszcze... Ja proszę, jako dowód przyjaźni, o jeden wieczór.

- A! droga pani moja - odezwała się Lenora - czyż godzi się, byś ty prosiła o to, o co ja chyba powinnam bym się domagać!

I pospieszyła uściskać ją...

- Więc przyjdiesz?

- Tak! pożegnać was; ale jeszcze jeden mały warunek! Proszę, nie ogłaszajcie, nie mówcie nikomu, że to jest ostatnie rozstanie i pożegnanie... Byłoby mi przykro stać jak pod pręgierzem i zebrać współczucia.

- Ale nikt, nikt o niczym wiedzieć nie będzie! ręczę, oprócz hrabiego, który już wie o tym postanowieniu. - Chwilę zamyśliła się Laura.

- A zatem... proszę cię na piątek, na herbatę i rachuję na ciebie. Spraszać wiele osób nie będę... nie chcę ci robić subiekcji, bądź spokojną...

Uścisnęły się jeszcze i pani Laura zamyślona, zdziwiona nieco niepowodzeniem poselstwa... odeszła.

Kto znał dawniej Warszawę - o terażniejszej mowy już nie ma - wie, jak w niej tętniło życie, jak każdy wypadek ważniejszy, ukazanie się ciekawej postaci, młodego talentu, zajmującego pod jakimkolwiek względem człowieka, rozbudzało wszystkich i wprawiało w pewien rodzaj gorączki; jak się dobijano, aby być u Łuszczewskich, u pana Leona, gdy^ktoś przybycie cudzoziemca, znakomitości lub choćby ekscentryka zwiastował. W teatrze na przedstawienie artysty, w resursach na uczyty wesołe dawane na cześć przybyłych, docisnąć się nie było można. Miasto potrzebowało żyć i szukało karmi chciwie. Tak samo po domach prywatnych, gdzie kogoś zobaczyć, pomówić z kimś było można, goście proszeni, wpraszać się i nie proszeni napływali...

Mimo zajęcia polityką, z wieczorem piątkowym Laury inaczej też być nie mogło, wygadał się ten i ów, że ostatni raz ma się na nim ukazać owa

157

Miałam tylko co rozmowę z lordem. - Rumieniec wystąpił na twarz Lenory... i ręka, w której trzymała suknię, zdrząła.

- Wystaw sobie, ledwie się dowiedział, żeś powróciła, przyleciał do mnie. Przyznał mi się otwarcie, że go nie co innego sprowadzało... Pragnął zaraz cię widzieć u mnie. Naturalnie odpowiedziałam mu, że mało mam nadziei, abyś nas uszczęśliwiła swą bytnością, bo się chcesz od świata zupełnie usunąć. Jak to posłyszał, zaprotestował... Ja tedy myślę sobie, wybadam cię, kochanku. Zaczęłam mu tłumaczyć, że inaczej postąpić nie możesz, że czujesz swą wartość, a wiesz, iż cię w tym świecie dla głupich nie ocenią przesądów... Od słowa do słowa przyszło do tego, że powiedziałam, iż koniec końcem, nikt się nie ożeni z Cyganką. Na to lord, uważaj tylko, moja droga, co to ma za znaczenie w ustach takiego człowieka, takiego jak on - na to lord... to są jego własne słowa... słuchaj!! na to lord -jak ciebie kocham, powiedział najwyraźniej - panna Lenora jest tak uroczą (c'est son expression), że gdyby w kim miłość wzbudziła, a mógł być pewien, że serce jej pozyskał... na nic by wówczas nie zważał... Rozumiesz, co to znaczy? - rzekła tryumfalnie Laura... Lenora stała przed nią zarumieniona, lecz smutna. - Droga pani, rozumiem! rozumiem! - odezwała się - to znaczy, że w chwili szalu znalazłby się człowiek, który by dla dogodzenia namiętności zamknął oczy na następstwa, ale potem?... Gdy świat by mu począł rzucać szyderstwa w pierś ostygłą, gdy dzieci jego zaczęto by po cichu zwać Cyganami, gdy w towarzystwie zazdrość jednych, obrażona duma drugich, poczęłyby dręczyć jego żonę... gdy on sam co chwila spotykałby po drodze ironię, dwuznaczne słowa... gdy tę miłość dla istoty odrzuconej przyszłoby mu opłacać codzienną męczarnią!... ileż by razy pożałował! Wystawcie sobie los tej kobiety, czującej, że jest kulą u nogi tego, któremu by szczęście przynieść chciała!... A! pani droga! tylko zaślepienie i egoizm mogłyby kobietę pchnąć w taką przepaść nieszczęścia... nieszczęścia tylu istot... drogich...

Zakryła oczy rękami...

Laura słuchała i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, czuła, że Lenora widziała jasno, że sądziła zdrowo... że zbić jej argumentów było niepodobna; zwróciła się więc zrećźnie tylko ku podanej sobie myśli ostatniego wieczoru pożegnania, i poczęła przypuszczać szturm, niezwłocznie przechodząc do tego przedmiotu.

- Wiesz co - rzekła - zrobisz, jak ci się podoba, ja w tej chwili, gdy ty jesteś podrażniona, zniechęcona, zboląła, nie będę z tobą się rozprawiała...

156

Nie chcesz nas?? bolejemy, ale cię zmusić nie możemy; ja proszę o jedno... o wieczór tylko pożegnania... o pokazanie się raz u mnie! Przecież to nie pociąga za sobą żadnych obowiązków; tyle razy ocierałaś się o nas i nic ci się nie stało... Daj nam jeden wieczór... - Chcesz pani, bym boleśniej potem czuła rozstanie - spytała Lenora.

-Nie, chcę, byś się przekonała, że my ci dobrze życzymy i kochamy... a może kiedyś nawrócona, ostygła... wrócisz do nas jeszcze... Ja proszę, jako dowód przyjaźni, o jeden wieczór.

- A! droga pani moja - odezwała się Lenora - czyż godzi się, byś ty prosiła o to, o co ja chyba powinnam bym się domagać!

I pospieszyła uściskać ją...

- Więc przyjdiesz?

- Tak! pożegnać was; ale jeszcze jeden mały warunek! Proszę, nie ogłaszajcie, nie mówcie nikomu, że to jest ostatnie rozstanie i pożegnanie... Byłoby mi przykro stać jak pod pręgierzem i żebrać współczucia.

- Ale nikt, nikt o niczym wiedzieć nie będzie! ręczę, oprócz hrabiego, który już wie o tym postanowieniu. - Chwilę zamyśliła się Laura.

- A zatem... proszę cię na piątek, na herbatę i rachuję na ciebie. Spraszać wiele osób nie będę... nie chcę ci robić subiekcji, bądź spokojną...

Uścisnęły się jeszcze i pani Laura zamyślona, zdziwiona nieco niepowodzeniem poselstwa... odeszła.

Kto znał dawniej Warszawę - o terażniejszej mowy już nie ma - wie, jak w niej tętniło życie, jak każdy wypadek ważniejszy, ukazanie się ciekawej postaci, młodego talentu, zajmującego pod jakimkolwiek względem człowieka, rozbudzało wszystkich i wprawiało w pewien rodzaj gorączki; jak się dobijano, aby być u Łuszczewskich, u pana Leona, gdy'ktoś przybycie cudzoziemca, znakomitości lub choćby ekscentryka zwiastował. W teatrze na przedstawienie artysty, w resursach na uczyty wesole dawane na cześć przybyłych, docisnąć się nie było można. Miasto potrzebowało żyć i szukało karmi chciwie. Tak samo po domach prywatnych, gdzie kogoś zobaczyć, pomówić z kimś było można, goście proszeni, wpraszać się i nie proszeni napływali...

Mimo zajęcia polityką, z wieczorem piątkowym Laury inaczej też być nie mogło, wygadał się ten i ów, że ostatni raz ma się na nim ukazać owa

157

oryginalna wychowanka wojewodziny, że to jest wieczór pożegnalny, bo ona świat opuszcza... Dodawano, że ma być magnat węgierski w stroju narodowym; że Lenora da się słyszeć na fortepianie, że zgotowano jakąś niespodziankę, słowem we środę już Laura była obleżona. Na próżno się wymawiała tym, iż dała słowo, że nie będzie prosić nad kilka osób, każdy chciał być wyjątkiem, używano protekcji, wciskano się pochlebstwy, i obliczywszy spodziewanych gości, przestraszona gospodyni postrzegła, że jej zaledwie starczy salonu, filiżanek i krzesłek...

Ale za to wieczór robił po Warszawie ogromną sensację; we czwartek już, spotykając się na ulicy, pytali wszyscy jedni drugich: Będziesz u pani Laury? i kto na piątek miał zamówione małe kółko znajomych, musiał przyjęcie na inny dzień odłożyć. Lenora wcale o tym nie wiedziała. Gospodyni, trochę niespokojna, spodziewała się przed nią wytłumaczyć, a pokusie oprzeć się nie potrafiła, boć miło to zawsze, gdy o domu i pani jego tydzień jaki próżnujący rozmawiają.

Na parę godzin przed otwarciem salonu wszystko było w porządku, filiżanek i krzesłek dokończono, dwóch lokajów w białych perkalowych rękawiczkach do roznoszenia herbaty najęto, wszystkie lichtarze domowe były w rekwizycji, dwa ogromne torty stały na stoliku, i panna Stefania zmęczona przystępowała do toalety... O ósmej już w salonie siedziało osób parę, a salon zdrayca miał fizjonomię świąteczną. Nie przewidując takiej ekshibicji, Lenora przyszła znów w sukni czarnej, z jedną kamelią we włosach, smutna, dosyć roztargniona i zakłopotana... Wszyscy ją otoczyli natychmiast... a że goście coraz przybywali tłumnie, nie postrzegła, jak się salon zapełnił. Zmieszana liczbą osób niezwyczajną, rzuciła błagający wzrok na gospodynię, ale ta zrozumiawszy ją, nadbiegła i zaklęła się, że nie prosiła nikogo... a cóż miała począć z natrętami?

Nadszedł wreszcie hrabia i zaledwie przywitawszy Laurę i kilka osób, z widocznym pośpiechem zbliżył się do Lenory, co wszyscy uważali. Uważano także rumieniec na bladej twarzy i to że lord utkwiał przy pięknej Cygance... Rozmowa się rozpoczęła natychmiast, z jej strony bardzo ostrożna i chłodna, z jego niezwyczajnie jakoś natarczywa. Kto nie mógł dosłyszeć jej, zgadywał z wejrzeń i ruchów... Byli tacy, którzy ją sobie w pamięci stenografowali z taką trafnością, jak O. Kircher przed Champol-lionem czytał hieroglify.

- Nastraszyłaś nas pani niepomalu - odezwał się hrabia - swym wyjazdem niespodzianym i ekscentrycznym; ale nareszcie mamy panią znów i

158

tym razem nie puścimy... Nie śmiem pani pytać o przygody podróży, ale podobno nie zbywało na nich...

- Pojmiesz hrabia, że się z tych rodzinnych smutków i przygód trudno spowiadać - odparła Lenora.

- Ale to są już tempi passati! - dodał lord.

- Są jednak wspomnienia, co nie przechodzą, i losy, które się powtarzają...

- Mówiła mi pani Laura... że pani - począł otwarcie - tak masz złe wyobrażenie o świecie naszym, iż zamierzasz... porzucić nas samych?

- Wątpię, by się to komu uczuć dało...

- Przepraszam panią; tłumy nam nie zabraknie, ale wybranych...

- Hrabio! nie należy zawracać biednej kobiecie głowy pochlebstwem.

- Nie pochlebiam nigdy...

- Jesteś więc nadto a nadto łaskawym.

- Sprawiedliwym!!

- Oszczędź, hrabio, mnie... to mi czyni przykrość. Każdy z nas najlepiej zna siebie, a jeśli sumiennym jest, pochwały go boją, jak wyrzuty.

- Pomimo to ja nie mogę znieść, bym się z panią nie pokłócił - rzekł lord - przyznaję się, że po to umyślnie tu przyszedłem. Bądź pani ze mną otwartą, jestem szczerym jej przyjacielem, wielbicielem... Na co nam grozisz tym, że chcesz zerwać z nami?

- Dobrze, bądźmy szczerzy, panie hrabio; powiedz mi więc, dlaczego wymagacie po mnie ofiary życia, spokoju, swobody, dla waszej zabawy i przyjemności? Przypuszczam, jeśli każesz, hrabio, że miło wam posłyszeć moje granie, że rozrywam rozmowę, że wypełniam jakąś próżnię w salonie; i czyż godzi się, byście mnie skazywali na ten żywot bawicielki i monsterka? Tymi biednymi talentami nie potrafię nic zyskać nad oklask chwilowy... chłodny, który rozbrzmi i rozejdzie się prędko... Chcecie więc zabić mnie na ofiarę?

- Nie, kochana pani - przerwał lord - zdaje mi się, że nie dla talentów i uroku chcemy cię posiadać, cenimy twój charakter, umysł... widzimy w tobie istotę wyższą, jakiej naszemu społeczeństwu braknie...

- Zawsze monsterko! - odparła Lenora. - Jestem gościnnie przyjętą a obcą... nie mam i nie mogę mieć rodziny... a pewną jestem zazdrosnych i nieprzyjaciół. Ale przerwijmy tę rozmowę - dodała z uśmiechem - miarkujesz, hrabio, że nie mogę się bronić, nie tykając wielu rzeczy, których bym poruszyć nie chciała...

- Jestem posłuszny, milczę - skłonił się hrabia - ale pozwól mi pani

159

zapytać się szczerze, czy postanowienie, o którym mówi pani Laura, jest stanowcze i niezmiennie?

- Po długiej rozwadze i namyśle je powzięłam i mam niewzruszoną wolę usunąć się... gdzieś w cichy kątek... zniknąć z oczów ludzi.

- Przepraszam panią, będę zmuszony znów o pierwszy przedmiot zaczepić.

Niepodobieństwem jest, byś pani została pustelnicą, musisz żyć z ludźmi; czy sądzisz, że w innych towarzystwa sferach ludzie są wyrozu-mialszy, skłonniejsi do przyjęcia, do oddawania serca i wcielenia obcego kogoś w swą rodzinę? Mylisz się pani, zdaje mi się, demokracja jest w słowach wiele obiecująca... ale sama wyższość pani nie dopuści, by cię tam przyjęto na stopie równości, gdzie umysłem górować będziesz...

Lenora zamilkła, uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła: -Czy między pustynią, wielkim światem i ludem... nie ma już na świecie kątko, gdzie by sierota bez rodziny rodzinę znalazła?...

- Masz więc pani już coś obmyślonego? - spytał lord.

- Być może... - zagadkowo szepnęła Lenora, usiłując przerwać rozmowę. Nie było wszakże łatwym pozbyć się hrabiego, który z niezmierną grzecznością, ale z nie mniejszym uporem krok w krok ją ścigał, czekał, gdy z kim rozmawiała, milczał chwilę, ale starał się nie stracić jej z oka i być ciągle w jej otoczeniu.

Wszyscy zaczęli ją prosić, by grała... nie mogła się oprzeć. Podeszła do fortepianu, zdjęła rękawiczki, usiadła, a że wybór był jej zostawiony, z wielką trafnością, nie chcąc się wydać ze smutnym usposobieniem, nie życząc sobie żadnych sentymentalnych pożegnań, poczęła owego Szopenowskiego poloneza (A-dur), który zdaje się napisany, by umarłych cienie z grobu wywołał!..

Jest w tym tańcu wojennym, szablistym, kontuszowym coś tak poruszającego, tak elektryzującego, że kto nie poczuje się nim wstrząśniętym do głębi, nie ma w sobie kropli krwi polskiej. Jest to poemat przeszłości, dziki, butny, porywający, szorstki a niesłychanie patetyczny... Ze wszystkich polonezów Chopina ten może najjaśniej przemawia do serca... Jest w nim pieśń wojenna, pochód weselny, coś pijanego i dumnego, a coś zarazem tak szlachetnego i wielkiego, że dzisiejsze pokolenie czuje się upokorzone i drobne, gdy go słucha. Mimo rażności i wesela... w końcu łąz skończyć go trzeba...

Lenora grała go z ogniem, pasją, z brawurą niesłychaną, tak jak on być granym powinien... Gdy skończyła... panowało w salonie milczenie uroczyste, którego nikt przerwać się nie ośmielił.

Chciała wstać po nim, ale fortepian otoczono, nie dano jej odejść; modlono o więcej; wybór był trudny... Serce pragnęło czegoś rzewnego, rozum nie pozwalał kwilić na pożegnanie... Po namyśle, godząc wymagania jednego i drugiego, zagrała sonatę Beethovenowską, co się poczyna „bezdenną rozpaczą i zwątpieniem dogorywającym, a kończy wybuchem . namiętnym i ognistym... tę, którą pospolicie zowią sonatą Księżycową... (Clair de Lune). W tej muzyce przynajmniej myśl ukryta była tak głęboko, że jej pospolity słuchacz nie zrozumiał, a serce mogło się całe wyśpiewać.

Z ostatnim akordem wstała tak nieodwołalnie, chwytając za rękawiczki, była tak zmęczoną i bladą, że jej już nikt nie śmiał prosić o nic więcej. Lord czatował przy fortepianie, aby odchodzącą pochwycić. Godzina była już dosyć spóźniona.

- Grałaś pani cudownie, ale ją to wiele kosztować musiało... - rzekł wzruszony - lękam się, byś nam pani nie uciekła, a bądź co bądź... jak o łaskę największą śmiem jeszcze prosić o chwilę rozmowy...

Lenora spojrzała nań i pobladła; poczęli chodzić po salonie'.

- Nie mamy tajemnic - odpowiedziała Lenora.

- Pani nie, ja - może!

Szli chwilę razem milczący... stanęli w progu drugiego pokoju, który stosunkowo był daleko mniej przepełniony.

- Tu chłodniej - odezwał się hrabia i postąpił krok naprzód, Lenora zawahała się, ale nie chciała okazać mu obawy ani nieufności - weszła...

- Pani - rzekł pospiesznie hrabia z widocznym niepokojem... - przebacz mi, że w miejscu i chwili niestosownej odezwę się niewłaściwie, nieprzyzwoicie; nie mam wyboru... muszę...

- Hrabia z góry możesz być pewnym, iż mu nic za złe nie wezmę...

- Nawet, nawet gdybym tu, lękając się pani stracić, oświadczył jej, że mam dla niej więcej niż najwyższy szacunek, więcej niż najgorętszą przyjaźń...

- Panie hrabio, dosyć!

- Nie dokończyłem: jeśli pani jesteś wolną sercem, a nie uznasz mnie niegodnym swej ręki... proszę o nią... - Spojrzał, w oczach Lenory stały dwie wielkie łzy świecące; ujęła jego rękę i powoli słabym rzekła głosem:

- Dziękuję ci, hrabio, z duszy i serca dziękuję, na całe życie moje starczy mi tej chwili promienistej... Jestem szczęśliwą... Wolno mi powiedzieć ci,

160

161

że nie kochałam nigdy nikogo, a ciebie Kocham i Kochać będę jednego do zgonu... ale na Boga, który mnie słucha, przysięgam, że ręka, co nie może być twoją... nie będzie niczyją...

Pamięć o tobie poniosę do grobu...

- Jak to? - zawołał przejęty hrabia - nie możesz być moją? dlaczego?

- Nie pytaj, nie mogę! przysięgam. Nadto Kocham cię, bym w twój dom i rodzinę nieuchronnie nieszczęście wnieść mogła. Nie mogę! Pozwól mi, być godną ciebie... i dlatego nie być twoją; Kocham cię, hrabio... nie będę niczyją... rozstańmy się, podając sobie ręce i mówiąc: do zobaczenia na lepszym świecie. - To mówiąc, wyrwała rękę żywo, spojrzała nań i nim miał czas się rozmyślić, oprzytomnieć, wysunęła się nie do salonu, ale do pokoju przyległego Stefci.

Hrabia był pewnym, że ochłonawszy, powróci za chwilę, ale czekał już na próżno; Lenora, znając dom Laury, przez garderobę wysunęła się niepostrzeżenie do sieni, narzucając chustkę i wybiegła w ulicę spiesząc do domu...

Szczęśliwy, ale niespokojny, upojony, powrócił lord do salonu, gdzie postrzeżono wkrótce, że Lenory nie było. Gospodyni poszła jej szukać... i przekonała się, że uciekła. Przykro jej było, bo naturalnie reszta wieczoru była zepsuta. Przechodząc szepnęła tylko lordowi: - A! niegrzeczny panie, pewna jestem, żeś nas pozbawił Lenory... Nie ma jej nigdzie... Musiałeś być nadto natrętnym.

Hrabia nie odpowiedział nic. Wkrótce potem wysliznął się zamyślony z salonu, a reszta gości, po cichu szepcząc, powoli także opuszczając go zaczęła... Krążyły pomiędzy odchodzącymi najrozmaitsze powieści o tym oryginalnym wieczorze, którego lord i Cyganka byli bohaterami. Kobiety ruszały ramionami i krzywiły usta...

- Gotów się ożenić! ale rodzina nigdy na to nie pozwoli!

- To niepospolita intrygantka! - szeptały inne...

Nazajutrz nikt temu uwierzyć nie chciał, gdy zrozpaczona i na pół oszalała Laura rozniosła między wszystkimi znajomymi swymi, iż Czarna Perelka tegoż dnia opuściwszy świat, wdziała na się sukienkę siostry miłosierdzia.

Było to jednak prawdą, a co dziwniej, mówiono, że ją widziano z twarzą wypogodzoną, z uśmiechem na ustach, ze spokojem na czole... spełniającą w szpitalu Dzieciątka Jezus najtwardszą służbę nowicjuszeki.

Powieść nasza na tym się kończy... bo Zbigniew, uzdrowiony, zginął na wojnie, a magnat węgierski, przekonawszy się, iż pobyt jego w Warszawie do niczego nie doprowadzi, wprost stąd do Baden pojechał, gdzie sławna

paryska Loreta na dwa tygodnie go ujarzmiła. Poczem wrócił na Węgry i nie mając co robić, zaciągnął się w szeregi najskrajniejszej opozycji. - Pani Laura nie przestała ubolewać nad rozpaczliwym krokiem swej przyjaciółki, który przypisywała (po cichu) miłości dla hrabiego a przekonaniu, iż małżeństwo byłoby niemożliwym.

Lord stał się bardziej milczącym niż kiedykolwiek, oddał się cały poważnym studiom dziejowym, pracy około dóbr swych, ulepszeniom gospodarskim, a ilekroć spotkał Laurę w towarzystwach, z daleka pozdrowiwszy ją, uchodził z ręcznie od rozmowy... Nikt nigdy nie słyszał z ust jego ani imienia Lenory, ani Czarnej Perelki... i twierdzą ci, co go bliżej znali, iż wcale żenić się nie ma ochoty.

«

162

MBP Zabrze

nr inw.: K1 - 11758

F 1 POL.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1986

Wydanie IV. Nakład 149 850 + 150 egz. Ark. wyd.1 1. Ark. druk. 10,25. Papier offset.kl. III,70 g, rola 84 cm. Oddano do składania we wrześniu 1983 r. Podpisano do druku w lipcu 1985 r.

Druk ukończono w lutym 1986 r.

Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku, ul. Trzy Lipy 3.

Zam. nr 208/83. L-4